KLEMENTYNA Z TAŃSKICH
HOFFMANOWA

Dziennik Franciszki Krasińskiej

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa

Dziennik Franciszki Krasińskiej

Armoryka

Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce wykorzystano fragment litografii Fabiana Sarneckiego (1800-1894), *Franciszka Krasińska małżonka Karola Księcia Saskiego i Kurlandzkiego, syna Augusta III* (ok. 1840), (licencja *public domain*), źródło: Biblioteka Narodowa: http://polona.pl/item/823333/0/
(This file has been identified as being free of known restrictions under copyright law, including all related and neighboring rights).

Copyright © 2014 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel +48 15 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
http://www.armoryka.pl/

ISBN 978-83-7950-202-8

Dziennik Franciszki Krasińskiej

1 stycznia 1759 r. w maleszowskim zamku, w poniedziałek

Tydzień temu, w samo święto Bożego Narodzenia, Jmć Dobrodziej ojciec mój kazał przynieść sobie ogromną księgę, w którą już od lat kilkunastu, obyczajem wszystkich niemal panów polskich, wpisuje własną ręką rozmaite publiczne i prywatne pisma; są w niej mowy, manifesta, uniwersały, listy, paszkwile, wiersze, wszystko porządkiem dat ułożone; pokazywał nam ów zbiór szacowny, czytał niektóre kawałki. Bardzo mi się podobała ta myśl zapisywania ciekawszych zdarzeń i okoliczności, a ponieważ już od lat kilku i po francusku, i po polsku dosyć gładko pisać umiem i niezmiernie pisać lubię, ponieważ i we Francji wiele białych głów podobne rzeczy pisze — przyszło mi na myśl, czybym i ja też coś takiego według możności mojej rozpocząć nie mogła? Uszyłam sobie zatem duży sekstern umieszczę w nim jak najdokładniej, cokolwiek się mnie i bliskiej mojej rodziny tycze, wspomnę, jak potrafię, o rzeczach publicznych. Jmć Dobrodziej, jako mężczyzna i człowiek stateczny, nimi wyłącznie swoję księgę zajmuje; on ją układa dla wszystkich, i sposobem poważnym; ja, jako panna nie uczona i młoda, moję ramotę jedynie dla własnej zabawy pisać będę, ale z głowy, szczerze i bez pretensji: będzie to prawdziwy dziennik, bo go prawie co dzień pisać zamyślam. Dziś właśnie Nowy Rok i poniedziałek, wyborna pora do zaczęcia porządnie jakowej rzeczy; już tydzień, jak ją w umyśle układam, trzeba raz z nią wystąpić; zaczynam więc: mam czas wolny, nabożeństwo odbyte rano, pacierze pozostałe odmówię na nieszporach; jużem ubrana i ufryzowana; właśnie dziesiąta bije na zamkowym zegarze, dwie godziny mam jeszcze do obiadu — napiszę dziś, co tylko wiem o sobie, o rodzinie mojej, o domu naszym, o

Rzeczypospolitej, a potem pisać będę kolejno, cokolwiek nam wszystkim ciekawego się zdarzy.

Rodziłam się 1743 roku, mam więc rok szesnasty; na chrzcie św. dano mi imię Franciszki. Słyszałam już nieraz, żem gładka i dorodna, i nieraz, jak spojrzę w zwierciadło, mnie samej zdaje się, żem ładna. „Panu Bogu dziękować — mówi Jmć Dobrodziej — a nie chełpić się. On nas stwarza, nie my siebie. Mam czarne oczy i włosy, płeć białą, żywe rumieńce; chciałabym jeszcze być nieco wyższą, bo lubo wysmukła i wcięta w stanie, są wyższe ode mnie białogłowy; ale mnie straszą, że już nie urosnę. — Idę nie tylko ze szlachetnej, ale z bardzo dawnej i zacnej familii Korwinów Krasińskich; to znakomite nazwisko nosząc, broń Boże! abym go kiedy splamić miała, owszem, rada bym uświetnić i dlatego żałuję czasem, żem nie mężczyzną, gdyż snadniej by mi to przyszło. Jmć Dobrodziej i Jmć Dobrodzika tak są przejęci zacnością domu Korwinów Krasińskich, tak często o tym i oni sami, i dworscy, i goście nawet mówią, tak naganną znajdują rzeczą o swoich antenatach dokładnie nie wiedzieć, że wszystkie mamy tą wiadomością głowy nabite; ja genealogię Krasińskich i historią każdego z nich tak umiem jak pacierz i łatwiej by mi było poczet przodków moich niźli kolej królów polskich wymienić. O, niech tylko spróbuję erudycji mojej w tej mierze! Niech zacznę! Nie skończę tak prędko… Wreszcie pewna jestem, że niektóre szczegóły nigdzie nie są zapisane, tylko w pamięci naszej; lepiej im więc choć białogłowskim piórem trwałości nadać. Może kiedy, kiedy, po mojej już śmierci kto ten dziennik znajdzie i wnuki nowe w nim dla siebie wyczytają rzeczy? Dziwna myśl… niepomału mnie zajęła; ktoś by miał za lat kilkadziesiąt po śmierci mojej czytać ten dziennik? A czemuż nie? Wieleż to listów, pamiętników we Francji podobny los spotkał. O, trzeba pisać starownie i wyraźnie; szkoda tylko, żem w styl nie tak wprawna jak na przykład pani de Sevigné albo Motteville; kto wie? może by i mnie lepiej po francusku się udało? Bo i pewnie… Ale nie! Nie wypada, żeby Polka, żyjąc w Polsce, przestając z Polakami, nie po polsku dziennik swój pisała; wreszcie francuski język dziś jest w wielkim używaniu pomiędzy panami, ale ta moda minąć może i zapewne by się kto w późniejszych czasach ze mnie gorszył. Jeśli więc ten sekstern myszy nie zjedzą lub też przy tylu fryzurach kto na papiloty nie podrze, jeśli go kto kiedy znajdzie i przeczytać zechce, niech wybaczy nieumiejętności mojej w wielu rzeczach, niech pamięta, żem się nigdy pisać

dziennika nie uczyła, że jeszcze lat szesnastu nie mam i że co mnie dziś bardzo zajmuje i obchodzi, jemu w innych stosunkach i po tylu latach zapewne obojętnym się wyda… Ale co mnie się też zawsze po głowie uwija; jakież dziwactwa na myśl mi przychodzą? Wystawiam sobie rzeczy, które nigdy nie będą; ja bardzo lubię tak bujać, a to nie ma czasu na te urojenia; lepiej wrócić do rzeczy, do zaczętego rodziny mojej opisu: już ani zboczę z drogi, wszystko jednym ciągiem pióra napiszę.

Ród Korwinów znany jest w Polsce od Bolesława Wstydliwego; za jego panowania Warcisław Korwin, ze starodawnej rzymskiej idący familii, przybył tu z Węgier; przy Konradzie, księciu mazowieckim, był naprzód marszałkiem dworu, później hetmanem; ożeniwszy się z Pobożanką, szlacheckiego rodu panną, herb swój, kruk z pierścieniem, a inaczej Ślepowron, wyniósł nad Pobogiem, herbem żony swojej, i taki jest dotąd herb nasz. Wnuk owego Warcisława, Sławomir, od jednych z dóbr swoich Kraśno nazwanych pierwszy Krasińskim nazywać się zaczął. Wnuk zaś jego, Andrzej Krasiński, hetmaniąc ludziom księcia Konrada, poległ mężnie na Bukowinie r. 1497, w owej niepomyślnej za Jana Olbrachta przeciw Wołochom wyprawie, w której niemało walecznych Polaków zginęło. On był dziadem Franciszka, biskupa krakowskiego, którego ja bardzo kocham. Wizerunki wszystkich sławniejszych Krasińskich wiszą w bawialnej sali naszej, ale ja na obraz biskupa z największym upodobaniem patrzę i bardzo się cieszę, żem jest jego drużbą. On, zostawszy księdzem i kanonikiem, dwa razy od całego duchowieństwa polskiego jeździł do Pawła IV, papieża, i bardzo dobrze się sprawił; potem od Zygmunta Augusta wysłany posłem do Maksymiliana, cesarza, sprawy sobie zlecone uspokoił; zostawszy biskupem, bardzo wiele do tego się przyłożył, iż w r. 1569 doszła do skutku na sejmie lubelskim unia Litwy z Koroną. Król Zygmunt August, szacując wysoko wielkie jego przymioty, wyniósł go na biskupstwo krakowskie, a sam niedługo potem, umierając w Knyszynie, od niego na śmierć był przygotowany i sakramentami opatrzony. Łagodnego charakteru, on jeden z biskupów na sejmie warszawskim r. 1573, w czasie bezkrólewia, podpisał artykuły pokoju z różnowiercami, a gdy mu to wymawiano, usprawiedliwił się oczywiście, iż tak dla prawdziwego dobra Kościoła czynił. Ojczyznę bardzo kochał, nieraz na jej obronę wysyłał własnym kosztem uzbrojonych żołnierzy. W Kraśnem wymurował kościół, szkołę i szpital założył. Dwór chował liczny, ubogim znaczne sypał jałmużny; nie stracił braciom i

synowcom majątku, ale też go nie przysporzył i po jego śmierci bardzo mało w szkatule pieniędzy znaleźli.

Jeden z synowców biskupa, Jan, kanonik, był sekretarzem Stefana Batorego; bardzo uczony, dosyć pism zostawił; w jednym, pod tytułem „Polska", drukowanym w Bononii, opisał prowincje, rządy, obyczaje kraju swego wyborną łaciną i przypisał je Henrykowi Walezjuszowi, żeby i on, i jego Francuzi obeznali się z Polską. To dzieło bardzo już rzadkim się stało; Jmć Dobrodziej jeden tylko ma egzemplarz i jak relikwie go chowa; pisał on o elekcji Stefana i o śmierci Henryka: wszystko pięknie i po łacinie. Drugi synowiec biskupa, Stanisław, wojewoda płocki, wiele podróżował, Maltę, Sycylię, brzegi Afryki zwiedził, a z dwóch żon pięć córek i dziesięciu synów zostawił; siedmiu z nich się ożeniło, mieli potomstwo i rozkrzewili bardzo ród Krasińskich; jeden z nich, Aleksander, towarzysz usarski, za nieszczęsnego panowania Zygmunta III w tym samym maleszowskim zamku, w którym ja dziś tak spokojnie piszę, Tatarom, zagony swoje aż po te strony zapuszczającym, tak mężny i dzielny dawał opór, a w wycieczkach swoich tak srodze ich porażał, że wódz, przymuszony odstąpić od zamku, nie mógł przenieść na sobie, ażeby nie zostawił panu jego dowodu swego szacunku. Przez powiernika, także Tatarzyna, przysłał mu w darze, co miał najdroższego: zegar, prostej wprawdzie roboty, ale u nich natenczas za dziwowisko miany. Ten zabytek szczególny, ten dar od nieprzyjaciela, od Tatarzyna, który brać, nie dawać umie, chowany jest dotąd z wielką starannością w naszej rodzinie; dwa razy tylko widziałam go, tak go Jmć Dobrodziej pilnie chowa, i wiem, że by go nie oddał za dziesięć zegarów paryskich z kurantami. Mężny ten antenat nasz zginął na wojnie moskiewskiej, nie zostawiwszy potomstwa, czego wielce żałuję; miło by mi było iść w prostej linii od tak walecznego męża. Synowiec jego, Jan Bonawentura, wojewoda płocki, w Warszawie znacznym nakładem bardzo piękny i wspaniały pałac w włoskim guście wystawił, z dosyć sporym ogrodem. Nie byłam nigdy w Warszawie, więc nie wiem, czy to prawda, ale już od wielu osób słyszałam, że jest jednym z najpiękniejszych gmachów stolicy, nierównie piękniejszej architektury od pałacu Saskiego, a nawet od zamku królów. Ten Jan miał dwóch braci; jeden zostawił dwóch synów: Michała, podkomorzego ciechanowskiego, i Adama, biskupa kamienieckiego, dotąd żyjących; biskup w wielkim jest u wszystkich szacunku i nieraz Jmć Dobrodziej mówi, że kamieniecki jeszcze

przejdzie krakowskiego w sławie; drugi brat Jana Bonawentury, Aleksander, podkomorzy sandomierski, był rodzonym moim dziadem, bo syn jego, Stanisław, starosta nowomiejski, prasznyski, ujski, jest Jmcią Dobrodziejem, najukochańszym ojcem moim. Pojął za małżonkę Anielę Humiecką, sławnego wojewody podolskiego córkę, Jmć Dobrodziejkę matkę moję; ale ta linia Krasińskich na nim zgaśnie z wielkim żalem moim, bo nie mamy brata; za to jest nas sióstr cztery: Basia, najstarsza, ja, druga z kolei, Zosia i Marynia. Sługi i dworscy powtarzają mi często, że ja mam być najpiękniejszą, ale ja doprawdy, że tego nie widzę; wszystkie jesteśmy ułożone, jako na panny wysokiej kondycji, na starościanki przystało; wszystkieśmy proste jak trzciny, zdrowe jak rybki, białe jak mleko, rumiane jak róże; każdą z nas, zwłaszcza kiedy ją Madame dobrze wysznuruje, jak to mówią: ręką by objął w stanie. Na pokojach, przy gościach umiemy dygać nisko i z dégagé, siedzieć spokojnie na samym brzeżku stołka, oczy spuścić w ziemię, usteczka ścisnąć, rączki ułożyć; mogłoby się wtedy zdawać komu, że żadna z nas trzech zliczyć nie umie i chodzić dla niej trudnością; ale niechby nas kto widział, kiedy w poranki letnie bez sznurówek, bufonek i fryzur, bez trzewików na korkach, ale w rannej dezabilce i w wygodnych patynkach pozwolą nam Państwo iść do lasu, po górach się drapać: biegamy jak łanie, śpiewamy na humor, a biedna Madame ledwie nóg i piersi nie straci, tak za nami dąży i woła. Ja i młodsze moje dwie siostry jeszcześmy mało z domu wyjeżdżały: Końskie, gdzie mieszka ciotka nasza, pani wojewodzina Małachowska, i gdzie dwa razy do roku bywamy; Piotrkowice, wieś do nas należąca, w której Jmć Dobrodziej, wróciwszy z Włoch, piękną na wzór loretańskiej wystawił kaplicę, w której też często bywają odpusty i wiele ludu; Lisów, dokąd parafia Maleszowej, to cała nasza publika. Ale Basia, jako najstarsza, już kawał świata zwiedziła: była dwa razy w Opolu, u ciotki naszej księżnej Lubomirskiej, wojewodziny lubelskiej, którą Jmć Dobrodziej nie tylko jak starszą siostrę, ale jak matkę kocha i poważa; była przez rok cały w Warszawie u panien sakramentek; najwięcej też z nas wszystkich umie, najniżej dyga, najprościej się trzyma i najwięcej ma prezencji. Myślą Państwo, żeby i mnie gdzie na dokończenie edukacji oddać, i lada dzień spodziewam się, że powóz zajedzie, Jmć Dobrodziejka wsiąść z sobą każe i do Warszawy albo do Krakowa pojedziemy. Wybornie mi w domu, ale Basi i w klasztorze było wyśmienicie; będzie tak i ze mną; a co się wydoskonalę w francuskiej

mowie (bez której, jak mówią, dorzecznej białogłowie już żyć na świecie trudno), w menuecie, w muzyce, co wielkie miasto zobaczę — to będzie moje! Ponieważ dotąd nic prawie prócz Maleszowej nie widziałam, sądzić nie mogę, czy piękna, czy nie. Wiem tylko, że mnie się bardzo spodoba.

Niektórzy mówią, że nasz zamek o czterech piętrach, z czterema narożnikami, otoczony rowem pełnym wody, z mostem zwodzonym, w kraju skalistym i wśród lasów położony, jest nader smutny; ja tego bynajmniej nie doświadczam; mnie tak na świecie wesoło, że bym chętnie cały dzień skacząc śpiewała. Słyszę Państwa mówiących nieraz, że im nie dosyć wygodnie; w samej rzeczy, jest cztery piętra w naszym zamku, na każdym sala, sześć pokojów i cztery gabinety w narożnikach; jednak ponieważ nas jest bardzo wiele, nie możemy wszyscy i ze wszystkim na jednym piętrze się mieścić: na innym jadamy, na innym się bawiemy, a my, panny, aż na trzecim mieszkamy. Państwo oboje już niemłodzi, przykro im tak co dzień wchodzić i schodzić, ale mnie te wschody niezmiernie bawią; kiedy jeszcze rogówki nie mam, to często, jak się uchwycę poręczy, w mgnieniu oka jestem na dole, nie dotknąwszy nogą ziemi. Pomimo tego, że goście często w ciasnocie mieścić się muszą, bywa ich bardzo wiele, i nie wiem, czy byśmy w wielkich gmachach lepiej bawić się mogli, czyby maleszowski zamek, choćby trzy razy był większy, mógł być świetniejszy. Tak w nim huczno, dworno i okazale, że go sąsiedzi małym Paryżem zowią. Osobliwie jak Bóg da zimę, to już kapitan dragonii naszej mostu przed wieczorem spuszczać nie każe, tyle się zjeżdża osób; kapela nadworna ma co do roboty, gra co dzień, a my tańcujemy do upadłego. I lato nie jest bez przyjemności: chodzimy, jeździemy, poobiedzia trawiemy w naszej sieni, która jest wyborna: niezmiernie wysoka, bo przez wszystkie piętra zamku idzie, oświecona z góry. W największe upały tak w niej chłodno jak w piwnicy. A i dworu naszego przepomnieć nie mogę; stosownie do majątku Państwa, który jest bardzo znaczny, do mnóstwa osób, które prawie nieustannie w maleszowskim zamku goszczą, musi być liczny i okazały; jest też takim i nie wiem, czyby wielu panów w Polsce przejść nas mogło w tej mierze.

Dwór nasz składa się z dworzan i z dworskich; dworzanie w większej są powadze; jedni są respektowi, drudzy płatni, wszystko sama szlachta z szablą u boku; niektórzy z nich byli wprawdzie przedtem czynszowi, czy okoliczną szlachtą, lecz Jmć Dobrodziej powiada: „szlachcic na zagrodzie

równy wojewodzie”; nikt im więc żadnego zarzutu nie czyni, uchodzą za szlachtę, na sejmikach mają glosy i dobrze ich mieć za sobą.

Respektowych dworzan, których jest kilkunastu, taka cała funkcja: przyjść na pokoje, czekać przybycia Jmć Dobrodzieja, prezentować mu się w przyzwoitym ubiorze, z miną do usług gotową, wykonać śpiesznie rozkaz jego, jeśli da jaki; jeśli nie, rozmawiać z nim, grać w karty, towarzyszyć mu w czasie odwiedzin albo przejażdżki, bronić go w każdej potrzebie, głosować za nim na sejmikach i jego, i gości, kiedy są, bawić. Tej ostatniej powinności najlepiej dopełnia nasz Macienko; szczególny to człowiek, a powiadają, że dawniej takich ludzi bardzo wiele bywało i nie mógł się żaden dwór obejść bez takowego; niby on jest głupi, niespełna rozumu, a tymczasem bardzo trafnie o wszystkim sądzi i często bardzo dowcipnie się odezwie. Żaden z dworzan jego przywilejów nie ma; jemu zawsze wolno mówić, i to prawdę. Dwór cały zowie go błaznem, ale my go zowiemy Macieńkiem, bo mu Maciej na imię i na tamten przydomek bynajmniej nie zasługuje. Do respektowych dworzan należy sześć panien dobrego urodzenia, które z nami mieszkają, pod naszej Madame są okiem, i dwóch karłów. Jeden z nich ma lat 40, twarz starą, a wzrost czteroletniego dziecka; ubierają go po turecku; drugi ma lat 18, bardzo foremny i ładny, po kozacku chodzi; często na zabawę Jmć Dobrodziejka stawiać go każe na stole w czasie obiadu i on tak się przechadza pomiędzy półmiskami i butelkami, jakby po ogrodzie. Dworzanie respektowi nie biorą żadnych zasług; prawie wszyscy są synami dosyć majętnej szlachty, oddani do naszego dworu dla nabrania ułożenia i dla promocji do urzędów. Daje im się jednak obrok na parę koni i dwa złote na tydzień na masztalerza albo na pacholika, którego sobie utrzymywać powinni. Każdy ma swojego służkę, jeden go po węgiersku, drugi po kozacku ubiera; to moja największa zabawa patrzeć, jak każdy z nich w czasie obiadu lub wieczerzy za panem swoim stoi, zagląda na jego talerz ciekawie, oblizuje się i łyka zawczasu, i rad by wydarł oczami każdy kawałek, który on do gęby kładzie, bo to, co mu pan zostawić raczy, całym jego jest jadłem; dla tych służków stołu osobnego nic ma. Macieńko co dzień dziwne rzeczy ze swoim pacholikiem wyprawia, często boki zrywamy, śmiejąc się z nich obudwóch.

Płatnych dworzan jest więcej niźli respektowych; ci nie siadają do stołu, prócz kapelana, doktora i sekretarza; marszałek i piwniczny stoją za stołem, chodzą, patrzą, czy gdzie komu czego nie brakuje; Państwu i gościom co

dzień i gęsto wina dolewają; dworskim tylko w dni świąteczne, i to po małej lampeczce. Komisarz, podskarbi, koniuszy, rękodajny, szatni — wszystko to u marszałkowskiego stołu siada. Już to i ci dworzanie, co z nami siadają, honoru mają wiele, ale korzyści niedużo, bo nie zawsze jedzą to samo co my, chociaż z tego samego półmiska; na przykład na pieczyste kucharz ułoży na wierzchu drób i zwierzynę, a pod spodem jest pieczeń wołowa albo wieprzowa; dlatego też kawał stołu, przy którym siedzą, szarym końcem się zowie. Chociaż na dwóch ogromnych półmiskach każdą potrawę obnoszą i z początku zdaje się niepodobieństwem, żeby zniknąć miały te fury zrazów albo bigosu, bardzo często ostatniemu ledwie łyżka strawy się dostanie. Potężnie wszyscy jedzą i czy jak co dzień kucharz da cztery potrawy, czy siedem w dnie świąteczne, czy dwanaście, kiedy wiele gości, jeszcze nie pamiętam, żeby co kiedy zeszło ze stołu. Panny służebne w równej są u nas godności jak dworzanie respektowi, bo do naszego stołu siadają.

Dworzanie płatni wcale sute biorą zasługi, od trzechset do tysiąca złotych, obrok dla koni, barwa dla służącego, ale też Jmć Dobrodziej wymaga, żeby porządnie chodzili i osobliwie kiedy są goście, aby się prezentowali suto i modnie. Kiedy z którego kontent, to znajdzie łatwo sposobność obdarzenia go, a co rok w dzień imienin swoich hojne im daje podarunki, to z garderoby, to w gotowiźnie.

Dworskich nierównie jest u nas więcej jak dworzan, wszyscy pod jurysdykcją marszałka, który ma moc strofować ich i karać. W pierwszym rzędzie są pokojowcy; ci zwykle są szlachta i tylko w tej służbie jakby nowicjat odprawiają, nie dłużej nad trzy lata; wszystko chłopcy młode, od lat 15 do 20. Tych choć marszałek bić każe, jak i innych, skoro przewinią, nie rozciągają na gołej podłodze, jak liberią prostej kondycji, ale na kobiercu. Nasz marszałek dosyć jest surowy, częste plagi rozdaje; powszechne jest zdanie, że tak czynić z młodzieżą przystoi dla utrzymania jej w przyzwoitej ryzie. Jmć Dobrodziej zawsze powtarza, że w całym zamku maleszowskim nie ma pokoju, nie ma stołka, na którym by plag nie dostał; może dlatego taki dobry?

Pokojowców mamy kilkunastu; jednemu z nich, Michałowi Chronowskiemu, dorodnemu, ale ubogiemu szlachcicowi, w dzień Trzech Króli nowicjat się skończy: będzie ceremonia wyzwolenia.

Całą służbą pokojowca jest: być na pokojach pańskich dobrze ubranym prawie od rana do wieczora; kiedy jedziemy powozem, asystować konno albo pieszo i być zawsze gotowym do posyłki, bo czy państwo list mają pilny, czy chcą gości jakich zaprosić, czy podarek komu posłać, zawsze pokojowców używają. Reszty dworzan i wyliczyć trudno; doprawdy ani wiem, jak wiele u nas kapeli, kucharzy, hajduków, kozaków, pacholików, chłopców, garderobian, dziewcząt służebnych. Wiem tylko, że jest pięć stołów, a dwóch szafarzy od świtu do południa mają co robić z wydawaniem na obiad i na wieczerzę.

Bardzo często Jmć Dobrodziejka jest przy tym, zwłaszcza kiedy nowe do magazynu przywożą prowianty, klucz zaś od apteczki, gdzie korzenie, specjaliki i dobra wódka, zawsze przy niej, a co rano marszałek podaje jej spis potraw, jakie mają być na obiad i na wieczerzę, a ona z radą Jmć Dobrodzieja zmienia je lub pochwala.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzecim piętrze, wraz z Madame; każda z nas ma łóżko żelazne z firankami. Basia, jako najstarsza, ma dwie poduszki i becik mantynowy, my po jednej i kołdrą flanelową. Wstawszy i ubrawszy się naprędce, mówiemy z Madame pacierz francuski, po czym zaraz do nauki. Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu, ale teraz tylko Zosię i Marynię uczy, a Basię i mnie sama Madame. Uczemy się na pamięć rozmów i wokabuł z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora, a o ósmej godzinie schodziemy na dół do Państwa na dzień dobry i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie co dzień jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity; po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem, tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie; cały dwór i my mówiemy je głośno za nim. Muszę się też kiedy spytać, co one znaczą. Po tym nabożeństwie wracamy na górę uczyć się wokabuł i słów niemieckich; piszemy też i listy na zadania; Madame nam wiersze poety francuskiego Malherba dyktuje; mamy też klawicymbał i metra do niego Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi i trzysta złotych na rok bierze. Wszystkie się uczemy grać, Basia wcale niczego brzdąka; potem kładziemy podwłośniki i fryzjer nadworny po starszemu nas fryzuje: często ból srogi ponieść wypadnie, osobliwie kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja

mam najdłuższe i najgęstsze włosy, po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotowalnią siedzę, na mojej też głowie zwyczajnie swoje próby robi; ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury; dzisiejsza na przykład w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby z niechcenia: włosy wszystkie sczesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zawinięta, spada kręcąc się na kark i na ramiona; pudru w nich z pół funta. Ubiór nasz trwa parę godzin, przez ten czas uczemy się na pamięć przysłowiów różnych francuskich, a bez pamięci cierpliwości; jak teraz to czas gotowalni krótszy mi się wydaje, bo nam Madame czyta głoś-, no dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcymoralne: „Magasin des enfants", przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z elewkami i wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastej, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodziemy na dół na obiad i już do końca dnia Państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja. Mamy też raz na raz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic, haftujemy w krosnach, póki tylko widno, a przy świecy robiemy siatki na wyścigi; świec pali się zawsze kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne; ja tej już zimy wieczorami do całej komeżki zrobiłam siatkę z pokrzywki i poszyłam ją w drobne muszki. Wieczerza o siódmej i zimą, i latem; po wieczerzy już nie ma roboty, tylko zabawa; gramy w karty w mariasza albo w drużbarta; warto widzenia, jakie miny Macieńko wyrabia, kiedy ma dolą albo siódemki, ja pękam od śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec wysyłany co tydzień do Warszawy powraca, kapelan czyta gazety, „Kuriera", listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często czyta także nam Jmć Dobrodziej stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wcale zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie książki daleko więcej od polskich zajmują i nierównie więcej ich czytałam: bo nasza Madame ani słowa po polsku nie umie; z Państwem raz w tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty, to jeszcze rzadsze czytanie: gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec. Ani sobie wystawiam, jak się bawią w Warszawie u dworu: bo oczywiście, że jeszcze lepiej i huczniej jak w maleszowskim zamku; rada bym z duszy przez ciekawość samą zakosztować kiedy tych zabaw… Ale co słyszę? Już na dwunastą dzwonią; trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie

Anielskie co tchu odmówić, fryzury poprawić, biec na dół i zostawić na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

2 stycznia, we wtorek

Wczora byłam zajęta, jak Jmć Dobrodziej zowie, prywatą, to jest domowymi rzeczami; dziś zajmie mnie publika, czyli rzeczy publiczne. Nie byłabym godną być Polką, gdyby mnie nie obchodziło to, co z krajem moim się dzieje; często też o nim w domu naszym mowa: ja zawsze przysłuchiwałam się temu pilnie, ale od czasu jak ten dziennik pisać zamierzyłam, dwa razy więcej nadstawiam ucha. Mam więc co powiedzieć. Dziś u nas nad Koroną i Litwą panuje August III, elektor saski; siedemnastego tego miesiąca 25 lat się skończy, jak go biskup krakowski koronował. Przeciwna jemu partia, jak niegdyś ojcu jego, Augustowi II, chciała po drugi raz wynieść na tron Stanisława Leszczyńskiego, lecz August potężne miał wsparcie i przy nim korona została. Leszczyński, któremu nawet przeciwna strona nic zarzucić nie może, jedno to, iż nie miał pieniędzy i wojska, wrócił do swoich Lotaryńczyków, których dotąd uszczęśliwia. Do ubiegania się o koronę polską, na którą dzisiejszy król po śmierci ojca bardzo obojętnie miał spoglądać, powiadają, że go najwięcej namówiła żona jego, Maria Józefa, a tej pani powszechnie tę oddają sprawiedliwość, że była godną być królową polską. Kochała Polaków, intryg nie lubiła, męża odwodziła od złego, ile mogła; miłosierna, dobroczynna, pobożna, dobra żona, dobra matka, surowych obyczajów, zbiorem cnót niewieścich nazwać ją było można; drugi rok temu, jak umarła w Dreźnie: czternaście dzieci miała, jedynaście zostawiła żyjących, siedem córek i czterech synów. Pamiętam dobrze, jakim żalem jej śmierć wszystkie serca napełniła. Po wszystkich kościołach w Litwie i w Koronie żałobne za nią odprawiło się nabożeństwo; w naszych Piotrkowicach były sute egzekwie, ubodzy szczególnie rzewnie płakali, bo prawdziwą w niej matkę stracili.

Król bardzo ma być łagodnego i dobrowolnego umysłu, polega też zupełnie na zdaniu ministra swojego Brűhla; ten prawdziwie i nim, i Polską, i Saksonią rządzi. W Saksonii teraz bardzo źle się dzieje; Prusy, owe nowo

powstałe państwo, dziś prawie Europą trzęsie. Wielki, jak — mówią, człowiek nad nim panuje. Kurfirszt brandenburski 1701 roku tytuł króla pruskiego przybrał i sam sobie na głowę koronę włożył. Rzeczpospolita dotąd tego tytułu nie przyznała, a dziś następca jego podług upodobania gotów drugim korony kłaść lub zdejmować; sam opiera się Austrii, Saksonii, Moskwie i co dzień kraje swoje powiększa; zręczność jego, biegłość w polityce, znajomość sztuki wojennej ma być niepojętą, a przy tym filozof, uczony i charakteru dzielnego. Słyszałam już nieraz mówiących: „Oj! Fryderyka Wielkiego by teraz Polsce na króla potrzeba!” Ale kiedy nie tylko nie mamy go na naszym tronie, ale owszem, przeciwnym sobie, dodają także mądrzy ludzie i te słowa: „Bodajbyśmy z łaski jego później czy prędzej nie zginęli; bodajby to państwo, które z Polaków powstało, nie zgubiło kiedy Polaków!”. Bo jak ciż sami mądrzy ludzie do ucha sobie szepcą, źle z Rzeczpospolitą się dzieje, a co jest najgorsza i na to życie, i na tamto, co do wszelkiej wielkości największą bywa przeszkodą: coraz mniej w Polakach ma być starodawnej cnoty; wszyscy prawie szukają dogodzenia własnej ambicji, własnego zysku, zapominają o wspólnej matce; aby im dobrze było, o ogół nie stoją; sejmy, choć się zbiorą, nie dochodzą, nic więc dobrego uradzić nie mogą. Na próżno głos księdza Konarskiego i kilku prawdziwych Polaków woła na tych obłąkanych! Nie słyszą go, bo już przeważyła złych i podłych szala i patrzeć tylko chwili, kiedy wszystkich za sobą pociągnie. Jednak jest jeszcze nadzieja, może być ratunek. Nasz tron jest elekcyjny, król dziś nam panujący bardzo stary, ma lat 63; niedługo więc może być inny. Ten, jeśli będzie wysokiego umysłu, cnoty stałej, niepospolitego męstwa, potrafi wybawić Rzeczpospolitą. Jeszcze w granicach swoich jest nienaruszona, jeszcze ogromny kraj posiada. Pan Bóg dobry i miłosierny udzielić raczy dzielności głowie narodu, zgody członkom, i ocaleni będziemy. Już tej głowy narodu, tego przyszłego króla, wszyscy wypatrują ciekawie: kilku mają na oku, mnie o dwóch słyszeć się zdarzyło: jednym jest Stanisław Poniatowski, syn kasztelana krakowskiego (który w wielkich był łaskach u Karola XII) i księżniczki Czartoryskiej; drugim jeden z synów naszego króla, królewicz Karol. Nie wiem dlaczego, ku temu drugiemu serce moje więcej się skłania, chociaż tamten bliższy, bo rodak; ale już wiem dlaczego: więcej przymiotów w nim wszyscy upatrują. Osoby, które kiedyś rządzić

nami mogą, obchodzić nas muszą; napiszę więc tu, co tylko wiem o obudwóch.

Poniatowski jest młody i bardzo piękny, uprzejmy, zwiedził wiele krajów, przejął grzeczność francuską i białogłowom szczególniej dziwnie podobać się umie; nauki i uczonych bardzo lubi; przeszło cztery lata ciągle w Petersburgu gościł jako sekretarz poselstwa Rzeczypospolitej, teraz niedawno odwołanym został, w wielkich tam był i jest faworach i na tym najwięcej gruntują nadzieję przyszłej jego wielkości, bo już od dawna wolnym na pozór Polakom nie ich własny wybór, ale obce mocarstwa narzucają królów.

Królewic Karol ma lat 26, z czterech synów dorosłych króla on jest trzeci w rzędzie, najwięcej od ojca i od wszystkich kochany i jak mówią, najgodniejszy kochania; postawa jego ma być okazała, twarz nadzwyczajnie przyjemna, łagodna, obejście się z każdym miłe. Rzadki ma dar serc ujmowania; prawie od urodzenia ciągle bawi w Polsce, kocha Polaków, zna nasz język; w Rzeczypospolitej i na grzecznym dworze chowany, ani jest dumny, ani nadto się pospolituje. Uznawszy w nim te przymioty, król nasz, który synów swoich przy różnych dworach mieścić się stara, tego przeznaczył do służby w wojsku moskiewskim i do zarabiania na życzliwość dworu, na którego opiekę najwięcej rachuje. Rok będzie niedługo, jak go pierwszy raz do Petersburga wyprawił, miał w tym jaszcze i inne widoki: chciał, żeby królewic księciem Kurlandii mógł zostać. O tym Księstwie Kurlandzkim, jak sobie zapamiętam, tak mówiących słyszę, i oto jest, co mi o nim zostało w pamięci. Księstwem Kurlandzkim, państwem hołdowniczym Polski, król nasz, nie wiem doprawdy, jakim sposobem, miał prawo raz już tylko rozporządzić. W roku 1737 oddał go prawem lennym hrabi Bironowi i potomstwu jego płci męskiej; ale Biron, niegdyś faworyt imperatorowej Anny, wpadł w niełaskę i wygnany wraz z rodziną na Syberią został; tam już lat kilkanaście siedzi, a Księstwo Kurlandzkie dotąd było bez pana. Król nasz, namawiany od dawna do rozporządzenia nim na nowo, nakłonił się dać je synowi swojemu; ale do ważności tego daru przychylenia się Moskwy i stanów kurlandzkich trzeba było, gdyż Biron nie był prawnie, tylko jakby tymczasowo z tej godności wyzuty. Któż mógł snadniej to przychylenie sprawić od królewica Karola, który tak skłaniać serca ku sobie umie? Jadąc do Petersburga, zatrzymał się czas jakiś w Mitawie, stołecznym mieście

Kurlandii, i ujął sobie znaczniejszych obywateli. Przyjechawszy do Petersburga, zaledwie kilka tygodni zabawił, kiedy imperatorowa Eliżbieta oświadczyła publicznie, że już nigdy ani Birona, ani synów jego nie odwoła z wygnania i że żąda nawet, aby król polski synowi swemu Księstwo Kurlandzkie nadał.

To jej oświadczenie i zalecenie uroczyście było oddane w roku przeszłym królowi, w chwili kiedy się sejm zgromadzał; ale że ten, według panującego od jakiegoś czasu obyczaju, zerwanym wcześnie został przez Podhorskiego, posła wołyńskiego, nie mogła być ta okoliczność na nim roztrząśnięta; zwołano więc radę senatu. Wielkie były spory: niektórzy senatorowie, osobliwie książęta Czartoryscy, dowodzili, że król nie ma już prawa rozporządzać Kurlandią, zwłaszcza bez sejmu, że Biron, nie wytrzymawszy procesu kryminalnego i sądu, nie może być pozbawiony nadanego sobie raz księstwa; że wreszcie nadanie go królewicowi trwałym nie będzie, bo ze śmiercią panującej imperatorowej wszystko odmienić się może. Nic to nie pomogło, 5 tylko głosów było przeciwko królewicowi, 128 za nim, oczywiście więc przeważyli. Wielki kanclerz koronny diploma na to księstwo mu oddał, a dziś właśnie jest dzień naznaczony na inwestyturę. Wielkie uczty mają się odprawiać w Warszawie. Król z radości, że doszła część widoków jego względem ukochanego syna, mówią, że na dziesięć lat odmłodniał. Ja wiedzieć nie mogę, czy to źle, czy dobrze się stało. To wiem, żem bardzo z tego kontenta, bo dobrze królewicowi życzę. Nie wiem doprawdy, skąd, za co i dlaczego, ale mocno mnie obchodzi; zdaje mi się, że los Rzeczypospolitej wkrótce od niego zależeć będzie, że on burzę Polakom grożącą odwróci, rząd dobry, prawa nam nada: tego wszystkiego nie będzie mógł zrobić, jeśli królem polskim po ojcu nie zostanie, a wszyscy mówią, że Księstwo Kurlandzkie bardzo mu może posłużyć za stopień do tronu. Bądź co bądź, żal mi trochę, żem w tej chwili nie w Warszawie; ciekawa bym była uczt, festynów, króla, dworu, a nade wszystko królewica. Będziemyż przynajmniej zdrowie jego u stołu spijać i głośno wykrzykiwać wiwaty.

Dnia 3 stycznia

Wczora, kiedy w najlepsze przy odgłosie nadwornej kapeli i strzelaniu naszej dragonii piliśmy wraz z gośćmi zdrowie księcia kurlandzkiego, pokojowiec wysłany do Warszawy wrócił i przywiózł listy donoszące, że dla słabości królewica odłożona uroczystość inwestytury na 8 stycznia. „To jakaś niedobra wróżba — powiedział Macieńko — usunęła się mitra, wysunie się korona”. Jam się zasmuciła. Ale nie mogłam być długo smutna; zaraz po obiedzie przyjechało więcej gości; przyjechała pani podczaszyna Dembińska z synami i z córką, pan stolnik Jordan z żoną i z synem i nareszcie pan Świdziński, wojewoda bracławski, z synowcem swoim, księdzem Wojciechem, jezuitą; ten już był w Maleszowie kilka razy; bardzo zacny i pobożny. Państwo niezmiernie go lubią i szacują wysoko; chociaż jeszcze nie stary, wszyscy, jako księdza, całujemy go w rękę; na Basię szczególniej łaskaw, przywiózł jej różaniec i nową książkę do pacierza, „La Journée du chrétien”; przy wieczerzy siedział przy niej i kilka razy do niej przemówił. Nic dziwnego, Basia najstarsza, najlepsza, wszyscy zawsze dla niej najgrzeczniejsi.

Dnia 5 stycznia, w piątek

Ciągle bawi pan wojewoda z synowcem i inni goście, a dziś podobno nowi przybędą. Przyjadą obadwa synowie pana wojewody, starszy — starosta radomski, młodszy — pułkownik wojsk króla Jmci. Pan wojewoda, wdowiec od lat kilkunastu, ma prócz tych synów dwie córki; obie już za mężem; starsza, Bona, jest za Granowskim, wojewodą rawskim, młodsza, Marianna, za Lanckorońskim, kasztelanem połanieckim: tej niedawno odprawiło się wesele. Tych panów Świdzińskich bardzo jestem ciekawa, bo obadwa chowali się we Francji, w Lunewilu; zupełnie inaczej muszą wyglądać jak nasi Polacy. Dobry król Stanisław, choć w obcym mieszka kraju, przecież swoim rodakom chce być użytecznym. W Lunewilu, gdzie rezyduje, utrzymuje własnym kosztem kilkunastu z młodzieży polskiej, tam im najpiękniejszą edukacją dawać każe. Panicze z najpierwszych familii ubiegają się o ten zaszczyt, wynajdują sobie pokrewieństwa z Leszczyńskim, choćby najdalsze; i nie ma dla młodego kawalera lepszej rekomendacji, jak kiedy powiedzieć o nim można: edukował się w

Lunewilu, był w Paryżu. Już natenczas pewnie grzeczny, umie po francusku i z gracją tańcuje menueta i kontradanse. Wszyscy też kawalerowie z Francji przybyli wielki, zwłaszcza u białygłów, mają sukces, i powtarzam, żem niezmiernie panów Świdzińskich ciekawa.

Dnia 6 stycznia, w sobotę

Przyjechali wczora po obiedzie, nie mogę powiedzieć, żeby byli zupełnie tak, jakem ich sobie wystawiła, zwłaszcza pan starosta. Jam myślała, że zobaczę jakiegoś młodego, wysmukłego trefnisia, podobnego do księcia Cheri (tak ślicznie wystawionego przez panią de Beaumont), który nie inaczej, tylko po francusku mówić będzie; a pan starosta już niemłody, ma lat trzydzieści, dosyć otyły, tańcować nie lubi i nawet nie wiem, jak mówi po francusku, bo się ani razu z francuszczyzną nie odezwał; łacinę tak miesza jak i ojciec jego. Pan pułkownik lepiej mi się podobał: młodszy, w mundurze i przecież parę razy po francusku przebąknął.

Dziś Trzy Króle, dzień wesoły, odprawi się ceremonia wyzwolenia Michała Chronowskiego i ogromny placek pieką w kuchni z migdałem, kto też go dostanie? Ach! mój Boże! gdybym ja królową została! mnie by wieniec na głowę włożyli, ja bym miała prawo przez cały wieczór rej wodzić w zabawach! O! dopiero byłyżby tańce!… Może i tak będą, bo bardzo wiele spodziewamy się gości. Mruczał sobie stary nasz kredencerz pod nosem, że przed kościołem w Piotrkowicach pełno ma być karet, kolasek i bryczek; on już zawczasu zrzędzi i narzeka na robotę; a ja z radości skaczę. Mój Boże! jak to jedna rzecz jednego martwi, a drugiego cieszy.

Dnia 7 stycznia, w niedzielę

O! w samej rzeczy pełno było i jest gości; staremu Jacentemu przybyły dwa nowe zmarszczki na czole, ale my zabawiliśmy się cudownie. Nie ja, lecz Basia została królową, i równie wesoło zszedł mi wieczór, jak gdybym

ja nią była. Kiedy przy końcu obiadu, po rozdaniu placka, Basi migdał się dostał, jakby we krwi stanęła; a gdy to nasza Madame, przy niej siedząca, na głos oświadczyła, wszyscy będący u stołu, nawet dworscy za stołem, krzyknęli: „Wiwat!”. Macieńko powiedział z uśmiechem: „Kto dostał migdała, dostanie Michała. Bo to podobno jest taka wróżba: której pannie w dzień Trzech Króli migdał się dostanie, ta jeszcze w te same zapusty za mąż pójdzie”. O! dałby Bóg, żeby się ta wróżba na Basi ziściła, mielibyśmy wesele.

Pan starosta ciągle mi się nie podoba, taki poważny; wczora tylko polskie tańce tańcował, o Paryżu, o Lunewilu bardzo mało rozprawia, z nami, pannami, wcale się nie wdaje, do żadnej nie przemówił; z Państwem jedynie rozmawia, gra w mariasza, gazety czyta — zawsze powtarzam, że już wolę brata; naprzód młodszy i przecie na nim znać więcej Paryż i Lunewil.

Ale… zapominam o Michale Chronowskim; ceremonia wyzwolenia jego odbyła się po obiedzie, ubawiła mnie bardzo. Wszyscy goście zebrali się na sali i zasiedli; Jmć Dobrodziej zajął nieco wyższe krzesło w środku, otworzyły się podwoje, marszałek, dworskich kilku wprowadzili wyzwolońca, już nie w barwianych, ale w paradnych sukniach: ukląkł przed Jmć Dobrodziejem, ten go uderzył z lekka w twarz, żeby pamiętał łaskę jego, przypasał mu szablę do boku, wypił do niego spory kielich wina i ofiarował konia z siedzeniem i drugiego z masztalerzem, którzy już w tę chwilę czekali przed zamkiem na nowego pana; zapytał go się potem, czy chce pozostać u naszego dworu, czyli też woli iść w świat, Chronowski odpowiedział, że lubo mu bardzo tu dobrze, przecież życzyłby sobie szukać promocji, i żądał rekomendacji do księcia Lubomirskiego, wojewody lubelskiego, szwagra Jmć Dobrodzieja. Przyobiecał ją, a wsunąwszy mu w rękę 20 czerwonych złotych, prosił, ażeby w zamku maleszowskim do końca zapust gościć raczył. Przyjął Chronowski te zaprosiny z wielką radością, a skłoniwszy się do nóg obojgu Państwu i wszystkie przytomne damy pocałowawszy w rękę, przypuszczonym został do naszej kompanii i w wieczór dzielnie z Basią mazura i krakowiaka wywijał; przyznać mu trzeba, że nikt tak gładko i ochoczo nie tańcuje jak on; Basia także dziwnie w tańcu szykowna i pięknie im było razem.

Dnia 8 stycznia, w poniedziałek

Już też rzecz niepodobna, żeby komu wróżba migdała prędzej się ziściła; Basia tych zapust jeszcze pójdzie za mąż, a za kogo? za Michała; bo panu staroście Świdzińskiemu Michał na imię, a on wczora wieczór Jmć Dobrodzieja o jej rękę prosił; przysłali po nią Państwo dziś rano przed śniadaniem, oświadczyli jej tę jego prośbę i zaręczyny odprawią się jutro. Basia zapłakana wróciła do nas; powiedziała nam, po co ją wołał pokojowiec; mówiła mi, że się boi iść za mąż, że jej bardzo żal będzie domu rodzicielskiego, ale że niepodobna tej partii omijać, kiedy ją oboje Państwo zapewniają, że będzie bardzo z panem starostą szczęśliwa. Ma być człowiek pobożny, uczciwy, łagodny; familia jego szlachecka, dawna, majętna; pod Chocimem, pod buławą sławnego Chodkiewicza trzej bracia Świdzińscy: Aleksander, Michał i Antoni, polegli; majątek piękny, już ma wypuszczone od rodziców dobra Sulgostów z wspaniałym pałacem, a oprócz tego król mu dał niezłe starostwo i czekać tylko, rychło kasztelanii dostanie. Pan wojewoda i ksiądz Wojciech jedynie tu po to przyjechali, już od dawna ten projekt mieli i bardzo sobie gorąco życzą, żeby doszedł do skutku. Panu wojewodzie niezmiernie miała Basia do serca przypaść; jak ją pozna, pokocha ją jeszcze lepiej. Będziemy więc mieli wesele; o! cieszę się niesłychanie; odprawi się w maleszowskim zamku 25 lutego, w same ostatki: będziemyż tańcować!… Basia zostanie panią starościną; to jedyna szkoda, że już jej nie będzie wolno Basią nazywać. Żal mi teraz tego, com o panu staroście w tym dzienniku napisała — ale cóż? nie jest ci to nic tak bardzo złego. Wreszcie kiedy się Basi podoba, to i dosyć; ona mówi, że się zawsze młodych bała, że lubi takich poważnych mężczyzn, i Jmć Dobrodziejka jej powiedziała, że tacy najlepszymi bywają mężami. Może być, ale ja jednak wesołych i fertycznych wolę; każdemu swój gust mieć wolno… Ale, ale… dziś też niezawodnie odprawi się w Warszawie inwestytura królewica Karola na Księstwo Kurlandzkie: już wyzdrowiał. Pan pułkownik Świdziński zna go z bliska, odchwalić się nie może jego przyjemności; pan wojewoda i starszy syn jego nie są jednak za tym, żeby on był po ojcu królem polskim; mówią, że rodak lepszy.

Dnia 10 stycznia 1759 r., we środę

Już więc po zaręczynach: odprawiły się wczora. Do obiadu wszystko było jak zwyczajnie, Basi tylko, gdyśmy na pokoje się zeszli, Jmć Dobrodziejka dała do zwinięcia motek splątanego jedwabiu. Basia wzięła się do tej roboty; cała w płomieniach; oczów na nikogo podnieść nie śmiała, tym bardziej że oczy wszystkich, a szczególniej pana starosty, na nią zwrócone były. Wolała więc patrzeć jedynie w swój jedwab i w ziemię; a do tego niegodziwy Macieńko sprzeciwiał jej się niesłychanie, żarciki sobie z niej stroił, z których wszyscy śmieli się serdecznie: ja tych żarcików po większej części nie rozumiałam, ale jednak śmiałam się może więcej od wszystkich. Po obiedzie Basia usiadła przed zwijadełkiem w oknie, pan starosta zbliżył się do niej i powiedział dosyć głośno: „Czyż prawda, że Waćpanna Dobrodziejka nie sprzeciwiasz się szczęściu mojemu?” — „Wola najukochańszych rodziców była zawsze dla mnie najświętszym prawem” — odpowiedziała Basia cichym i drżącym głosem i skończyła się narzeczonych rozmowa.

Gdy się liberia i dworscy rozeszli i zostaliśmy sami z gośćmi, pan wojewoda z księdzem Wojciechem powstał z miejsca swego, wziął za rękę pana starostę, stanął z nim przed Państwem, którzy właśnie razem na jednej kanapie siedzieli, i tak powiedział: „Od dawna serce moje najszczerszym afektem, najgłębszym uszanowaniem ku przezacnemu domowi Korwinów Krasińskich jest przejęte; od dawna życzę sobie gorąco, ażeby skromny nasz Półkozic uświetnił się ich zacnym Ślepowronem; i niewymowną jest dla mnie satysfakcją, iż przecudowna łaska JW. WaćPaństwa Dobrodziejstwa tej konsolacji dziś zakosztować mi pozwala. Macie przezacną córę Barbarę, ja mam syna Michała, który jest chlubą i pociechą moją; raczyliście się już przychylić do połączenia dozgonnie tej młodej pary: raczcie dziś potwierdzić tę obietnicę. Oto pierścień, który przed laty od rodziców dla zmarłej już, niestety! lecz żyjącej jeszcze w sercu moim oblubienicy w podobnym-że razie dostałem: pozwólcie, ażeby go syn mój na zadatek ściślejszego związku córze waszej ofiarował”. To mówiąc, dobył kosztownego pierścienia z brylantami i złożył go na tacy, którą trzymał ksiądz Wojciech; ten przemówił także do Państwa, ale że wiele przymięszał łaciny, nie zrozumiawszy nie mogłam słów jego spamiętać. Jmć Dobrodziej

zaś tak obudwom odpowiedział: „Com onegdaj wyrzekł, to i w tej chwili powtarzam; przeciwko dozgonnemu związkowi córki mojej z zacnym starostą nic nie mam; daję mu ją chętnie z życzliwym błogosławieństwem i całe moje prawo ojcowskie nad nią zlewam na niego”. — „I ja toż samo z serca czynię — dodała Jmć Dobrodziejka — oto pierścień, klejnot w domu moim najdroższy, bo go ojciec mój, Stefan Humiecki, wojewoda podolski, z rąk śp. Augusta II dostał, kiedy do skutku pakta karłowieckie doprowadził i Kamieniec Podolski ostatecznie Turkom odebrał. Tym pierścieniem ja zaręczoną zostałam, ten pierścień najstarszej córce mojej daję, z macierzyńskim afektem i z szczerą prośbą do Wszechmocnego Boga, ażeby jej szczęście podobne mojemu przyniósł”. I położyła na tacy pierścień z ogromnym diamentem, pod spodem którego jest miniatura nieboszczyka króla. „Basiu! chodź tu, wasze!” — zawołał wtenczas Jmć Dobrodziej; wstała, poszła, ale nie wiem, jak mogła przejść pokój, tak była zmięszana, tak się chwiała, że idąc, ledwie nie upadła. Ksiądz Wojciech wyrzekł nad pierścionkami łacińskie błogosławieństwo, dał pierścień z brylantami panu staroście, który go na mały palec u lewej ręki, serdecznym zwany, siostrze mojej włożył, pocałowawszy ją pierwej w tęż rękę, a Basi dał pierścień z portretem, mówiąc, żeby go panu staroście oddała; na sam koniuszek palca go włożyła, ale pan starosta, skoro go odebrał, raz jeszcze pocałował ją w rękę, potem upadł do nóg Państwa, dziękował im, świadczył się Bogiem, że będzie się starał córkę ich uszczęśliwić. Tymczasem pan wojewoda całował w czoło drżącą Basię i pan pułkownik i ksiądz Wojciech śliczne jej komplimenta prawili. Jmć Dobrodziej wziął wielki puchar, nalał go starym węgrzynem, wniósł zdrowie oblubieńców i wszyscy spełnili go kolejno. — Tak to wszystko było uroczyste i tkliwe, że mnie, patrzącej z daleka, cały czas łzy się z oczu toczyły. „Nie płacz, Franulku — powiedział Macieńko (który był cały czas w pokoju, ale przecie milczał) — nie płacz, i z Jmościanką tak najdalej za rok będzie!”. Za rok to jeszcze za prędko, ale za parę lat to się i nie rozgniewam, jak się ze mną tak stanie.

Cała rodzina Świdzińskich niepojęcie dla Basi uprzejma i grzeczna, Państwo oboje pocałowali ją wczora w twarz, jak im dobrej nocy życzyła; w całym domu wszyscy dla niej od dnia wczorajszego mają jakieś względy, o nikim, tylko o niej mowa: wszyscy jej winszują, wszyscy się jej polecają, każdy by rad, żeby go do swego przyszłego dworu przyjęła. Imć Dobrodziej dobył z sepecika tysiąc dukatów holenderskich, zalecając Jmć

Dobrodziejce, żeby porządnie i uczciwie opatrzoną córkę z domu wyprawiła. Oboje naradzali się nad wyprawą godzin kilka. Jutro panna Zawistowska, białogłowa bardzo zacna, koło trzydziestu lat mająca, w domu Państwa od maleńka wychowana i która będzie wyprawną panną Basi, pojedzie z komisarzem do Warszawy dla zakupienia potrzebnych rzeczy. W skarbcu naszym stoją już od dawna cztery wielkie kufry srebra dla każdej z nas; kufer Basi przeznaczony kazał Jmć Dobrodziej otworzyć, przepatrzył sam wszystko i naczynia potrzebujące naprawy lub ochędożenia także do Warszawy pójdą. Pan wojewoda jutro wyjeżdża wraz z panem starostą, żeby dom sulgostowski na przyjęcie Basi urządzić. Jmć Dobrodziej już gotuje listy i pokojowców po wszystkich stronach Polski z nimi rozsyła; wszystkim osobom, które pokrewieństwem, przyjaźnią, zażyłością z domem naszym są złączone, donosi o tym wypadku i na wesele zaprasza. Najurodziwszy zaś z dworzanów naszych, koniuszy, suto wyekwipowany, wyjedzie za parę dni z listami do króla i królewiców, do prymasa i celniejszych senatorów; w nich Jmć Dobrodziej uwiadamia ich o przyszłym postanowieniu córki, prosi o błogosławieństwo temu związkowi, ale wyraźnie nie zaprasza, zostawując to łasce tak dostojnych osób. Ach! żeby też który z nich przyjechał, na przykład książę kurlandzki, dopiero uświetniłoby się wesele. Ale najpewniej, że tylko posłów swoich przyślą, którzy w takim razie takie mają miejsce i honory, jakie by się niemal należały tym, których reprezentują. Jaka to będzie wesołość, jakie uczty! Jak już radośnie i huczno w naszym zamku, aż miło.

Każdej z nas, sióstr, śliczne dał upominki pan starosta: jam dostała kosztowną spinkę z turkusami, Zosia krzyż rubinowy, Marysia łańcuszek wenecki, Państwu nawet ofiarował podarki i raczyli je przyjąć: Jmć Dobrodziejowi puchar bardzo piękny, Jmć Dobrodziejce szkatułkę z narzędziami do roboty, wszystko w niej z perłowej macicy w złoto oprawne. O Madame nawet nie zapomniał, blondynową salopkę dziś rano na łóżku swoim znalazła; wysławia też hojność polską: to jest jedna rzecz, którą w narodzie naszym chwali. Choć to nasza Madame i z innych miar bardzo ją szanuję, przecież za tę pogardę Polaków nie lubię jej. Wczora była paradna wieczerza, kapela grała prześlicznie, spijano za zdrowie przyszłej pary; dragonia nasza strzelała, a rotmistrz dał za hasło rocie swojej „Michał” i „Barbara”. Już i Basia trochę śmielsza, wstydzi się jeszcze swego pierścionka; kryje go, jak może, a każdy go widzi, bo

diamenty jak gwiazdy jaśnieją. Dziś rano wszyscy na szczęście Basi pojechali na polowanie. Mówią, że dawniej był taki zwyczaj, że panna w takim razie koniecznie strzelcom nóżkę swoją pokazać musiała, ale ten zwyczaj nieskromny ustał, chwała Bogu. Basia spiekłaby się od wstydu; a ten Macieńko taki pocieszny, że koniecznie się tego domagał i mówił, iż skoro ta formalność nie dopełniona, polowanie się nie powiedzie, bo nie ma szczęścia. Nie zgadł jednak, tak było pomyślne, jak rzadko kiedy: zabito dzika, dwie sarny, jednego rogacza, zajęcy mnóstwo, sam pan starosta dzika zabił i tę zdobycz u nóg Basi złożył.

O! przekonałam się, że z pana starosty zuch wielki. Wyprowadzić kazał Jmć Dobrodziej dla myśliwych wszystkie konie ze swojej stajni, w sute rzędy przybrane; był między nimi jeden śliczny, ale prawie zupełnie dziki; koniuszy na nim jeździć nie śmie, bo wszystkich zrzuca; pan starosta powiedział, że go przekona. Jakoż wsiadł pomimo przedstawień przytomnych osób i tak go dzielnie ujął, że wśród skoków, pierzchań, wybryków jego trzy razy wokoło bez najmniejszego szwanku zamek maleszowski objechał. Pięknie było na to patrzeć. Basia trochę zbladła, jak wsiadał na tego dzikiego konia, ale gdy zobaczyła, że tak nim kierować umie, gdy zaczęły się rozlegać przytomnych oklaski, żywy rumieniec twarz jej okrył, tym żywszy, że wszyscy prawie na nią spojrzeli. Od tego czynu pozyskał zupełnie moje łaski pan starosta; kto tak mocno siedzi na koniu i taki śmiały, temu już wybaczyć można, choć menueta i kontradansa tańcować nie lubi. Jmć Dobrodziej darował przyszłemu zięciowi tego konia z bardzo bogatym rzędem i masztalerzem. Zasłużył sobie na ten podarek.

Dnia 20 stycznia, w niedzielę

Więcej niż tydzień nie pisałam dziennika mego, bośmy wszyscy bardzo zajęci. Gości moc niezmierna, z nimi więc poobiedzia i wieczory schodzą, a poranki oddane robocie. Zarzucone zupełnie nauki, nomenklator, gramatyka francuska, sama nawet pani de Beaumont leży w kącie; każda z nas, trzech sióstr, chce koniecznie Basi podarkiem własnej pracy do wyprawy się przysłużyć. Ja jej haftuję dezabilkę linową z falbanami w robotki; wstaję też rano i przy świecy pracuję, żeby koniecznie na czas wykończyć;

Marysia wyszywa rańtuch bardzo ładny: na izabelowym muślinie będzie arabesk złotem i ciemnymi jedwabiami; Zosia haftuje szydełkiem przykrycie do gotowalni. Jmć Dobrodziejka od samego rana otwiera sepety, kufry i szafy, dobywa z nich płócien, materyj i futer, makat, kotar, kobierców: wiele ma rzeczy pozostałych z własnej wyprawy, wiele także po zamężciu nabytych, bo już od lat kilkunastu zbiera na wyprawy nasze piękności rozliczne. Prawdziwie jest czemu się przypatrzeć! A co mnie najmocniej zajmuje, kiedy mnie Jmć Dobrodziejka do pomocy wezwać raczy, to jej baczność, ażeby żadnej z nas na włos nie ukrzywdzić; wszystkie te bogactwa na cztery części dzieli i nieraz aż Jmć Dobrodzieja i księdza kapelana prosi, żeby dali zdanie swoje, czy wszystkie części równe, czy nie. Krawca i kuśnierza Państwo sprowadzili z Warszawy i ci tyle mają do roboty, że ledwie za miesiąc wszystko wykończą. Wielkie szczęście, iż bielizna prawie cała już uszyta, przez dwa lata panny dworskie ją szyły, teraz ją znaczą niebieską bawełną w oczka — spodziewam się, że się wprawią w litery B. K. Bardzo piękna będzie wyprawa. Basia nie pojmuje, co z tylą sukniami pocznie. Bo dotąd wszystkie mamy po cztery pary: dwie sycowe ciemne na co dzień i czarne do nich mantynowe fartuchy; jednę białą kartonową od niedzieli, drugą linową od większych świąt i uroczystości, i bardzo nam dosyć. Ale Jmć Dobrodziejka jej mówi, że pani starościna piękniej powinna się ubierać od Basi i że co dla panny wyborne, dla mężatki już nie przystoi.

Basi kazała Jmć Dobrodziejka z owego jedwabiu starganego sakiewkę dla pana starosty zrobić; jest nią zupełnie zajęta, bo pięknie by ją wydać rada. Z taką cierpliwością ten jedwab zwinęła, że chociaż zielony, nic koloru nie zmienił i ani razu nie urwany. Śmiało może iść za mąż, sam Macieńko jej to przyznaje. Pokojowcy i koniuszy z listami już pojechali; bardzom ciekawa odpowiedzi. Basia truchleje, żeby który z królewiców nie przyjechał, a ja bym tak rada.

Ale inwestytura królewica Karola na Księstwo Kurlandzkie odprawiła się ósmego bieżącego miesiąca uroczyście. W wigilię dnia tego nasz pociot, książę Lubomirski, wojewoda lubelski, marszałek królewica, dawał suty bal; gale, festyny, obiady trwały więcej niż tydzień. Nowy książę kurlandzki miał jednę mowę po polsku, czym wszystkich przytomnych niewypowiedzianie uradował. Już teraz zupełnie jest uważany jako książę udzielny i z wielką przyzwoitością miał odegrać tę całą rolę. Jest w

„Kurierze Polskim” obszerny diariusz tej inwestytury; gdyby czas był po temu, przepisałabym go tutaj, bo mnie bardzo zajął. Prawdę mówiąc, wolałabym jeszcze być świadkiem tego wszystkiego, bo dwa razy lepiej widzieć rzecz jaką aniżeli czytać o niej. Ale kiedy to być nie może, rada jestem przynajmniej, że się już ta inwestytura odbyła.

Prócz tej dobrej wiadomości, nie ma żadnej i żal serce mi ściska, kiedy nagląc z moją dezabilką, słucham, jak kapelan gazety czyta. Zewsząd ubliżają powadze Rzeczypospolitej; sąsiedzi pod różnymi pozorami wkraczają z wojskiem do Polski, rabują, pustoszą, krzywdzą! Lecz co tam o tym myśleć i trapić się, lepiej — jak Jmć Dobrodziej mówi — używać obecnych momentów, cieszyć się, radować, póki pora służy. Bo i prawda! Prawią pokątnie o jakichciś nieszczęściach, biedach, a tymczasem Polska cała w ucztach, festynach, biesiadach. Może też oni wszyscy tak robią jak nasz Macieńko; on, kiedy ma jakie zmartwienie, to kieliszka z ręki nie wypuści, powtarzając: „Dobry trunek na frasunek” — i im więcej strapiony, tym więcej pije.

Dnia 25 stycznia, w piątek

Pan starosta wczora w wieczór przyjechał. Dwa duże srebrne kosze cukrów i pomarańcz Basia dziś z rana na swoim stoliku od roboty zastała; wszystkie te specjały rozdzieliła między nas i panny dworskie i służebne; robota też piorunem idzie i moja dezabilka prawie przez połowę gotowa. Z własnego gospodarstwa będzie miała Basia pościel: już bardzo dawno, jak każda z nas, ma swoje gęsi, a nawet łabędzie; mamy też w garderobie biedną głupowatą Marynę, która nic innego robić nie umie, tylko pierze drzeć; każda z nas ma osobną beczkę na pierze, osobny worek na puch i tyle się każdej uzbierało, że Basia będzie miała dwa napchane piernaty, ośm dużych puchowych z gęsi poduszek, a dwie małe z łabędziego puchu; nasypki będą z gęstego płócienka domowej roboty, poszewki z karmazynowej mantyny, a powłoczki z cienkiego holenderskiego płótna z falbanami. Te falbany panny teraz właśnie obrzucają szydełkiem.

Dnia 2 lutego, w sobotę

Pan starosta bawił blisko tydzień i pojechał; jak powróci, to już nie odjedzie sam, tylko z Basią. Zdaje mi się rzeczą niepodobną, żeby ona sama z mężczyzną nas odjechała, wierzyć mi się temu nie chce; ale jak zobaczę, to będę musiała uwierzyć. Basi szacunek i przyjaźń dla pana starosty co dzień większy, co dzień jej się lepiej podoba, chociaż kiedy tu jest, bynajmniej z nią nie mówi, tylko z Państwem cała rozmowa; im wszystkie swoje atencje okazuje, wszystkie afekta wynurza. Jak mówią, zawsze tak w każdej uczciwej konkurencji się dzieje, bo jakiż lepszy sposób pozyskania serca córki jak podobać się jej rodzicom? Za trzy tygodnie wesele, i ja, i wszystkie siostry będziemy miały nowe suknie. Basia nam je sprawia, jako i wszystkim pannom dworskim. Już z gości zaproszonych wielu odpisało, że przybędą; ale król i królewic posłów tylko przyślą, z wielkim moim żalem. Wątpię także, żeby księżna wojewodzina Lubomirska zjechać mogła, bo im nie wypada opuszczać teraz Warszawy, ale bardzo pochwala wraz z mężem zamężcie Basi: piękny list napisała z błogosławieństwem, z czego Jmć Dobrodziej niewymownie był szczęśliwy. Moja dezabilka będzie gotowa na czas, lecz fałdów przysiedzieć muszę, ile że Jmć Dobrodziejka tak na mnie łaskawa, że mnie często do swojej pomocy i usługi wołać raczy; dotąd Basia jedna, jako najstarsza, tego szczęścia używała, ale teraz Państwo chcą, żebym ja się wprawiała i umiała potem ją zastąpić. Już dwa razy miałam sobie powierzony klucz od apteczki; zdaje mi się też od tego czasu, żem spoważniała i że mi przynajmniej z rok przybył. O! muszę się pilnie przyglądać temu wszystkiemu, co Basia dla Państwa robi, jakie usługi im czyni, żeby jak ją nam pan starosta zabierze, nie tyle jej straty uczuli. O to tylko idzie, czy im tak potrafię dogodzić jak ona?

Dnia 12 lutego, we wtorek

W Warszawie z powodu zapust, a szczególnie z powodu szczęśliwie doszłej inwestytury królewica, uczt, balów, zabaw bez liku; pełne gazety opisów tych uroczystości. Do nas też niepomału zjeżdżają się goście i nie

lada jakie robią na wesele przygotowania. Już prawie wszystkie pokoje gościnne zajęte albo przeznaczenie swe mają; folwark, probostwo, lepsze chałupy nawet użyte będą, jak się więcej zjedzie; kucharze i cukiernicy już zaczynają przyrządzać różne na te dnie specjały; wielkie pranie w domu: ogród, podwórza zasute sznurami z bielizną. Praczki wróżą Basi wielkie w małżeństwie szczęście i wielką miłość przyszłego męża, bo jak tylko prać zaczęto, z czasu mglistego zrobił się najpiękniejszy, mroźny, ale jasny, suchy i jej bielizna będzie taka biała jak śnieg, który w tej chwili wszystko pokrywa. Już niemal cała wyprawa skończona, dziś właśnie Jmć Dobrodziejka wysłała do Sulgostowa łóżka, kufer jeden srebra i dwa ogromne kufry z pościelą, z makatami, kobiercami itp. rzeczami. Łóżka będą bardzo piękne, żelazne, firanki do nich, kołdry i podniebienie adamaszkowe niebieskie, a na czterech rogach pęki piór strusich białych i niebieskich. Basia prawie co chwila ma za co całować ręce i nogi Państwa, tak ją obdarzają. Jmć Dobrodziej własną ręką w wielkiej księdze całą wyprawę spisuje; na początku są te słowa: *Spis wyprawy, którą ja, Stanisław z Korwinów Krasiński etc. etc., i Aniela z Humtecktch, małżonkowie, dajemy najstarszej i najukochańszej córce naszej, Barbarze, oddając ją w dożywotni związek JW. Michałowi Sundzińsktemu, staroście radomskiemu, i wzywamy dla tej najukochańszej córki naszej błogosławieństwa niebios, i błogosławimy ją sami rodzicielskim afektem w Imię Trójcy Przenajświętszej, w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, Amen*. Wypisałabym tu chętnie cały ten spis, ale naprzód, nie mam czasu — po wtóre, sama kiedyś podobnej spodziewając się wyprawy, i spis taki, a co lepsza, takie błogosławieństwo otrzymam.

Dnia 20 lutego, w środę

Już za pięć dni wesele, pan starosta przyjechał wczora; zadrżała Basia jak listek, gdy go pokojowiec wprowadził do sali; dziś spodziewamy się pana wojewody, pułkownika, księdza Wojciecha, pani wojewodziny Granowskiej, siostry pana starosty, z mężem. Druga jego siostra, pani Lanckorońska, kasztelanowa połaniecka, zjechać nie będzie mogła; bawi teraz na Podolu z mężem, w dobrach jego, w Jagielnicy. Basia bardzo

żałuje, że jej nie pozna, bo tyle dobrego wszyscy o niej mówią. W piękną familią Basia wejdzie, sami zacni i pobożni ludzie, i tak dla niej grzeczni i uprzejmi, jak gdyby księżną była. Już wyprawa zupełnie ukończona; to, co jeszcze nie poszło do Sulgostowa, ułożone w kufrach i klucz oddany pannie Zawistowskiej. Bardzo Basi miło, że ją mieć będzie; nawykła patrzeć na nią od dzieciństwa, będzie jej się zdawało, że jakąś cząstkę domu rodzicielskiego w niej zawiezie na nowosiedliny swoje. I wiele innych osób z Maleszowej z sobą zabierze: dwie pokojówki, dwie dziewczynki, córki swoje chrzestne, już edukowane do robót knopfsztychowych, garderobianę i panienkę wcale dobrego urodzenia, dziwnie żwawą i fertyczną, Ludwisię Linowską, która od lat kilku jest u nas i Basię kocha nad życie. I więcej się tu kobiet przyszłej pani starościnie zaleca: gdyby tylko Państwo pozwolili, mogłaby ich mieć ze dwanaście. Jak ja kiedy będę szła za mąż, to muszę wziąć jeszcze więcej: już trzem dziewczętom uroczyście przyrzekłam, że je wezmę; jedna z nich córką jest naszego Jacentego, który mi za to przyrzeczenie do nóg się ukłonił i pierwszy raz w życiu rozmarszczyło mu się czoło.

Dnia 24 lutego, w niedzielę

Jutro ślub Basi, gości nazjeżdżało się co niemiara, już są wszyscy posłowie; posłem króla jest minister Borch, księcia kurlandzkiego kasztelanic Kochanowski, zausznik jego, bardzo przystojny i grzeczny kawaler — prawdziwie jaki pan, taki kram — że innych pominę. Wszyscy, jakby słowo sobie dali, przyjechali wczora; wjazd ich był prawdziwie wspaniały. Państwo, uprzedzeni będąc o dniu i godzinie, wszystko kazali mieć w przyzwoitym porządku; oni jeszcze zbliżając się do zamku dawali znać o sobie; przed każdym występowała nasza dragonia, bito z armat i z ręcznej strzelby, muzyka brzmiała. Najwięcej honorów odebrał jednak poseł królewski: Jmć Dobrodziej z odkrytą głową czekał go na moście, a skoro wstąpił, zebrani goście, dworzanie, dworscy, liberia, w szereg ustawieni do samych drzwi wchodowych, krzyknęli „Wiwat! i skłonili się do ziemi. Dziś w przytomności wszystkich, przed wybranymi na to świadkami, pisana była intercyza, czyli kontrakt ślubny; co zawiera, nie wiem, bom nic jej nie

zrozumiała; wiem tylko, że nasza panna młoda prześliczne dostała podarunki: od pana starosty trzy sznurki pereł uriańskich, zausznice modne diamentowe i różyczki takież, z uszkami u spodu do nawlekania; od pana wojewody krzyż diamentowy suty i egretka na głowę z trzęsidłami diamentowymi; od pana pułkownika zegarek paryski z emalią i z łańcuszkiem białogłowskim; od księdza Wojciecha różne relikwie, od każdego z krewnych upominek; zarzucona jest nimi, ani śmie wierzyć, że tyle bogactw do niej należy. Jedynym jej kanakiem dotąd (prócz pierścienia, którym zaręczona) był pierścionek z Matką Boską, i dla tych przecież nowych i pysznych klejnotów starego przyjaciela Basia nie porzuci. Dłużej pisać nie mogę, właśnie mi pokojówka dezabilkę wypraną i uprasowaną przyniosła: prześliczna; trzydzieści jest w niej gatunków kratek i robótek, muszę wykostkować sama niektóre, a potem zaniosę pannie Zawistowskiej, żeby ją pannie młodej na jutro rano nagotowała. Już widzę, jak jej ślicznie w niej będzie.

Dnia 26 lutego, w ostatni wtorek

Otóż już panny Barbary na sto koni nie dogoni, jak mówi Macieńko; już panią starościną. O! ślicznaż to, uroczysta i tkliwa rzecz takie wesele! A co wesołości, zabawy, tańców! Ale wszystko muszę opisać porządnie. Wczora raniuteńko pojechaliśmy wszyscy do kościoła do Lisowa, państwo młodzi spowiedali się i do komunii przystąpili; przez całą mszą śpiewaną klęczeli razem przed wielkim ołtarzem, a po mszy świętej nasz proboszcz dał im błogosławieństwo. Panna młoda była w mojej dezabilce, w której zgadłam, że jej prześlicznie; szkoda tylko, iż dla zimna musiała wziąć na wierzch salopę białą grodeturową z lisami białymi, i trochę się pognietła; na głowie miała piękną fryzurę, a na wierzchu długi welon koronkowy. Wróciwszy do zamku, po sutym śniadaniu przystąpiono do ubioru panny młodej. Dwanaście pań poważnych ją ubierało, a Jmć Dobrodziejka na czele. Miała suknią przepyszną z materii białej w szerokie pasy atłasowe i morowe, z wielkim ogonem, a u dołu falbana z koronki brabanckiej z kampanką srebrną; na przodzie bukiet z rozmarynu, a na samym środku głowy wianeczek takiż na łubku złotym, na którym wierszami życzenia dla Basi,

dzień i rok ślubu. Bardzo jej było do twarzy. Klejnotów żadnych Jmć Dobrodziejka wziąć nie pozwoliła, bo kto się w nie do ślubu stroi, kwaterką łez potem każdy odpłakać musi. Basia i tak dosyć płakała, aż jej oczy zapuchły. Nim jej Jmć Dobrodziejka wianek przypięła, starym obyczajem włożyła w środek dukat z roku urodzenia się Basi, chleba kawałek i soli bryłkę, ażeby jej nigdy na tych potrzebnych rzeczach w tym nowym stanie nie zbywało, a chcąc przykrości małżeństwa (które mają być bardzo wielkie) zawczasu córce osłodzić, przydała i cukru kawałek.

Trochę pierwej przed Basią my, druhny, zeszłyśmy na dół; dwanaście nas było, wszystkie w bieli, przy bukietach i w kwiatach na głowie, a najstarsza z nas lat osiemnaście niedawno skończyła; u drzwi bawialnej sali czekały nas dziewosłęby, czyli swaty, ksiądz Wojciech i pan pułkownik. W sali zastaliśmy już pana młodego z dwunastu drużbami i całą kompanią. Niesiono za nami tacę ogromną, bukietami przepełnioną, każdy z nich rozmaryn, mirt, cytrynowe, pomarańczowe gałązki i barwinek w sobie mieścił, każdy białą wstążką był związany.

Te bukiety przeznaczone były dla młodych kawalerów i panien obecnych na weselu, a każda z nas, druhen, uzbrojona była w pewną liczbę iglic szczerozłotych, pozłacanych, srebrnych, aby nimi podług dostojeństwa osób te godła weselne przypinać. Jmć Dobrodziejka i poważne panie uczyły nas długo, jaki porządek w tej posłudze zachować należy, żeby komu nie uchybić, a dając mniej znakomitemu pierwszeństwo, nie stać się powodem do urazy, o którą w wielkim zgromadzeniu tak łatwo. Zdawało nam się, żeśmy te nauki dobrze pojęły, ale wszedłszy do sali, zapomniało się wszystkiego; przypinałyśmy bukiety poważnie z początku, z uśmiechem później, z pustotą nareszcie; nie obeszło się bez tysiąca uchybień, ale je wszystkie przebaczono, bo już dawno to uważam, że na młode, a zwłaszcza ładne panny nikt nie ma serca się gniewać. Nasza wesołość tak wszystkich ogarnęła, iż i żonaci, i sędziwi mężowie, i młode mężatki, i poważne białogłowy, którzy żadnego prawa do bukietów w takim razie nie mają, dopominać się ich zaczęli: jakże było im odmówić! Kto się nadarzył, bukiet dostał; znikł więc wnet ów stos z tacy, za nim drugi i trzeci z gotowalni przyniesiono, zabrakło igliczek, choć tyle ich przygotowano; trzeba było prostymi śpilkami przypinać, ale i te z rąk naszych mile przyjmowane były. Nareszcie dogodziło się wszystkim, każdy był kontent, każdy przy bukiecie; sala ogrodem się być zdawała, radość była powszechna,

prawdziwe wesele. Ale mijam się z prawdą; nie wszyscy byli weseli: Macieńko stał w kącie smutny; chociaż kawaler, bukietu nie dostał i tak wyglądał, jak gdyby nie należał do godów. Przyszłam do niego, a on mi powiedział po cichu i z serdecznym żalem: „Że inne druhny o mnie zapomniały, nie dziwię się; ale panna Franciszka, którą na ręku nosiłem, którą od tylu lat bawię i rozśmieszam… nie będę też na jej weselu, choćby za królewica iść miała”. Zapłonęłam się na te słowa, miło i przykro mi się zrobiło; pobiegłam sama do garderoby, ale jak na nieszczęście już i jednego bukietu nie było; Jmć Dobrodziejka posłyszawszy o tym, co się działo w sali, sobie i poważnym paniom asystującym ubiorowi panny młodej resztę kwiatów poprzypinała; do ogrodnika daleko posyłać, a chciałabym koniecznie, żeby Macieńko miał bukiet. O, pewno nie za płochą jego wróżbę; jam nie Radziwiłłówna i teraz nie te wieki, kiedy królowie pojmowali cnotliwe Polki i z nimi byli szczęśliwi… Przyszła mi myśl przedziwna: porwawszy kawałek białej wstążki i śpilkę, wróciłam z pośpiechem do sali, odpięłam własny bukiet, podzieliłam się nim z Macieńkiem, przypięłam mu go złotą iglicą, sobie prostą zachowując śpilkę; uradowany, zawołał: „Franusiu, nie dosyć, żeś piękna, zawsześ dobra. Ja czasem bywam prorokiem: oby się spełniły wróżby i życzenia moje!… Co bądź, to bądź, schowam ten bukiet do twego wesela, i kto wie, czym będziesz, gdy ci go oddam…” Dziwna rzecz! Te jego słowa pomimo tylu roztargnień brzmią jeszcze w uszach moich i kiedy tylko o Basi pisać powinnam, o sobie prawię… Czas wrócić do niej.

Otóż już wszyscy przy bukietach, oczy, mają na drzwi wchodowe zwrócone: otwierają się podwoje, wchodzi zapłakana Basia, nieśmiała, wspierana, otoczona od pań poważnych, a pierś jej okazuje swym poruszeniem tłumione łkania; przystępuje do niej bolejący na jej cierpienia pan młody, bierze jej rękę, z nią razem ojcu, matce czołobitność oddaje, o błogosławieństwo prosi i od rozrzewnionych odbiera: udają się potem do nas, do krewnych, obchodzą wszystkich gości, domowych, i nie było nikogo, kto by nie błogosławił szczerze i łez w oczach nie miał: ja sama taką byłam jakąś uroczystą wesołością przejęta, że wypowiedzieć nie potrafię, bo i uśmiech był na ustach, i płacz gotowy, i jakieś skryte, a przecież miłe drżenie. Myślałam sobie właśnie nie bez radości, że tak kiedyś i ze mną jak z Basią będzie, kiedy otworzono kaplicę. Ksiądz Wojciech włożył koronkową komeżkę i bogatą stułę, stanął przed ołtarzem i

wezwał nas. Minister Borch, jako poseł króla, lubo żonaty, a zatem nie drużba, i pan kasztelnic Kochanowski, wzięli pannę młodą pod ręce: mnie i wojewodziance Małachowskiej, starszym druhnom, kazano poprowadzić pana młodego. Państwo, obie rodziny, reszta gości szli za nami, trzymając się w pary; głębokie nastało milczenie: słychać było każdy krok, każdy chrzęst materialnych sukien, szelest nawet piór i bogatych trzęsideł, które panie miały u fryzur swoich.

Doszliśmy do ołtarza — gorzał od mnóstwa świec jarzących, a wszystkie paliły się wybornie; złotolitym kobiercem okryte były stopnie, na najwyższym leżały dwie aksamitne pąsowe poduszki: na jednej herb Krasińskich, na drugiej herb Świdzińskich był złotem wyszyty. Państwo młodzi uklękli, my, druhny, stanęłyśmy po prawej, drużbowie po lewej stronie ołtarza; jam trzymała na tacy złotej dwie ślubne obrączki; Państwo stali za panną młodą, pan wojewoda za panem starostą. Zagrano Veni Creator, po czym ksiądz Wojciech miał długą przemowę, prawie całą po łacinie; po niej zaczął ślub dawać. Basia, chociaż zapłakana, dosyć wyraźnie mówiła: „Ja, Barbara, biorę sobie ciebie” itd., ale pan starosta nierównie wyraźniej.

Po ślubie i po włożeniu obrączek państwo młodzi padli do nóg naprzód Państwu, potem panu wojewodzie i od wszystkich trojga błogosławieństwo otrzymali; wtedy marszałek dał znak: kapela na chórze i śpiewacy włoscy, umyślnie sprowadzeni, zagrali i zaśpiewali marsz triumfalny, a dragonia nasza dała suto ognia z armat i z ręcznej strzelby. Gdy się to uspokoiło i właśnie młoda para przed Państwem stała, Jmć Dobrodziej, jak zwykle w takim zdarzeniu się dzieje, przemówił w te słowa: „To powołanie, które już kościół Boży ratyfikował i pobłogosławił, niechże Panu rządzącemu nieba obrotami i tym świata padołem wieczną chwałę przyniesie! Już tedy Bóg życzenia i afekta wasze uświęcił sakramentem, utwierdził zobopólną przysięgą. Niechże ich skutki chwałę Mu przyniosą. To staranie do was obojga należy, szczególniej też do Jmćpana, Mcpanie młody, który od tej chwili nie tylko małżonkiem, lecz ojcem, przewodnikiem małżonce twej będziesz; znając cnoty i przymioty Jwwcpana nie wątpię, że temu zadosyćuczynić potrafisz, i zupełnie spokojny jestem! A co zaś twoich obowiązków się tycze, córko najukochańsza, oto naprzód: miej wdzięczność ku Jmć Matce twojej za edukacją tobie daną, troskliwość od najpierwszych lat aż dotąd około zdrowia i potrzeb twoich; niech ci

równym będzie ukontentowaniem moment, który cię ogłosi wyborną Antygoną, jak ten, kiedy cię przecudowną Eponiną nazwą. Bądź cnotliwa; cnota jest to skarb nieprzebrany, przyjaciel prawdziwy, ciężar nie fatygujący, droga nie błądząca, sława nigdy nie ustająca. Staraj się, ażebyś w słowach ostrożność i roztropność, w uczynkach modestią i powolność, a we wszystkim rzetelność zachowała. Na ostatek chwal Boga, kochaj i słuchaj męża, jakeś dotąd względem rodziców czyniła; nienawidź przywary, miej władzę nad sobą samą: bądź stałą w przeciwnościach, sprzeciwiaj się pokusom świata.

I niechaj cię rozsądek, miłość, wiara wsławi,
A jako teraz ojciec, niech Bóg błogosławi.

Na te ostatnie wyrazy Basia, ciągle płacząca, głośno jęknęła i raz jeszcze do nóg Państwu upadła; chciała coś mówić, zapewne o tym, że będzie się starała wypełnić żądania najukochańszego ojca, ale jednego słowa dla wielkiego płaczu z ust dobyć nie mogła. Potem nastąpiły wzajemne uściskania, ukłony, winszowania; ksiądz Wojciech pokropił nas wszystkich święconą wodą i dał patynę do pocałowania; chybił w tym tylko, że podał ją pierwej stolnikowej Jordanowej niźli pani kasztelanowej Kochanowskiej, matce posła królewica; Jmć Dobrodziejka to postrzegłszy prosiła ją za to, żeby z panią wojewodziną Granowską pana młodego odprowadziła; jakoż tak się stało, i wszelkich uniknęło się niesmaków, pannę młodą wziął poseł królewski i wojewoda Małachowski i wróciliśmy do bawialnej sali.

Wkrótce dano znać do stołu. Stół był ogromny, w literę B ustawiony; zastawa wspaniała. W środku stała dwutygodniowej inwencji i pracy naszego cukiernika Francuza wysoka na dwa łokcie piramida, wystawiająca świątynię Hymenu, z rozmaitymi ozdobami i figurkami; były herby Krasińskich i Świdzińskich i różne napisy w francuskim języku wyrażone. Prócz tej piramidy stały na stole różne inne ozdoby, kosze srebrne, porcelanowe figurki, aż ciasno było i nasz karzełek Piotruś już by się tego dnia nie był mógł z wygodą przechadzać. Potraw ani podobna zliczyć, gąsiorów i butelek wina, nie wiem, czy się sam piwniczny dorachuje. Prócz innych wypili przy tym jednym obiedzie antał wina winem panny Barbary zwanego, to jest wybornego węgrzyna, które Jmć Dobrodziej, według

staropolskiego zwyczaju, roku narodzenia się Basi umyślnie kupił na to, żeby go na jej weselu wypróżniono. Każda z nas ma takąż beczkę, piwniczny nieraz mi mówił, że jeśli moje jeszcze z parę lat postoi, będzie wyborne. Jmć Dobrodziej częstował z niepospolitą ochotą, a goście pili z równąż. A dopiero jak się zaczęły wiwaty państwa młodych, Rzeczypospolitej, króla, księcia kurlandzkiego, królewiców, prymasa, duchowieństwa, gospodarstwa, dam, a za każdym huczne wykrzyki, tłuczenie kieliszków i butelek, bicie armat, odgłos kapeli, wrzawa jakby na Sądzie Ostatecznym.

Nareszcie już po rozniesieniu wetów wszystko na chwilę ucichło i wszyscyśmy myśleli, że czas wstać, kiedy Jmć Dobrodziej dał znak marszałkowi: ten postawił przed nim puzdro czarną skórką powleczone, z mosiężnymi ozdobami, któregom jeszcze nigdy nie widziała; Jmć Dobrodziej otworzył go i wyjął puchar szczerozłoty, kamieniami wysadzany, w kształcie kruka; powiedział, że była to jeszcze po rzymskich Korwinach pamiątka i że nie był z puzdra dobyty od czasu jego własnego wesela; potem wziąwszy z rąk piwnicznego butelkę kwartową, pleśnią okrytą, z stoletnim, jak mówił, winem, wylał ją całą, dodał jeszcze z drugiej i wniósł wiwat: pomyślność młodej pary. Przyjęto go z okrzykiem, kapela brzmieć zaczęła, uderzono z armat, każdy spełnił to zdrowie duszkiem; pękło butelek kilkadziesiąt i po tym ostatnim wiwacie, kto mógł, wstał od stołu. Już była noc zupełna. Damy poszły się przebrać, panna młoda i my, druhny, zostałyśmy w naszych strojach; koło siódmej godziny, gdy mężczyznom trochę wyszumiało wino, zaczęto mówić o tańcu. Wnet się też rozpoczął ochoczo. Panna młoda z posłem króla Jmci bal otworzyła i przez cały czas zawsze w pierwszej tańcowała parze. Z początku były same polskie, menuety, kontradanse, ale potem, przy coraz większej ochocie, przy wznowionych kielichach, wzięto się do mazura i do krakowiaka; kasztelanic Kochanowski wybornie krakowiaka tańcuje i tak jak zawsze czynić należy, skoro w pierwszej jest parze, śpiewa piosnki w tejże chwili złożone; tak wczora tańcując z panną młodą zaśpiewał:

Dziś nie chciałbym być królem ani wojewodą,
Tylko se starostą z taką panną młodą.

Po długich tańcach, sutej częstacji kapela grać ustała; postawiono stołek na środek pokoju, panna młoda usiadła na nim, my, druhny, otoczywszy ją, zaczęłyśmy włosy jej rozpinać i śpiewać żałośnie snaną piosnkę:

Ach! Basiu, już cię traciemy itd.

Jmć Dobrodziejka zdjęła jej wianek z głowy, a pani wojewodzina Małachowska czepiec koronkowy na to miejsce włożyła. Zdawało mi się, że na żart tak się przebrała, i gdyby nie to, że nieboga zalewała się łzami, byłabym się śmiała serdecznie; do twarzy jednak Basi w czepku i wszyscy mówili, że mąż ją będzie kochał, o czym ani wątpię, bo któż by takiej białogłowy kochać nie miał? Po oczepinach, dla uczczenia panującego domu, obyczajem przez niego wprowadzonym kazano pannie młodej tańcować drabanta z posłem króla Jmci; potem z upodobaniem do ojczystych przechodząc zwyczajów, kapela zagrała polskiego, bardzo poważnego. Zacząwszy od pana wojewody Świdzińskiego, panna młoda kolejno ze wszystkimi obecnymi mężczyznami tańcowała, aż nareszcie przyszła do Jmć Dobrodzieja; ten przetańcowawszy z nią raz, przyprowadził ją do pana starosty i oddał mu ją nie tylko na ten taniec, ale na całe życie; na tym polonezie skończyła się dla nas, panien, tego dnia zabawa. Jmć Dobrodziejka kazała nam pójść spać; poważne panie wzięły pannę młodą, żeby ją zaprowadzić do pokojów dla niej i dla pana młodego przeznaczonych; tam udały się wszystkie mężatki i poważniejsi goście, i jak mi dziś powiadano, tam były jeszcze mowy przy oddawaniu panny młodej, podziękowania w imieniu pana młodego, kielichy kolejne, co późno w noc trwało.

Wyborniem też spała po tym zmęczeniu; tańcowałam do upadłego, a prawie nic mnie nogi nie bolą. Tańcowałam ze wszystkimi, najwięcej jednak z posłem królewica, z kasztelanicem Kochanowskim; wiele rozmawiał ze mną; był w Paryżu i w Lunewilu, dopiero rok, jak z zagranicy wrócił; spędził go przy księciu kurlandzkim i bardzo wychwala swego pryncypała. Jeśli jest grzeczniejszy jak on, to niech go nie znam. Już się cieszę na wieczór, a wcześnie trzeba zacząć tańce: w ostatni wtorek do dwunastej tylko tańcować wolno. Basi, a raczej pani starościny (bo tak ją Państwo zwać przykazali), jeszczem dziś nie widziała: dziwno mi, że jej z nami nie ma; odziedziczyłam za to jej łóżko, jej dwie poduszki, jej stolik do

roboty, wszystkie prawa starszeństwa: już mnie teraz wszyscy panną starościanką zwać będą, a dotąd wołano na mnie: panno Franciszko, a najczęściej: Franusiu. Jedno choć trochę wynagrodzi drugie.

Dnia 27 lutego, we środę

Już Popielec; szkoda! dopiero za rok takie tańce i zabawy będą. Już się goście zaczynają rozjeżdżać, już poseł króla Jmci wyjechał, państwo młodzi wyjadą pojutrze, ale my ich odprowadziemy do Sulgostowa. Pan starosta gości żadnych nie prosił, bo w post nie przystoją huczne zabawy, sama tylko będzie familia; wprosił się jednak i pan kasztelanic pod pozorem towarzystwa szkolnego, jakoż w Lunewilu rok jeszcze był razem z panami Świdzińskimi, rok pierwszy swego tam pobytu, a ich ostatni, bo nierównie od nich młodszy. Bardzo się na przenosiny cieszę, gdyżem ciekawa wsi, pałacu, gospodarstwa najukochańszej siostry. Z trudnością mi przychodzi przyzwyczajać się do zwania ją panią starościną, ale inaczej już mówić nie wypada, Państwo nawet tak ją najczęściej zowią. Bardzo spoważniała po ślubie, daleko jeszcze mniej mówi, więcej oczy spuszcza i częściej się rumieni; zawsze chodzi w kornecie, na rogówce, w sukni z ogonem; zdaje się, że jej kilka lat przybyło; trochę smutna mi się wydaje, nic dziwnego: żal jej zapewne z domu rodzicielskiego wyjeżdżać i oddać się zupełnie mężczyźnie, którego zna tak mało. To jednak musi być rzecz przykra. Jeszcze bardzo nieśmiała z panem starostą, raz go tylko nazwała mon mari; on już mówi o niej: moja żonka, często do niej się przybliża i więcej już z nią niźli z Państwem rozmawia. Pojutrze jedziemy do Sulgostowa.

Dnia 9 marca, w sobotę

Wróciliśmy wczora wieczór z Sulgostowa; bardzo dobrze się zabawiłam, szkoda tylko, że pani starościna z nami nie wróciła. Już tydzień minął, jak na zawsze nasz zamek opuściła. W przeszły piątek, kiedy już wszyscy goście się rozjechali, ona raniuteńko pojechała do parafialnego kościoła

naszego, do Lisowa, gdzie jest ołtarz św. Barbary, jej patronki; tam zawiesiła pół serca szczerozłotego w dowód, że tu na zawsze połowa jej afektów zostanie; potem pożegnała się z proboszczem, z każdym z dworzan i z dworskich z osobna i każdemu dała suty upominek, czego jej prawdziwie zazdroszczę i na co prawie najwięcej się cieszę, jak kiedyś także za mąż pójdę. Poszła potem do swego gospodarstwa; swoje krowy, kury i gęsi darowała biednemu gospodarzowi z Maleszowej, który niedawno z całą chudobą pogorzał, dwie tylko kokoszki śliczne czubate i łabędzie prosiła, żeby jej można do Sulgostowa odesłać; ptaszki swoje i kwiatki, koło których bardzo starannie chodziła, mnie oddała: nareszcie obeszła cały zamek od dołu do góry, jak gdyby z każdym kącikiem pożegnać się chciała. Jak ją też wszyscy błogosławili! Najdłużej bawiła w kaplicy i w naszym panieńskim pokoju. Gdyśmy naprędce jedli podróżne śniadanie, rzęsiste trzaskanie z bicza słyszeć się dało, pokojowiec oświadczył, że już wszystko gotowe; pan starosta szepnął żonie do ucha, że jechać trzeba: ona wtedy z wielkim płaczem rzuciła się do nóg Państwu, dziękując im za dobrodziejstwa przez lat osiemnaście doświadczane, przepraszając, jeśli ich w czym kiedykolwiek obraziła, i świadcząc się przed Bogiem, że niczcgo sobie nie życzy, tylko tak być szczęśliwą w dalszym życiu, jak dotąd nią była. Pierwszy raz widziałam Jmć Dobrodzieja płaczącego. O! jak też oboje ją żegnali i chwalili; serce rosło słuchając, a ktokolwiek był przytomny, płakał. Wyszliśmy na most, kapitan podnieść go kazał i nie chciał wypuścić pani młodej, póki mu pan starosta nie dał bogatego pierścienia, jako w zakład, że ją tu przywiezie; przez ten czas przypatrywałam się ekwipażom pana młodego: paradne; jedna kareta żółta, trypą pąsową wybita, na dwie osoby, druga landara na cztery, kolaska do lekkiej podróży i bryczek kilka. Konie śliczne, osobliwie sześć siwych jabłkowitych u żółtej karety. W tej państwo młodzi pojechali sam na sam i uwierzyłam, czemu wierzyć nie chciałam; za nimi szły pojazdy z fraucymerem, a my na ostatku. Pani starościna tak płakała, że słychać było jej szlochania, ale bo też wielu z dworskich, kilku z chłopstwa o parę staj ją odprowadzali, błogosławiąc głośno; co miała pieniędzy, to im jeszcze rzuciła i pan starosta sypnął także suto, a pierwej jeszcze, od szafarza do pomywaczki, od marszałka do stróża, każdego obdarzył podarkiem. Gdziekolwiek stanęliśmy na popasie albo na noclegu, wszystko staraniem pana młodego już było gotowe; Żyd wyforowany z karczmy z betami i z

bachorami swymi, stoły zastawne, liberia; nareszcie drugiego dnia wieczorem wjechaliśmy do Sulgostowa. Już z popasu pan wojewoda z księdzem Wojciechem wyjechali najpierwsi, żeby panią starościnę na jej nowosiedlinach przyjąć; na granicy sulgostowskiej gromada wiejska z sołtysem na czele zatrzymała karetę państwa młodych, ofiarowano jej chleby, a jeden ze starych gospodarzy miał oracją, po której wszyscy krzyknęli: „Niech żyją sto lat nowożeńcy!”

Za ich wjazdem na dziedziniec kompania huzarów, którą pan starosta na dworze swoim trzyma, dała ognia z ręcznej strzelby; kapitan salutował ich oboje. Przed drzwiami stał pan wojewoda z synowcem, stał dwór cały i wszyscy radośnie i uprzejmie panią młodą witali. Skorośmy weszli do pałacu, pan starosta przyniósł żonie swojej ogromny pęk kluczy, oddając pod jej dozór dom cały. Zaraz nazajutrz pani starościna objęła rządy i gospodarstwo i doprawdy dziwić się należało, jak jej wszystko szło jak z płatka; ale bo też od małego dziecka Jmć Dobrodziejka, jako najstarszą córkę, przyzwyczaiła do wyręczania siebie. Sulgostów w innym położeniu jak Maleszowa, pałac, nie zamek, ale wesoło i okazale; dwór liczny, stół dobry, dom zasobny, a co najważniejsza, wszyscy kochanej siostrze przychylni; już widzę, że wkrótce po naszym zamku się odtęschni. Najadłam się i napiłam w Sulgostowie wielu dobrych rzeczy, a między innymi kawy. Państwo nie lubią tego modnego trunku, który się niezbyt dawno w Polsce zjawił, i u nas dają go tylko wtenczas, kiedy są znakomici goście; ma też być bardzo niezdrowy dla młodych panien, szczególniej krew i płeć psuje, i ja dotąd tylko parę razy jakby na żart go skosztowałam. Ale w Sulgostowie napiłam się jej do woli, cała familia pana starosty przepada za tym trunkiem i na prośby jego i mnie Państwo co dzień filiżankę wypić pozwalali. Śmiano się z pani starościny, że nie będzie mogła jak owa żona w wierszach naszej poetki, pani Drużbackiej, zarzucić mężowi:

Kawy w moim domu nie znajdzie trzech ziarnek,
Piwa mi z serem każe zagrzać garnek

— i utworzyć sobie z tego punkt do rozwodu. Bardzo nam było smutno powracać. Rozweselał mnie tylko kasztelanic, który nam konno cały czas towarzyszył; prawdziwie słusznie szarmanckim go zowią. Pani starościna

bardzo płakała żegnając się z nami. W Maleszowej jeszczem się nie rozpatrzyła, bośmy wieczór przyjechali, a dziś raniuteńko to piszę; już wiem naprzód, że mi przez jakiś czas bardzo smutno będzie.

Dnia 12 marca, we wtorek

Zupełniem zgadła: bardzo smutno bez najukochańszej siostry; takie pustki w zamku, jak gdyby nikogo nie było: zdaje się, że z sobą cały dwór nasz, całą wesołość zabrała. I Państwo bardzo tęschnią; ona, jako najstarsza, najwięcej do nich zbliżoną była, tysiączne im czyniła przysługi; ja, lubo się staram ją zastąpić, przecież ani Jmć Dobrodziejowi tak dobrze lulki nałożyć nie umiem, ani Jmć Dobrodziejce tak zręcznie dobierać kolorów do haftu; z czasem da Bóg, że się wprawię; nie wiem jednak, czy kiedy wyrównam Basi (bo choć na ten raz tak ją nazwać muszę). Lubo chcę szczerze, o wielu rzeczach zapominam, a ona tak o wszystkim pamiętać umiała! Jak ją też mile cały dwór wspomina! Ciągła jeszcze o niej mowa. Już Państwo dziś wysyłają pokojowca do Sulgostowa, by się o jej zdrowiu i powodzeniu dowiedzieć; formalna była lukta między nimi, który ma jechać, każdy miał niezmyśloną ochotę; a Michał Chronowski, który dopiero jutro do Opola ma wyjeżdżać, żałował, że już nie jest pokojowcem.

Bardzo smutno w maleszowskim zamku. Kasztelanic pojechał, a przez te trzy dni nikt nie był prócz dwóch kwestarzy i jednego szlachcica z sąsiedztwa, który przyjechał prezentować Państwu młodą żonę swoją, bo był niegdyś na ich dworze. Bardzo do rzeczy, zdaje się, człowiek. „Moje serce — powiedział do żony, która z wielkiej nieśmiałości ledwie dwa razy otworzyła usta — jeśli będę dobrym mężem i ojcem, panu staroście za to dziękuj i temu oto panu marszałkowi: pierwszy mi strofowań, drugi plag z młodu nie szczędził”. Podobała mi się ta szczerość jego; udarowali go Państwo wspaniale. Zresztą nikt nie był; cicho, głucho, smutno, jak to zwyczajnie po wielkiej wesołości i wrzawie; jednak już raz uśmiałam się serdecznie. Jmć Dobrodziejka całą garderobę panieńską pani starościny pannom respektowym i służebnym rozdała; przez czas niebytności naszej każda z tych datków coś sobie zrobiła: to jubkę, to kontusik, to fartuch, to salopkę, i wszystkie jakby namówione wystąpiły w tych strojach w

niedzielę; gdzie rzucić było okiem u stołu, wszędzie był szczątek garderoby Basi: postrzegł to pierwszy Macieńko, westchnął okropnie, a zapytany odpowiedział, że boleje nad tym rozszarpaniem chudoby śp. Barbary. Wszyscy w śmiech, ja z Teklusią najbardziej, aż nas łajał Jmć Dobrodziej i przypomniał nam to starodawne przysłowie: Przy stole jak w kościele. Ale jakże śmiać się nie było?

Dnia 25 marca 1759 r., w piątek

Wczora zdarzyła mi się też nowa i zupełnie niespodziewana przygoda, która w tym dzienniku miejsce zająć powinna. Gdym jak zazwyczaj w południe z Madame i z siostrami przyszła na pokoje Państwa na obiad, zastałam kasztelanica Kochanowskiego; stojąc w framudze okna z Jmć Dobrodziejem, rozmawiał tak żywo, że nie spostrzegł, kiedyśmy weszły; nie mogłam dosłyszeć tego, co mówili, jednak obiły się o moje uszy te ostatnie Jmć Dobrodzieja słowa, które z niejakim wyrzekł przyciskiem: „O finalnej rezolucji wnet się Wmość dowiesz”. I to powiedziawszy szepnął coś do ucha Jmć Dobrodziejce; ta kiwnęła na marszałka, dała mu jakiś potajemny rozkaz i niedługo obiad dano. Pan kasztelanic naprzeciwko mnie usiadł i dopierom się dokładnie przypatrzyła, jak był wystrojony. Frak aksamitny haftowany, kamizelka atłasowa biała, żaboty i mankiety koronkowe, fryzura jak z pudełka; a szastał się, kręcił, rozmawiał, francuszczyzną i dowcipem sadził dwa razy więcej niż kiedy: bardzo był piękny i zabawny. Obiad trwał dłużej niż zwykle, na pieczyste czekaliśmy chwilę i zważałam, że wtedy pan kasztelanic, lubo prawie nieustannie gadał i śmiał się, przecież mienił się jak cudowny obraz; nareszcie drzwi od sieni się otworzyły, weszli pacholiki z pieczystym, a mój kasztelanic zbladł jak chusta: spojrzałam na półmiski, obaczyłam gęś z czarnym sosem i domyśliłam się wszystkiego. Nie śmiałam podnieść oczów, dziwne myśli cisnęły mi się razem do głowy; przypomniały mi się owe piękne krakowiaki, zręczne mazury i menuety, wyborne siedzenie na koniu, gładka mowa francuska, śliczne komplimenta, wesele pani starościny i jakiś żal serce mi ścisnął; nie miałam odwagi wziąść z półmiska, Państwo nawet go się nie tchnęli i gdyby nie szary koniec, byłyby oba zeszły całe; ale

Macieńko pierwszy napoczął, a za jego przykładem poszli inni; taki nic dobrego, że wziąwszy udko gęsi, na głos powiedział: „Twardyć to wprawdzie kawałek, ale i to się strawi”. Wieki całe siedzieliśmy u stołu, mnie się przynajmniej tak zdawało, bo mnie i ciekawość dręczyła niepomału.

Nareszcie Jmć Dobrodziej dał znak wstania; powstaliśmy i gdy każdy był zajęty dziękowaniem Panu Bogu, widziałam, jak kasztelanic chyłkiem wymknął się z sali: już więcej nie wrócił, a gdy się dworzanie i dworscy rozeszli, Państwo mnie odwołali od mojej roboty i Jmć Dobrodziej tak do mnie mówił: „Mościa panno! Pan Kochanowski, kasztelanic radomski, oświadczył się dziś o twoją rękę; lubo ród jego jest dawny i znakomity, majątek uczciwy i dosyć stosowny, nie zdała się ta partia ani mnie, ani Jmć Dobrodziejce: naprzód — pan kasztelanic bardzo młody, sam z siebie nic nie znaczy, śp. ojca swego tylko tytułem się szczyci i nie odebrał jeszcze żadnej gruntownej łaski z szafunku dworu; po wtóre, nie wziął się, jak przynależy, do rzeczy, nie użył ani swatów, ani dziewosłębów, sam dziś oświadczył się jakby z kopyta, żądał natychmiast rezolucji finalnej. Otrzymał też przyzwoitą. Ani wątpimy, że i Waćpanna, Franulku, tegoż zdania jesteś”. To powiedziawszy, nie czekając odpowiedzi mojej, kazał mi wrócić do roboty.

Zapewne, zastanowiwszy się, i z obowiązku, i z przekonania sposób myślenia Państwa dzielę; ale ponieważ tu wszystko szczerze pisać się obowiązałam, wyznam, że wcale nie dlatego, że młody ani też że się wziąść do rzeczy nie umiał, ale najwięcej dlatego, iż nie ma sam z siebie znaczenia; jak Macieńko powiada: to „nic”, na którym kończy się „kasztelanic”, niewiele blasku przynosi: mnie by się przynajmniej zupełnego kasztelana chciało. Wreszcie, Bóg widzi, że jeszcze ochoty nie mam iść za mąż; tak mi dobrze w rodzicielskim domu. Kilka dni po powrocie z Sulgostowa smutno mi było, ale teraz już wracam do dawnej wesołości, gram nierównie większą rolę jak dawniej; kiedy gości nie ma, mnie czwartej u stołu półmiski podają, ja teraz z Państwem wszędzie jeździć będę; szkoda by tego wszystkiego porzucić; a potem, zamężcie kończy zupełnie zawód białogłowy; skoro pójdzie za mąż, jużci klamka zapada i po wszystkim; wie, czym będzie, gdzie będzie do śmierci; ja zaś w myśli mojej bujać lubię i na wołowej skórze by nie spisał tego, co mi czasem przy krosnach lub przy siatce po głowie się uwija. Jmć

Dobrodziejka wprawdzie bardzo często powtarza: „Pannie dobrze edukowanej i urodzonej nie przystoi zabawiać myśli mężem”. Ja też doprawdy, że nie o mężu myślę, tylko tak o różnych andronach, a cokolwiek mi się zdarzy czytać, wszystko to mimowolnie zaraz do siebie stosuję. Dzielę los wszystkich księżniczek, heroin z dzieł pani de Beaumont, panny de Scudéri, pani de La Fayette i często mi się wydaje, żem na takie same przeznaczona awantury. Teraz, kiedy już Basia za mąż poszła, większą mam ku temu łatwość; ona te bujania zawsze we mnie ganiła i niewiele romansów czytać dawała; lecz dla odwetowania straty czasu w ciągu jej wyprawy sama Madame wiele mi czytać każe, a im więcej czytam, tym więcej myśli moje rozkołysane. Basia zawsze zupełnie odmienne od mego miała ułożenie: ona mi się nieraz przysięgała, iż nigdy o przyszłości, o mężu nie myśli, chyba przy pacierzu; bo trzeba wiedzieć, że z rozkazu Jmć Dobrodziejki każda z nas, gdy szesnasty rok zaczyna, do prośby o rozum dobry, zdrowie dobre, przyjaźń ludzką dokłada: „i męża dobrego”. Basia zwała rzeczą bardzo słuszną prośbę do Boga o to, żeby był dobry ten, który nam kiedyś ojca i matkę ma zastąpić, z kim żyć trzeba do śmierci, kogo słuchać i kochać należy; ale nigdy w życiu nie postało jej w głowie, gdzie go pozna, jak i kiedy, czy jej się zdarzą jakie szczególne przygody, czy nie. Mówiła zawsze: „Jak się trafi, dosyć będzie czasu”. Bardzo dobrze na tym wyszła; takiego słusznego dostała człowieka; pisała do Państwa, że skoro się odtęschni od ich domu, nie będzie nad nią szczęśliwszej białogłowy: widać, że coraz bardziej kocha pana starostę i że zupełnie z losu swojego kontenta. Kto wie? może bym ja takim losem zaspokojoną nie była?… Co bądź, to bądź, bardzo dobrze Państwo zrobili, że odmówili kasztelanicowi; żal mi trochę nieboraka, iż taki wstyd poniósł, ale nadzieja w Bogu, sprawdzą się słowa Macieńka: i on strawi ten przykry kawałek.

Dnia 17 marca, w niedzielę

Jużeśmy wczoraj do wieczerzy siadać mieli, kiedy nas zajechali arcyprzyjemni i zupełnie niespodziewani goście: księżna wojewodzina lubelska z mężem, ciotka moja. Dla ważnych spraw i obowiązków, a

najwięcej dla obecności królewica, nie mogąc być na weselu p. starościny, gdy on do Kurlandii wyjechał, zjechali tu umyślnie, chcąc sobie to nagrodzić i państwu powinszować wydania córki za mąż szczęśliwie. Przyjazdem tych znakomitych gości znowu się nasz zamek ożywił; Jmć Dobrodziej nie posiada się z radości i prawdziwie miejsca księżnie znaleźć nie umie: rad by jej nieba przychylił, tak ją uwielbia i poważa. Księstwo wojewodowie już pięć lat w Maleszowej nie byli, ja przez ten czas z dziecka na pannę wyrosłam, dosyć się też nade mną wydziwić nie mogli; wstyd mi wyznać, ale mnie tak z urody chwalili, żem nie wiedziała, gdzie się podzieć. Bardzo są przyjemne te pochwały, ale kiedy je człowiek jakby przypadkiem usłyszy; wręcz powiedziane — niemal przykre; i milej mi teraz wspominać je sobie, jak by to wczora ich słuchać. Książę wojewoda powiedział bez żartu, że gdybym się pokazała w Warszawie, zgasłaby i starościanka Weslówna, i krajczyna Potocka, i księżna Sapieżyna, żona kanclerza, które za pierwsze piękności uchodzą; księżna zaś uznała, że mi tylko nie dostaje lepszego trzymania się, ułożenia, poloru. Jak żyję, tylum pochlebnych nie słyszała rzeczy i wcalem sobie nie wystawiała, żebym tak dalece piękną była. Widziałam, jak na te pochwały rosło z radości serce Jmć Dobrodzieja, ale co Jmć Dobrodziejka, to mnie kazała przywołać dziś rano do siebie i mocno napominała, żebym tym słówkom zupełnej nie dawała wiary, zowiąc je dworszczyzną.

Coś mi się wszystko wydaje, że są na mnie jakieś projekta. O, jak bym je też wiedzieć rada! Niespokojności mnie aż biorą i prawdziwie, że tej nocy dobrze spać nie mogłam, takie mi się dziwy snuły. Ale bo co też księstwo napowiadali rzeczy ciekawych, zabawnych; Państwo chcieli, żebym jak zwykle o dziesiątej z Madame i z siostrami na górę spać poszła, ale książę wojewoda uprosił, żem do końca wieczora siedziała. Jakie to były w Warszawie uczty, bale z powodu inwestytury królewica; nie pamiętają od dawna tak świetnych zapust: w ostatki we wszystkich kolegiach grano trajedie i komedie i taki jest powszechny do królewica zapał, że wszędzie były do niego przystosowania. Tak w ostatni poniedziałek (właśnie w dzień wesela Basi) u księży jezuitów grano Trajedię Antygona, w której Demetriusz, rycerz wielki, ojca swego od nieprzyjaciół obrania i państwo mu przywraca; na końcu więc takie do królewica powiedziano wiersze:

Nie u samych synowie wierni byli Greków,

Są Demetryjuszowie i u nas tych wieków.
Ty nam, Wielki Karolu, ten przykład wskrzesiłeś,
Gdy lepszego niż Greczyn ojca krzywd broniłeś;
Bądźże Ojcem Ojczyzny tej, króluj nad nami:
Wszyscy za Ciebie będziem Demetryjuszami.

Już więc królewic głośnych ma stronników, mnie coś do ucha szepce, że on królem polskim będzie; słuchałam z wielkim upodobaniem pochwał, które mu dawał książę wojewoda: to mój bohater i on wyjdzie na wielkiego człowieka. Ale cóż? kiedy to u nas o zgodę tak trudno; po kilku drobnych rzeczach dostrzegłam, że księżna wojewodzina nie jest tego zdania, innego króla życzy Rzeczypospolicie, nie królewica ani Poniatowskiego, zdaje mi się, że jakiegoś trzeciego ma na oku. Czyje też widoki i życzenia Bóg spełni? Prawdziwie rzecz ciekawa.

Dnia 10 marca, we wtorek

Wyjechali księstwo przed pół godziny; jaszcze wczora wyjeżdżać chcieli, ale Jmć Dobrodziej koła z ich powozów pozdejmować kazał i przekonał, że w poniedziałek puszczać się w podróż niebezpieczno, bo to jest dzień feralny. Do końca bardzo na mnie byli łaskawi, szczególniej książę wojewoda. Tyle Państwu głowę kłócili, że kto wie, czy dla dokończenia edukacji nie oddadzą mnie na pensją do Warszawy. Od niedawnego czasu niejaka panna Strumle, cudzoziemka, którą lubo panną, wszyscy Madame zowią, założyła pensją panien, bo dotąd po klasztorach tylko się chowały; ta jej pensja w wielkiej jest renomie. Z najpierwszych domów córki nabywają tam talentów i poloru; niepospolite subiekta stamtąd wychodzą, i dla młodej panny być czas jakiś u Madame Strumle taka zaleta, jak dla kawalera być w Lunewilu. Do niej książę wojewoda choć na rok oddać mnie radzi, tam mam nabrać tego wszystkiego, co mi nie dostaje. Państwo woleliby do sakramentek, w klasztorze zawsze przyzwoiciej; nie wiem zatem, na czym się skończy, wiem tylko, żem jakoś niespokojna: nie tyle uważam tego, co czytam, robota nie tak dobrze mi idzie jak dawniej; więcej myślę o tym, co będzie, jak o tym, co jest: tak jestem, jak gdyby mnie się co dziwnego stać

miało. Nie trzymałam tak dobrze o sobie przed pobytem księstwa, a daleko z swojej osoby kontentniejsza byłam. Doprawdy, że sama siebie nie rozumiem.

Dnia 24 marca, w niedzielę

A! Bogu dzięki! pojutrze jedziemy do Warszawy; koniecznie musiałam potrzebować tego wyjazdu, bo od czasu, jak postanowiony, zupełnie jestem spokojna. Nie wiem jeszcze, gdzie oddaną będę, ałe rzecz pewna, że do Maleszowej nie tak prędko wrócę, bo Jmć Dobrodziejka całą moję garderobę zabrać kazała i z jej sukien dwie dla mnie przerobiono. Państwo niespodzianie powołani zostali do Warszawy dla interesów sukcesji po śp. Błażeju Krasińskim, stryjecznym naszym, który zszedł bezdzietnie i znaczny majątek zostawił. Takam szczęśliwa, że jadę, może też dlatego, że zboczemy do Sulgostowa. Pani starościna właśnie wróciła z bardzo miłej podróży; obwoził ją pan starosta po krewnych, sąsiadach, przyjaciołach swoich; wszędzie jej radzi byli: teraz już ciągle w domu siedzieć będzie i bardzo się z tego cieszy; na wyborną gospodynię się zanosi. Pan wojewoda Świdziński z takim o niej uniesieniem pisał, z taką wdzięcznością, że się aż Państwo rozpłakali nad jego listem, a to jedynie z radości. Miło, kiedy rodzice nad dzieckiem łzy radości leją. Basia do innych łez nigdy Państwu powodem nie była, chyba wtedy, jak stąd wyjeżdżała. Bardzo się cieszę, że ją zobaczę.

Dnia 7 kwietnia, w niedzielę, z Warszawy

Sama temu wierzyć nie śmiem: już od wczora bawię na owej sławnej pensji u Madame Strumle; księstwo wojewodowie tak dobrze wszystko ułatwili, żem od razu wstęp znalazła, a na słowo księżnej Jmć Dobrodziej sakramentek odstąpił. Radość moja niewypowiedziana, bom sobie tego gorąco potajemnie życzyła. Jadąc do Warszawy, byliśmy w Sulgostowie;

pani starościna wesoła, szczęśliwa, jak też była Państwu rada! Powiedziała mi, że kto tego nie doznał, wystawić sobie nie może, co to jest za szczęście rodziców w własnym domu przyjmować. Wszystkie potrawy, wszystkie trunki i przysmaki, które Państwo lubią, wszystkie były na stole przez te trzy dni; nie zapomniała o niczym, co by im przyjemność zrobić mogło, a na wyścigi z panem starostą usługiwała im i dogadzała. Słyszałam, jak Jmć Dobrodziejka mówiła do niego, że Basia jeszcze lepsza od tego czasu, jak za mąż poszła. „Nie lepsza — odpowiedział — już ją taką z rąk Państwa Dobrodziejstwa dostałem, ale ma teraz większe pole okazania przymiotów swoich, a jaką jest przez te parę dni dla rodziców, taką dla mnie co dzień. Widać też, że ją serdecznie kocha i ona bardzo się do niego przywiązała. Mówiła mi, że męża to żona uważa jak ojca, jak przyjaciela, że to jest związek tak ścisły, iż bardzo pojmuje, że tylko śmierć jedna rozerwać go może; i co dziwnego, powiadała mi jeszcze, że co dzień jest szczęśliwsza i że woli daleko dnie teraźniejsze jak dnie wesela. Już się zupełnie rozgospodarowała i bardzo dobrze umie domem zarządzać, gości przyjmować. Panny i dziewczęta, które z Maleszowej pobrała, mówią, że im wybornie w Sulgostowie. Państwu nie chciało się wyjeżdżać; ja wyznam szczerze, że mi było do Warszawy pilno, i byłam temu rada, gdy ich listy do wyjazdu przymusiły. Miałam się do czego śpieszyć, tu prawdziwie ukształcę się, wydoskonalę, a ja dosyć mam ochotę zostać niepospolitą białogłową. Chcąc się do tego przysposabiać, wzięłam się szczerze do nauki i zawieszając na czas wszystkie myśli, bujania, całą przyszłość, chcę zająć się jedynie tym, co jest, nie tracić na próżno ani chwili. Wczora, jako w dzień, w który tu oddaną zostałam, Jmć Dobrodziejka zawiezła mnie do kościoła; spowiadałam się i komunikowałam z jej rozkazu na tę intencją, żeby nauki i światło, których mam tu nabrać, na dobre, nie na złe mi wyszły. Usłuchałam, lubo tego nie pojmuję, jak by inaczej stać się mogło? Skoro się rozpatrzę na tych nowosiedlinach, opiszę wszystko — dotąd jestem odurzona. Przywykła widzieć zawsze znajome twarze, wydziwić się nie mogę, iż tu nie znam nikogo.

Dnia 12 kwietnia, w piątek

Już zupełnie się rozpatrzyłam i nieco oswoiłam z nową siedzibą moją. Madame Strumle bardzo mi się podoba, do rzeczy białogłowa i dziwnie na mnie łaskawa. Nie tak tu dworno, wspaniale, huczno, jak w maleszowskim zamku, ale uczciwie i dosyć wesoło; mnie sama nowość bawi; na przykład: nie ma ani pacholików, ani hajduków, tylko i do stołu, i wszędzie same usługują kobiety. Jest nas panien kilkanaście, wszystkie z najpierwszych domów i młodziuteńkie. Bardzo tu często wspominają siostrę pana starosty, pannę Mariannę, dzisiejszą kasztelanową połaniecką; była na tej pensji przez parę lat i w sercu Madame i towarzyszek swoich słodką i niewytartą pamięć zostawiła. Ma to być dobra, rozsądna, wesoła, ze wszech miar przyjemna i nieoszacowana osoba; bardzo dobrze nauki przyjęła. Państwo, przypatrzywszy się tej pensji, zupełnie zaspokojeni zostali; już w klasztorze nie może być panna lepiej strzeżona. Madame nosi w kieszeni klucz od drzwi wchodowych, nikt bez jej wiedzy ani wyjść, ani wnijść nie może; gdyby nie kilku starych metrów, można by zapomnieć, jak mężczyźni wyglądają: krewnym żadnym płci męskiej bywać nie wolno. Metr od tańca chciał już przy mnie, żeby panowie Potoccy, w kolegium jezuitów będący, mogli tu bywać i z siostrami swymi razem kontradansów się uczyć: Madame Strumle ani słyszeć o tym chciała. „Ci panicze nie są braćmi wszystkich pensjonarek moich, tylko dwóch — powiedziała — a zatem przystępu do mego domu pozwolić im nie mogę”.

Mam metra od francuskiego i od niemieckiego języka, od tańca, od rysunku, od haftu i od muzyki, śliczny tu jest klawicymbał, nie taki szpinet jak w Maleszowej, ma aż półszóstej oktawy, a tony 23 razy odmieniać można. Kilka jest panien, które już polskiego tańca wcale nieźle zagrać potrafią, i to nie z palców, ale z nut, a co największa, ręce na krzyż. Metr mi obiecuje, że najdalej za pół roku dojdę i ja do tej doskonałości; miałam też i z domu jakie takie początki. Rysuję dotąd same wzorki i dosyć zręcznie mi to idzie, ale nim dokończę edukacji, muszę koniecznie tyle się nauczyć, żeby zrobić farbami suche drzewo, na gałęzi zawieszony wieniec z kwiatów, a w środku cyfra Państwa, i ofiarować im to dzieło w nagrodę poniesionych kosztów, bo zapewne dosyć znaczne będą. Księżniczka Sapieżanka, tu od roku będąca, robi właśnie takąż malaturę dla rodziców i mnie aż zazdrość bierze, ile razy spojrzę na tę jej robotę. Jak by dobrze się wydawała w bawialnej sali w naszym zamku, pod tym wielkim mego ukochanego biskupa obrazem.

Metr od tańca prócz menuetów i kontradansa uczy nas chodzenia, kłaniania się; ja dotąd na jeden tylko manier się kłaniam, a to ich jest kilka: inaczej królowi, inaczej królewicom i innym panom i paniom; o ukłon królewicowski najpierwej prosiłam i najlepiej go umiem; może też choć raz księciu kurlandzkiemu się ukłonię. Nieustannie zajęta, chciwa nauki, czas mi prędko i dosyć mile schodzi. Jmć Dobrodziejka już raz mnie odwiedziła, bardzo zakłopotana sprawami. Wyznam szczerze, że pierwszych dni dziwno mi tu było; te ciągłe przestrzegania pokuty, ten krzyż żelazny, w który mnie ubrano, żebym się prosto trzymała; ta machina, w której po godzinie stać potrzeba, żeby się nogi prostowały (choć moje, zdaje mi się, że dosyć są proste): wszystko to nie szło mi w smak. Na weselu pani starościny i po jej odjeździe zupełnie na słuszną pannę wyszłam; oświadczenie kasztelanka Kochanowskiego, pochwały i szeptania księcia wojewody, wszystko gdzieś daleko myśl zawiodły; jużem sądziła, że jestem czymsiś, aż tu nagle zdziecinniałam: Madame Strumle nawet z pacierza prośbę o dobrego męża wyrzucać kazała, a na to miejsce naukę dobrą włożyła. I tu prawdziwie o czym innym, jak o nauce, myśleć niepodobna.

Dnia 28 kwietnia, w niedzielę

Już trzeci tydzień pobytu mego na pensji się kończy, a ja ani słowa w tym dzienniku nie napisałam; bo dni zupełnie jednakowe prędko schodzą, ale mało rzeczy do opisu podają: oto i w tej chwili dumam nad tym, co napiszę. Państwo niedługo wyjadą. Księżna wojewodzina raczyła mnie odwiedzić i uważała, że się lepiej trzymam; metrowie ze mnie kontenci, Madame bardzo łaskawa, panny przychylne i grzeczne: zresztą nic a nic nie wiem. Zdaje mi się niepodobną rzeczą, żebym ja w Warszawie była, bo z publicznych rzeczy nierównie mniej wiem i znakomitych ludzi nierównie mniej widzę jak w Maleszowej. Królestwa oko moje nie ujrzało. Księcia kurlandzkiego wcale nie ma i nie tak prędko powróci.

Dnia 9 czerwca, w niedzielę

Gdybym zawsze na pensji zostać miała, wnet by ustał mój dziennik, a szkoda, że nie mam co w nim pisać, bo może zupełnie po polsku zapomnę. Prócz listów do Państwa, którzy już wyjechali, gdyż urządzenie tej sukcesji nie tak prędko się ułatwi, prócz rozmowy z garderobianką moją i tego dziennika nigdzie ojczystej mowy nie używam: wszędzie i zawsze po francusku. W naukach znaczne postępy czynię, a co mnie mocno cieszy, księżna wojewodzina, która mnie przez miesiąc cały nie widziała, zapewnia, żem znacznie urosła i że już bardzo dobrze się trzymam; prawda, żem teraz ze wszystkich panien tu będących najwyższa, a moja przepaska trzech ćwierci nie trzyma. Teraz, kiedy tak pięknie i zielono na świecie, czasem nie wiedzieć skąd jakaś tęsknota mnie napada; chciałabym być ptaszkiem, wylecieć daleko i znowu do mojej klatki powrócić; ale nic z tego: trzeba siedzieć, a jeszcze na jakiej ulicy! — na Bednarskiej, podobno z całej Warszawy najbrzydszej. Na przyszły rok, da Bóg doczekać, będzie inaczej.

Dnia 26 lipca, piątek

Przy zatrudnieniu, choć bez zabaw i nowin, dnie, jak widzę, bardzo prędko mijają; dziś za głowę się wzięłam, kiedy po tak długim milczeniu, chcąc coś [nie]coś napisać w tym dzienniku, szukałam w kalendarzu, jaki dzień mamy, i dowiedziałam się, że już siedem niedziel, jak się go ani tknęłam; dzisiejszy dzień jednak pamiętnym mi będzie: dziś, jak żyję na tym świecie, pierwszy list do siebie pisany odebrałam. Nieoszacowana pani starościna zrobiła mi tę przyjemność i na kopercie napisała mój adres. Już więc na poczcie wiedzą, że jest w Warszawie Mademoiselle la Comtesse Françoise Krasińska; skakałam z radości, ten list odebrawszy: schowam go wraz z kopertą na wieczną pamiątkę. Pani starościna zdrowa, szczęśliwa i taka łaskawa, że z intrat ogrodowych, które jej pan starosta do rozrządzenia oddał, przysyłała mi cztery dukaty w złocie, żebym z nimi zrobiła, co mi się podoba. Pierwsze to pieniądze, których panią jestem, i te niemało mnie ucieszyły. Co też na nich miałam projektów! Zdawało mi się, że całą Warszawę zakupię! Dla siebie nic nie potrzebuję, bo z łaski Państwa mam

wszystko, ale chciałam każdej pannie zostawić upominek i dać każdej po pierścionku złotym. Madame mnie zmartwiła mówiąc, iż by ledwie dla czterech wystarczyło; chciałam potem kupić dla Madame Strumle salopkę blondynową, alem się dowiedziała, że taka kilkadziesiąt dukatów kosztuje; nareszcie po długich wahaniach tak się namyśliłam: dukata poślę do fary do Pana Jezusa na mszą, żeby Państwa interesa dobry obrót wzięły i pani starościna zawsze tak szczęśliwą była jak teraz; dukata zmienię na tynfy i rozdam między służebne tego domu, a za dwa dukaty w niedzielę małą ucztę wyprawię: będzie kawa, której tu nigdy nie pijamy, będą ciasta, owoce; już Madame Strumle zezwoliła na ten użytek pieniędzy. Niech Bóg da zdrowie kochanej pani starościnie, że mi taką przyjemność sprawiła, bo jak mnie się zdaje, większej nie ma nad częstowanie i obdarzanie drugich; jeśli sobie życzę dostać męża jeszcze bogatszego od siebie, najwięcej dlatego, żebym pieniądze i podarki suto rozdawać mogła.

Moja edukacja znacznym postępuje krokiem, już kilka kontradansów i menuetów gram z nut, a wkrótce zacznę się uczyć najmodniejszego teraz polskiego tańca, niepięknie, bo „Stu diabłów”, zwanego; ale sześć razy wypada w nim rękoma na krzyż grać. Najdalej za miesiąc suche drzewo z wieńcem będzie w robocie; haftuję też na kanwie strzelca z fuzją i z chartem na smyczy; czytam wiele, piszę pod dyktacją, przepisuję, po francusku gładziej mówię niśli po polsku i w tym dowodzę, że niedługo do dobrego tonu należeć będę mogła. O taniec ani się pytać, nie wiem, czy mi metr nie pochlebia, ale mówi zawsze, iż w całej Warszawie nie ma takiej jak ja tancerki. U księstwa bywam czasem, ale rano, kiedy nikogo nie ma; zawsze tam wiele miłych nasłucham się rzeczy, osobliwie od księcia, który już by miał ochotę, żeby mnie odebrano z pensji, ale księżna i Państwo zimy chcą czekać. Dopiero koniec lipca, to bardzo daleko. Czy też ta zima przyjdzie kiedy?

Dnia 26 grudnia, we wtorek

Przyszła nie tylko zima, ale i chwila opuszczenia pensji; przyszedł ten moment pożądany, w którym inne zupełnie rozpocznę życie. Dziennik mój nawet zrobi się obfitszym, zabawniejszym, i także na to niezmiernie się

cieszę. Nie wrócę do maleszowskiego zamku, aż Bóg wie kiedy; księstwo tak łaskawi, iż żądali koniecznie i otrzymali od Państwa pozwolenie zatrzymania mnie przez tę zimę u siebie i wprowadzenia w wielki świat. Pojutrze już kończę pensję i osiądę na dobre u księstwa. Żal mi trochę porzucać Madame Strumle i panny, z którymi się zaprzyjaźniłam, ale wyznam szczerze, że radość wydobycia się z tej klatki, poznania tego świata, o którym już tak dawno słyszę i myślę, zupełnie żal przemaga. Wnet zobaczę króla, królewiców, będę u dworu; księcia kurlandzkiego co dzień się spodziewają, i jego poznam. Ach! jakże od tych dni kilku, co wiem, że już rzucę pensją, czas pomału idzie.

Dnia 28 grudnia, we sobotę

Dzisiejszy dzień na zawsze dla mnie pamiętny: z rana przyjechała sama księżna wojewodzina i wzięła mnie; przy niej żegnałam się z pannami, z Madame Strumle i pomimo tego, żem tej chwili od tak dawna żądała, od łez wstrzymać się nie mogłam. Po drodze wstąpiliśmy do kościoła, ale nie byłam zdolną modlić się dobrze, bo myśli dziwnie były rozbujane. Jużem usadowiona; księstwo mieszkają w swoim pałacu na Krakowskim Przedmieściu, prawie naprzeciwko pałacu księcia wojewody ruskiego; niezbyt wielki, ale wcale piękny; z drugiej strony ma widok na Wisłę i maleńki ogród. Ja mieszkam w ładnym pokoju, który w lecie osobliwie dziwnie musi być przyjemny, bo z gankiem i z wyjściem do ogródka; z jednej strony mam komunikacją z księżną, z drugiej z służebną moją. Już był krawiec, brał mi miarę i dziwił się nad szczupłością i giętkością stanu mego; zrobił mi sukien par kilka, nie wiem, jakie będą, bo księżna sama wszystko dysponuje, a takie uszanowanie (bodaj czy nie strach) we mnie wzbudza, że spytać jej się o nic nie śmiem. Książę, choć mężczyzna, daleko mi mniej imponuje, bo też bardzo łagodnego charakteru i wielce przyjemny; żal mi, że go teraz w Warszawie nie ma: pojechał do Białegostoku naprzeciw księcia kurlandzkiego, w tych dniach oba wrócić mają: w wysokich jest łaskach u królewica. Jutro mamy jechać na wizyty, księżna mnie obwiezie po znaczniejszych domach, gdyż tak się zawsze czyni, kiedy kto chce być znanym i na kompanie proszonym. Trochę się

lękam tych wizyt, a oraz i cieszę się na nie; będą mi się przypatrywać, ale i ja też wiele rzeczy i osób zobaczę: początek każdej rzeczy jest przykry.

Dnia 29 grudnia, w niedzielę

Trzy dobre nowiny mam do zapisania: królewic Karol wczora o godzinie pierwszej z południa przyjechał, z nim książę wojewoda, który mnie jak siostrę w domu swoim witał, i już po wizytach; oddaliśmy ich kilkanaście. Nie wiem, czy potrafię wszystkie domy wyliczyć, zwłaszcza że były takie, gdzie nas nie przyjęto, jak to u posła francuskiego i hiszpańskiego, którzy tu są z żonami, u prymasa i u wielu innych; tam księżna zostawiać kazała karteczki ze swoim tytułem i nazwiskiem. Naprzód byliśmy u pani Humieckiej, miecznikowej koronnej, jako u wujenki mojej, potem u księżnej strażnikowej Lubomirskiej, bratowej księstwa; ta jako młoda, przystojna i księżniczka Czartoryska z domu, rej między młodymi paniami wodzi i niezmiernie francuszczyznę lubi. Bardzo mi się przydaje moja umiejętność w francuskiej mowie, której już dobre początki wywiezłam z Maleszowej, a wydoskonaliłam na pensji. Tu, im dom znakomitszy, im gospodyni młodsza, tym więcej po francusku mówią, a jak mężczyźni poważni łaciną strzępią mowę swoję, tak młodzież francuszczyzną. Wolę ten zwyczaj, bo rozumiem, co mówią.

Byliśmy u hetmanowej Branickiej; jej mąż, hetman wielki koronny, jest jednym z najbogatszych panów w Polsce, ale dwór źle go widzi. Byliśmy i u księżnej wojewodziny ruskiej, u tej rozmowa była co do słowa po polsku; bo też to już stateczna pani: podobała mi się niezmiernie. Poznałam u niej jedynaka jej syna, dziwnie przystojnego i grzecznego kawalera; wiele mi pięknych rzeczy powiedział, i podobnom na tej wizycie najlepiej się zabawiła. Ale źle mówię, zabawiłam się równie dobrze u kasztelanowej krakowskiej Poniatowskiej. To białogłowa niepospolita, wiele i z zapałem mówiąca; zastaliśmy ją w wielkiej radości, gdyż w gronie familii witała ukochanego syna, który niezbyt dawno z Petersburga powrócił, owego syna, o którym to mówią cichaczem, że królem może będzie. Przypatrywałam mu się pilnie; nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał, ale przyznać muszę, że piękny i grzeczny. Nie wiem, czy to tak z natury,

czyli też udanie, ale zdawało mi się, jakby już coś królewskiego miał czy chciał mieć w sobie: wspaniała i układna nad wiek postawa, chód i ukłon inny jak u wszystkich.

Zabawiłam się także wybornie u wojewodziny podolskiej Rzewuskiej, bośmy zastali i męża jej, hetmana polnego. O przygodach dziecinnych lat jego, jak w dobrach ojca między wiejskimi dziećmi ukryty boso chodził, o męstwie, zahartowaniu — tyle słyszałam od Jmć Dobrodzieja, iż dziwnie mi było miło go widzieć. Ma lat przeszło pięćdziesiąt, zdrów i silny; obyczajem dawnych Polaków brodę nosi, co mu powagi dodaje; ma być i niepospolicie uczony: książę wojewoda mi powiadał, że wcale piękne trajedie pisze. Byliśmy i u pani Brühlowej, żony ulubionego ministra króla Jmci; chociaż jego nikt nie szacuje, u niej wszyscy bywają i z powinności, i chętnie, bo bardzo grzeczna osoba. Byliśmy także u pani Sołtykowej, kasztelanowej sandomierskiej. Już wdowa, ale jeszcze młoda i przystojna; prezentowała nam swego syna Stasia; stryj jego, biskup krakowski, chce koniecznie wziąć go do siebie na edukację, a matce żal niezmierny z nim się rozłączyć. Chłopczyna mieć może lat dziewięć, a już grzeczny i rozmowny; jeszcze nie siedziały poważne panie, kiedy on już dla mnie krzesło przysunął, powiedział mi gładki komplement i pani kasztelanowa mówiła, że niezmiernie piękne twarze i czarne oczy lubi. Byliśmy i u podskarbini wielkiej koronnej Moszyńskiej, także wdowy, ona najczęściej w Dreźnie gości; łaskawie, czule nawet mnie przyjęła; jakiś nadzwyczajny afekt ciągnie mnie do niej: zdaje mi się, jakbym ją od dawna już znała. I ona uspokoić się nad moją urodą nie mogła; już to, prawdę powiedziawszy, wszędzie o niej mówiono, lubo nie wszędzie głośno; alem ja się zawsze tego domyślała; wyznać też trzeba, że nigdy w życiu, nawet na weselu Basi, nie byłam tak pięknie ubrana, nie było mi tak do twarzy. Miałam suknią grodeturową białą z szerokimi gazowymi falbankami, niebieską turkiezę z ogonem, a na głowie perły. Zupełnie byłabym kontentna z tych wizyt, gdybym była gdzie księcia kurlandzkiego spotkała; a z tą nadzieją wyjeżdżałam, alem omyloną została. Po długim niewidzeniu się z ojcem, z królem Jmcią, cieszy się teraz i nie wyjeżdża z królewskiego pałacu. Łatwo to pojąć, i mnie już nieraz (osobliwie na pensji) bardzo było do Państwa tęskno. Ale wkrótce karnawał się zacznie, balów, asamblów będzie bez końca, królewic Karol na wszystkich prawie bywa, gdyż jak książę wojewoda mówi, bardzo bawić się lubi: poznam go więc bez wątpienia.

Dnia 1 stycznia 1760 r., we środę

Otóż spełnione życzenia moje, i jak! Nie tylko poznałam królewica, ale mówiłam z nim; nie tylko mówiłam z nim, ale i… Lecz nie będzież to zbyteczna śmiałość napisać to, do czego bym się może nikomu nie przyznała, czemu zaledwie śmiem wierzyć, co mi się może, jako niedoświadczonej dziewczynie, przyśniło?… Oj, nie przyśniło się! Co nie, to nie! Ja zawsze wiem dobrze, kiedy się komu podobam, jeszczem nigdy w tej mierze się nie omyliła; miałżeby to być raz pierwszy? I proszę, cóż by w tym było tak dziwnego, że kiedy mnie Pan Bóg piękną stworzył i wszyscy mnie za taką uznają, królewic patrzył na mnie takimi oczyma jak wszyscy! Jak wszyscy? Oj! podobno w oczach jego coś więcej jak we wszystkich było. Może też to oczy takie; pierwszyć on królewic, któregom w życiu widziała i słyszała; na tym balu maskowym nie było innego; zapewne każdy z nich taki uprzejmy i grzeczny… Takaż by wielka między nimi i innymi ludźmi miała być różnica?… Ale rzecz każdą zawsze porządnie opisywać należy, trzeba więc wszystko powiedzieć koleją.

Wczora rano księżna kazała mnie zawołać do siebie i tak mi powiedziała: „Dziś, jako w ostatni dzień roku, bywa zwyczajnie reduta, czyli bal maskowy; wszyscy panowie, król nawet i królewice bywają na nim, i waćpanna będziesz z nami, ubrana za Dziewicę Słońca”. Ucieszyłam się niesłychanie i pocałowałam księżnę w rękę. Niedługo po obiedzie zabrano się do ubioru mego; zupełnie on był od zwyczajnego odmienny, bo bez pudru, bez rogówki… Księżna mi powiedziała bardzo poważnie, że lubo strój mój wcale nie jest przyzwoity i zgubioną byłaby białogłowa, która by w innej okoliczności podobnież się ubrała, ona się spodziewa, że ja najmniejszej nieprzyzwoitości nie popełnię i układnością twarzy i postawy nagrodzę, co strojowi na powadze zbywa. Usłuchałam jej wiernie; chociaż wesołą i żywą jestem, umiem przybrać wspaniałą minę i tak mi się to udało tego wieczora, że wiele osób słyszałam pytających się: „Cóż to za przebrana królowa?” Nie przyszło mi to dotąd do głowy, ale teraz mnie ta myśl martwi… Nie sposób tak co dzień chodzić; a może w tym ubiorze ładniejszą byłam jak co dzień?… Ładniejszą jak ładniejszą, ale zupełnie

inną. Włosy z pudru wyczesane, jak kruk czarne, spadały wijąc się na czoło, szyję i ramiona; suknia gazowa biała bez ogona, w stanie bogatą przepaską ściśniona; na piersiach słońce złote, a na głowie wielki welum przezroczysty i biały, który owijał mnie całą jakby obłokiem. Nie poznałam się, gdy po skończonym ubiorze pozwolono mi się przejrzeć w zwierciedle; może by mnie dziś nie poznano?…

Gdyśmy weszli do sali, już była prawie pełna; odurzałam na to mnóstwo osób, pięknie i rozmaicie ubranych, w maskach, bez masek, w strojach zwyczajnych i nadzwyczajnych; nie wiedziałam, gdzie wzrok obrócić, komu się przypatrywać najpierwej. Wtem szmer się zrobił. „Książę kurlandzki!” — powiedziało głosów kilka i w gronie dorodnej i bogato przystrojonej młodzieży ujrzałam go. Lubo w mało co odmiennym od otaczających go ubiorze, od razu go poznałam, bo wzrostem, kształtną i okazałą postacią, łagodnością dużych oczów niebieskich, słodyczą uśmiechu różnił się cd wszystkich. Pótym na niego patrzyła, póki on mnie nie zobaczył; ale skoro się oczy nasze raz spotkały, już przypatrywać mu się nie mogłam, bom zawsze jego wejrzenie spotykała; widziałam, jak się o mnie pytał, i kogóż? księcia wojewody; widziałam wyraz radości na twarzy jego, gdy się dowiedział, kto jestem, i jeszcze ten wyraz nie znikł, kiedy przystąpił do księżnej, przywitał ją uprzejmymi słowy i głosem nad wyraz miłym. Zaraz po pierwszych komplementach wzięła mnie księżna za rękę i prezentowała jako siostrzenicę swoję; ani wiem, jak się ukłoniłam, podobno nie tak, jak mnie metr uczył, bom bardzo była zmięszana; nie wiem także, co królewic do mnie mówił, tylko to wiem, że otworzył bal z księżną, a drugiego polskiego tańca już ze mną tańcował i — czego bym się nigdy nie była spodziewała — on mówił do mnie, a ja mu dosyć śmiało i gładko odpowiadałam. Pytał się o Państwo, o panią starościnę, ojej wesele. Dziwno mi było, skąd to wszystko mógł wiedzieć, ażem sobie przypomniała, że kasztelanic Kochanowski zausznikiem jest jego. Taki poczciwy, że nie tylko strawił gęś z czarnym sosem, ale jeszcze jak najlepiej królewica o wszystkich nas uprzedził; mnie bardzo zachwalił, lecz jak mówił królewic, ani przez połowę, jak należało. O! jak też wiele podobnych powiedział mi rzeczy i w czasie tego tańca, i innych, bo prawie z nikim, tylko ze mną i menuety, i kontradanse tańcował, a usta mu się nie zamknęły.

Kiedy o północy uderzono z armat na znak, że rok nowy starego pokonał, powiedział mi: „O! na zawsze tę noc pamiętać będę, nie tylko Nowy Rok,

ale nowe życie rozpoczęła dla mnie”. A jak wiele do ubioru mego zręcznych przystosowań; ani podobna wyrazić tego po polsku, bo on ciągle po francusku mówił: nie to złoto na piersiach, ale oczy moje były słońcem; ich spojrzenie ogień wieczny w sercach wznieca i tysiąc podobnych rzeczy; piękniejszych komplementów ani w romansach pani Scuderi, ani w pani de La Fayette nie czytałam. Miałaby to wszystko być dworszczyzna? Udanie? Miałżeby te przyjemne słówka mój ubiór jedynie sprowadzić? Bieda mi wielka, że nie mam się kogo o to zapytać; Państwo w Maleszowej, księżnej się boję, księciu, jako mężczyźnie, takich rzeczy mówić nie śmiem; sama sobie zostawiona, tydzień temu jeszcze na pensji, wśród nauk, metrów, dziś już grająca jakąś rolę na święcie, zupełniem omaniona. Za dziesięć dni najdalej pani starościna ma tu zjechać; ona rozsądna, ona mnie pewno oświeci; cieszę się niezmiernie na jej przyjazd; już trzy kwartały, jakem nie widziała tej ukochanej siostry, wiem tylko, że coraz szczęśliwsza, coraz więcej od męża kochana… Mój Boże! czy ja też jeszcze kiedy królewica obaczę? Czy on mnie też pozna w zwyczajnym stroju moim? Czy mu się wydam tak ładną?

Dnia 3 stycznia 1760 r., w piątek, w Warszawie

Ciekawość moja niedługo natężoną była, widziałam królewica, już nawet dwa razy; poznał mnie i tymiż samymi widzi oczami. Ani pojmuję, skąd mi takie dziecinne obawy przyjść mogły do głowy. Gdyby się on nie wiem jak przebrał, wszak bym go poznała. Ledwiem w dzień Nowego Koku dziennik pisać skończyła, kiedy przyszedł do mego pokoju książę wojewoda. „Franusiu! — powiedział — przeszłaś wszelkie spodziewanie; ułożenie twoje na wczorajszym balu było wyborne, podobałaś się powszechnie, a nawet znakomitym osobom. Wracam w tej chwili z pokojów, gdziem wraz z senatorami i ministrami królowi Jmci powinszowania składał. Jego królewicowska mość książę kurlandzki przyszedł sam do mnie i wyznał, iż nie widział nigdy nic podobnego tobie; i gdyby nie etykieta dworska, która go przymusza cały dzień dzisiejszy z królem Jmcią strawić, złożyłby ci

osobiście powinszowanie swoje”. Myślałam, że mi krew wytryśnie z twarzy, takim rumieńcem spłonęłam na te przyjemne słowa; książę zaś, jakby tego nie widząc, odszedł, a mnie zostawił z radością i z myślami mymi… Nie omyliłam się więc w niczym… Nie tylko na balach, ale w domu widywać będę królewica! Nie widział nigdy nic mnie podobnego! Te ostatnie wyrazy nieustannie dotąd słyszę, jakby mi je kto ciągle powtarzał; pochlebne słówka tak mile i dobitnie w ucho wpadają.

Dano wnet znać do stołu, nadzwyczaj byłam wesoła, księżna aż strofowała mnie kilka razy. Zaraz po obiedzie pojechaliśmy znowu na wizyty, aleśmy tylko dwa razy wysiedli, bo wszystkie osoby, którym księstwo powinszowania złożyć chcieli, wyjechały w tymże samym celu; spotykaliśmy się na ulicach, zatrzymywały się karety, często kilka się ich zjechało: oddawano sobie nawzajem bilety: wielki był krzyk, śmiech, wrzawa. Powiększyła się jeszcze uciecha, gdy się ściemniło, bo wtenczas hajduki i laufry pozapalali pochodnie i pięknie było patrzeć na to mnóstwo migających się świateł, wśród tego natłoku powozów, jezdnych, liberii i koni. Było nawet przypadków kilka, ale nam, Bogu dzięki, nic się nie stało. Już o późnej porze wróciliśmy do domu; zmęczona, usnęłam prędko, lecz dziwne marzenia uwijały mi się we śnie… Nazajutrz o samym południu, kiedy już na cały dzień ubrana siedziałam z księżną w dużym bawialnym pokoju, którego okna na ogród wychodzą, i nową w krośnach rozpoczynałam robotę, wpada z pośpiechem pokojowiec i woła: „Jego królewicowska mość książę kurlandzki!” Księżna zerwała się i pobiegła przyjąć go u drzwi przedpokoju; ja w pierwszym poruszaniu schronić się chciałam, ale ciekawość przemogła bojaźń i zostałam. Wszedł; natychmiast przystąpił do krosien, pytał się o moje zdrowie. Lubo zmięszana, odpowiedziałam wyraźnie; a gdy usiadł przy krosnach, zajmując się moją robotą, tylem na sobie przemogła, że pomimo rąk drżenia kilka cieniuchnych igieł dosyć grubym jedwabiem nawlekłam od razu; królewic chwalił moję zręczność, bawił z pół godziny i chociaż najwięcej z księżną rozmawiał, znalazł przecież sposobność umieszczenia wielu grzecznych dla mnie słówek i patrzenia na mnie prawie ciągle; żegnając się oświadczył, iż spodziewa się widzieć nas dziś jeszcze na balu. Dowiedziałam się wtedy, że poseł francuski, margrabia d'Argenson, daje bal i że ja mam być na nim; jakoż byłam.

Niech się schowa wesele Basi; nie co do parady, ale co do grzeczności i zabawy. Jakże to wszyscy w tej Warszawie wysoko edukowani! Co kto usta otworzy, to komplement; najpiękniejsze jednak królewica komplementa; ale nie mógł tyle ze mną rozmawiać jak na balu maskowym, ja mu też nie odpowiadałam tak śmiało: naprzód, już nie byłam Dziewicą Słońca, tylko sobą samą, to zaraz inaczej; a po wtóre, zawsze się tak zdarzało, iż która z dam obecnych stała tuż koło nas, jakby posłuchiwać chciała. To mi się nie podobało; brzydko tak być ciekawą, zwłaszcza osobom wysokiej edukacji. Księżna w bardzo dobrym humorze, królewic z nią tylko jedną z poważnych pań na wczorajszym balu tańcował. Książę jeszcze łaskawszy na mnie jak zwykle, ale i zapytań wszelkich unika, i żadnych mi rad nie daje; coraz z większą niecierpliwością kochanej siostry wyglądam. Cóż bym ja jej też rzeczy powiedzieć miała!… Dopiero dziś tydzień, jakem pensją opuściła, zdaje mi się, że już miesiąc; tyle przez ten czas myśli się przesunęło, tyle uczuć doznało, tak zupełnie inną jestem… tak rzeczywistość przechodzi nawet marzenia…

Dnia 5 stycznia, w niedzielę

Kto by to odgadł? Przez cały dzień wczorajszy królewic, bale, zabawy i wszelkie marzenia zniknęły mi zupełnie z myśli; zajęta byłam siostrą jedynie, lubom jej wcale dotąd nie widziała. Przyjechała wczora z rana, wcześniej, niż przyjechać miała, bo niespodzianie zasłabła; ledwie stanęła w mieszkaniu swoim, cierpienia się jej wzmogły: przybiegli tu dać znać. Księżna natychmiast pojechała do niej na cały dzień; jam koniecznie także jechać chciała, ale mi nie pozwolono; w okropnych niespokojnościach byłam do północy — do trzech kościołów posyłałam na msze, nareszcie o pierwszej wróciła księżna z pomyślną wiadomością, że Basia zdrowa, a co mnie najbardziej zdziwiło: ma córkę. Dziś prawie na klęczkach prosiłam, żeby mnie do niej puszczono, ale odpowiedziano mi, że ją dopiero za parę tygodni zobaczę. Pan starosta był tu na chwilę, uszczęśliwiony, że ojcem został; dziewczynka ma być śliczna, tłusta, rumiana, będzie się zwała Aniela, dla kochanej matki naszej. Żeby mi przynajmniej ją widzieć dano: cóż mi z tego, żem ciotką, kiedy nie znam mojej siostrzenicy. Królewic dziś

rano przysłał tu, winszując wnuczki i dowiadując się o nasze zdrowie. Jak mi przykro, że siostry widzieć nie mogę, wyrazić nie potrafię; takem jej wyglądała niecierpliwie, i na cóż mi się zda jej przyjazd?

Dnia 8 stycznia, we środę

Kochana siostra, jak mówią, zdrowa, ale jeszcze w łóżku leży; królewica raz tylko przez te dni widziałam: wyjeżdżał onegdaj na polowanie z królem, ale za to wczora był znowu niespodzianie z wizytą i więcej niż godzinę bawił. Jaki on też dobry i tkliwy być musi, jak ojca kocha! O śp. królowej ze łzami wspominał; widać równie, że wielką skłonność do Polaków czuje, że mężną ma duszę. Ach! wszystko, com kiedykolwiek o nim słyszała, com tu sama zapisała w tym dzienniku, wszystko to szczerą jest prawdą; owszem, za mało go jeszcze chwalono, bo któż by opisać potrafił wdzięk jego głosu, uśmiechu; szczególny wyraz spojrzenia wskroś przenika; ani się dziwię, że się imperatorowej podobał, że serce Kurlandczyków skłonił, ani się dziwić będę, gdy po śmierci ojca Polacy królem go swoim wykrzykną… I jam mu się podobała! Czasem mi się zdaje, że to być nie może… jednak mi to wczora jeszcze oczy, mowa jego i słowa księcia wojewody stwierdziły.

Księżna mnie nieco zasmuciła, bo jakby niechcący powiedziała u stołu, że królewicowi bardzo wiele białogłów się już podobało i zawsze ta, którą ostatnią pozna, najpiękniejszą mu się wydaje… Ale jaka ja też dziecinna! Czegóż się tym smucić? Czyż na całym święcie mnie jedną tylko ładną Pan Bóg stworzył? W moich oczach wszystkie trzy warszawskie piękności: starościanka Weslówna, krajczyna Potocka, księżna Sapieżyna, daleko ode mnie piękniejsze. I co jeszcze: umieją wszystkie dodać sobie wdzięków, a ja tej sztuki bynajmniej nie znam. Królewic mówi, że w tym mój wdzięk największy, jednak mnie się wydaje, że mój rumieniec gaśnie przy ich licach. Osobliwie na balu posła francuskiego krajczyna była zachwycająca i królewic tańcował z nią dwa razy. Niepodobna, żeby oczu nie miał; a wreszcie czegóż ja to pragnę? Dawniej jedynym życzeniem było widzieć go: potem życzyłam sobie od niego być widzianą i ukłonić mu się; nareszcie zaczęło mi się zachciewać, żeby mnie pochwalił: wszystko to się

stało, a ja nie przestaję na tym i zdaje się, jakbym czegoś więcej oczekiwać śmiała. Dobrze to ktoś powiedział: życzenia człowieka granic nie mają.

Dnia 12 stycznia, w niedzielę

Już też spodziewam się, że teraz powinnam być kontentą: we czwartek na balu u księcia wojewody ruskiego królewic ze mną tylko tańcował; w piątek był znowu z wizytą, wczora przysłał nam przez swego adiutanta inwitacją na nową operę włoską, Semiramidę, którą wystawiono na teatrze dworskim. Tam królewic mną jedynie był zajęty, tam prezentowaną byłam królowi, który bardzo dla mnie był łaskaw; pytał się o obojga Państwa, szczególniej o Jmć Dobrodziejką, a przed godziną przyjechał tu pan starosta z oświadczeniem, iż królewic chce koniecznie trzymać sam do chrztu maleńką Anielkę, i to ze mną. Ze mną, broń Boże z kim innym: taka wyraźna jego wola. Ja z królewicem w jednej parze?… A trzeba wiedzieć, że chrzest będzie paradny, w kościele kolegiaty królewskiej. Miało być więcej par w kumy wezwanych, ale przez uszanowanie dla królewica jemu tylko zostawiony ten zaszczyt; inni będą świadkami i w tym celu zaproszą wiele znakomitych osób: cała Warszawa o tych chrzcinach mówić będzie, zapewne i „Kurier Polski” tak wielką nowinę umieści. Co też tam Madame Strumle i panny z pensji na to powiedzą? co Państwo? co wszyscy w maleszowskim zamku? co Macieńko poczciwy? On gotów utrzymywać, że to skutek wróżb jego.

O! ten Macieńko! jak on mi często ze swymi słówkami na myśli staje; on tych wszystkich niespokojności moich jest przyczyną; bo gdyby nie on, nigdy by mi żadne niedorzeczne myśli nie postały w głowie. Kiedy ja też ledwie parę minut z tych chrzcin nawet uradowaną byłam: księżna powiedziała, nie wiem skąd i dlaczego, że kumostwo do małżeństwa jest przeszkodą, i ja na te słowa zadrżałam… Rzecz niepojęta! Co się to w tej głowie roi! co się w tym sercu dzieje! Ta nieustanna wątpliwość, to nieustanne przechodzenie z radości do jakiejś obawy: nieznośne! Czasem wysokich nadziei, wesołych myśli natłok, i w jednej chwili, jakby kto uciął, smutek i niesmak umysł zajmuje.

Ale co mnie cieszy: obaczę przecież kochaną siostrę choć na chwilę; po chrzcinach pojedziemy do niej, już wstała, zdrowiuteńka, ale jeszcze nie tak prędko wyjeżdżać będzie.

Dnia 15 stycznia, we środę

Wczora odprawiły się zapowiedziane chrzciny; widziałam Basię na moment; jaka też śliczna! Wybielała, zeszczuplała, a zawsze dobra jak anioł i szczęśliwa, jak gdyby królowa jaka. Chociaż królewic prosił bardzo, żeby jej córeczce moje imię dano, Basia oparła się temu, bo komuż, jeśli nie matce, pierwszeństwo się należy; skłonił ją przynajmniej do obietnicy, że gdy drugą córkę mieć będzie, Franciszką ją nazwie: przyrzekła, a tymczasem tę ochrzcił ksiądz Szembek Anielą. Ładna dziewczynka, ale niezmiernie czerwona: podczas całej ceremonii bardzo krzyczała, znać, że się wychowa — daj Boże! bo już ją kocham serdecznie. Nie wiedziałam, jak sobie dać z nią radę, pierwszy raz w życiu dziecko trzymałam, aż mi królewic pomagać musiał, tak mi ręce mdlały. Jaki on też dobry! Jak mi dziwno było stać wraz z nim przed ołtarzem w przytomności tylu osób; w wielkiej księdze obok jego imienia swoje położyć: otóż to zapewne do tej osobliwości ściągały się wróżby Macieńka! Wszyscy mi tego honoru bardzo winszują; królewic od tego czasu nierównie grzeczniejszy, nieco poufalszy: nie nazywa mnie inaczej, tylko piękną kumą swoją, a maleńka to nasza Anielka. I pani starościnie, i mnie śliczne podawał podarunki, kobiecie podającej dziecko, otaczającym ją dworzanom i ubogim sypnął po królewsku, panu staroście obiecał wyrobić u króla kasztelanią radomską. Ja tyle świadczyć nie mogę, choćbym z duszy rada, ale i moje krzyżmo dla Anielki, biała sukieneczka haftowana, niejednę mnie godzinę kosztowała; w tak krótkim czasie trzeba ją było wykończyć. I królewic pochwalił tę robotę. Później i czapeczkę jej zrobię w same robótki. Czasem jak pomyślę o tylu zaszczytach i honorach, zdaje mi się, że to wszystko snem tylko…

Ale zapominam o bardzo ważnej okoliczności: od kilka czasów przedmiotem rozmów wszystkich w Warszawie są łowy, które książę Hieronim Radziwiłł, chorąży wojska litewskiego, gotuje dla ucieszenia króla i królewica. Tysiące, krocie łoży, żeby z czymsiś paradnym wystąpić;

zwierza dzikiego z głębi Litwy niemal o sto mil sprowadza i to polowanie ma już być jutro. Czas piękny, mroźno, sanna wyborna; królewic koniecznie rad by swoję kumę powiózł, i tak się stanie. Cztery piękności warszawskie (bo do trzech dawnych już mnie jako czwartą liczą) w jednych saniach pojadą, a królewic końmi kierować będzie. Wszystkie cztery będziemy miały jednego kroju ubiór, ale każda innego koloru; jam sobie obrała amarantowy, krajczyna niebieski, księżna zielony, starościanka brązowy. Będziemy miały szuby aksamitne, do stanu zrobione, z sobolami i takież same kołpaczki. Szkoda, że Basia tego wszystkiego widzieć nie będzie, ale ona taka ze swojej Anielki szczęśliwa, że już niczego więcej nie żąda; mało z nią byłam, jednak mi mówiła, że od tego czasu, jak jest matką, to jej się wydaje, że jest zupełnie inną osobą, że jakby nowe serce, nowe życie znalazła. Ani słówka powiedzieć jej o sobie nie mogłam.

Dnia 17 stycznia, w piątek

Jak żyję na tym świecie, nic podobnego nie widziałam i już podobno nie zobaczę; jakże te łowy były wspaniałe! Wyjechaliśmy o godzinie dziewiątej z rana; aniby nikt zliczył mnóstwa sań i koni, nasze jednak były najpiękniejsze i zaraz za królewskimi jechały. Królewic w myśliwskim stroju, zielonym, aksamitnym, nadzwyczaj pięknie wyglądał; pojechaliśmy da leko, daleko, za kościół Świętokrzyski: tam między Szulcem i Ujazdowem, zsunąwszy się z góry, na której leży cała Warszawa, jest równe pole zwykle zbożem zasiewane; to pole książę Radziwiłł ogrodzić kazał, i to ogrodzeniem prześlicznym, z herbami i napisami. Wpośród tego pola wystawiono zieloną altanę żelazną, na wszystkie strony otwartą, rogatkami żelaznymi przeciw dzikiemu zwierzowi obronioną; wewnątrz jak na dole, tak w górze zielonym aksamitem była wybita, a dno przednimi krzyżakami wysłane. Tam wszedł król z królewicem; dla przedniejszych panów było miejsce wyniesione koło altany, niedźwiedziami zasłane, a dla dam i reszty panów amfiteatr z obu stron ogrodzony; cały był pełny; przyległe góry zupełnie okryte ciekawym ludem. Tym piękniejszy był widok, iż zostawiwszy plac wolny koło altany, dalej wysadzono drzewami ulic kilkanaście; wysokie sosny wizerunek prawdziwego lasu przedstawiały…

Ledwieśmy przyjechali i zasiedli miejsca swoje, kiedy za danym znakiem z rogów i trąb myśliwskich z miejsc, gdzie zwierza trzymali strzelcy księcia Radziwiłła, puszczono ośmiu łosiów, trzech niedźwiedzi, wilków dwudziestu pięciu i dzików dwudziestu trzech. Psy wyuczone przez knieje napędzały zwierza przed altanę; ani podobieństwo opisać tego ryku; tej psów i dzikiego zwierza zajadłości, krzyku niewiast, tej całej wrzawy; król, strzelając z altany, sam ubił trzech dzików, pod wystrzałami królewica padło kilkanaście zwierza, a niedźwiedzia jednego wziął na oszczep, co jest rzadkiej siły i zręczności dowodem; skórę jego będę miała pod nogi. Przeciągnęła się tą zabawa aż do czwartej po południu; rozdawano mięsiwa, ciasta i różne rozgrzewające napoje. Strzelców i strażników księcia Radziwiłła było 84, w barwę jęgo suto przybranych, ze strzelbą i 2 dzidami, prawdziwie każdy z łatwością mógł poznać, że bogaty i wspaniały książę królowi swemu ucztę i zabawę wyprawia. Bardzo wiele wierszy łacińskich i polskich napisano na to polowanie, te mi się najlepsze zdawały:

Tu, gdzie klęski licznego zwierza i zawody,
Niedawno się pierzchliwe śmiele pasły trzody;
Tu, gdzie gaj zielonymi cień podaje drzewy,
Niedawno się w kształt fali bujne chwiały siewy.
Sławo, któreś Rzymianów widoki wielbiła,
Te nam widzieć przewaga daje Radziwiłła,
Czy spojrzysz na patrzące, na źwierze, na lasy.
Nic wspanialszego dawne nie widziały czasy.
Czym stawne były gmachy i gonity w Rzymie,
Toś zniósł wszystko na ten plac, wielki Hieronimie!

Wilią rocznicy koronacji królewskiej tak suto obchodził książę Radziwiłł, z tej okazji będzie i dziś bal u marszałka Bielińskiego; proszonam na niego.

Dnia 19 stycznia, w niedzielę

Bal był wspaniały. Królewic wesoły, szczęśliwy, bo król go w tym dniu udarował kosztowną gwiazdą orderową z samych brylantów. Wieczerza

była suta, tym szczególniejsza, że jako w piątek, ani kawałka mięsiwa nie dano. Ja bardzo wiele tańcowałam, serdecznie też nogi mnie bolą; żal mi jednak, żem się z tym wymówiła, bo już mam zapowiedziane dziesięć dni siedzenia w domu i odpoczynku. Księżna się boi, żeby mi nie zaszkodziły te nieustanne tańce i niewczasy; jakoż w samej rzeczy zbladły cokolwiek moje rumieńce. Mieliśmy listy z Maleszowej; Jmć Dobrodziejka sama pisać do mnie raczyła, bardzo mi zaleca, ażebym zdrowia ochraniała, a nade wszystko żebym troskliwą była o moją sławę i szczęście, żadnej się nie dopuściła płochości i wiary zupełnej nie dawała pochlebnym słowom, które się o moje uszy obiją. Jmć Dobrodziejka pisze, iż często nie piękność prawdziwa, ale jakieś uprzedzenie sprawia, że pannę za piękną okrzyczą; że bardzo często stąd wypływa jej nieszczęście, bo zawróci jej się głowa, gdzieś wysoko swoje widoki zamierzy i najczęściej osiada na koszu. Mam w Panu Bogu nadzieję, iż ze mną tak nie będzie; choćbym nawet zbyt wysoko moje widoki zwróciła i nie udały się, nikt by tego po mnie nie poznał. Jednak do łez mnie rozrzewnił list Jmć Dobrodziejki, noszę go zawsze w kieszeni i często odczytuję; dobrze to Pan Bóg zrobił, że słowa matki albo ojca tak prosto do serca trafiają: szczęśliwa młoda panna, która rodzicielskiego nie opuszcza domu; pomimo wszystkich sukcesów moich bardzo często maleszowskiego zamku żałuję.

Dnia 29 stycznia, we środę

Skończyło się przecież dziesięć dni rekolekcji moich; przez ten czas cztery były bale; jeden z nich maskowy, gdzie w kadrylu szkockim ja z trzema pięknościami figurować miałam; zastąpiła mnie wojewodzina Małachowska, a ja przez te dnie nogą nie ruszyłam, bo pomimo próśb usilnych królewica i Bóg wie nie czyich księżna przebłagać się nie dała: jak raz co powie, nie zwykła odmieniać zdania. Żal mi było trochę tych balów, szczególniej maskowego; ale nikt tego po mnie się nie domyślił, bo to wstyd, słuszną panną będąc, dziecinne okazywać żale, wreszcie królewic tak często bywał i tę moję stałość i męstwo tak wysoko cenił, iż nie mogłam być smutną. Od czasu chrzcin znika co dzień bardziej ten wielki przedział, który syna króla, księcia udzielnego, przyszłego może następcę tronu, od

starościanki Krasińskiej dzielił; coraz mniej między nami etykiety; królewic chce być za równego miany: jaka to niepojęta dobroć! Nad wyraz też mile godziny w jego towarzystwie schodzą; mówi nam o Petersburgu, o Wiedniu, gdzie także czas jakiś gościł; opisuje poczciwych Kurlandczyków; a zawsze, choćby dwadzieścia było osób, umie wsunąć słówko jakie pochlebne, którego znaczenia podobno nikt nie zgadnie, tylko ja jedna. Jak on zna dobrze, co się w nieszczęsnej Rzeczypospolitej dzieje; jedynie przez uszanowanie dla ojca nie śmie mówić wyraźnie.

O Boże! wielki Boże! żeby on też został królem! Księżna powiada, że stąd pochodzą wszystkie jego nadzwyczajne grzeczności, iż sobie zawczasu partię chce robić, i że gdyby kiedy był królem, może by na nas i nie spojrzał: o! co temu, wcale nie wierzę, już się te oczy nadto wprawiły patrzeć na mnie. Prawdziwie, że czasem, jak wzrok swój we mnie wlepi, to nie wiem, gdzie się podzieć… Zwłaszcza że księżna podobno to zważa i brwi marszczy… Już to ja dobrze widzę, iż ona mu nie sprzyja; wszystko mi się zdaje, że ona Lubomirskiego chciałaby widzieć królem. Wątpię, żeby się spełniły jej życzenia.

Dziś jest wieczorna zabawa u panien kanoniczek, tam będę; bardzo dom przyjemny i uczęszczany: ksieni, panna Komorowska, prawdziwie godna i szanowna białogłowa. Właśnie wczora przy stole mówiono wiele o kanoniczkach. Z Zahorowskich ordynatowa Zamoyska, bardzo dobroczynna i światła dama, ufundowała to zgromadzenie i przepisała mu prawa na podobieństwo takiejże dam świeckich kapituły w mieście Remiremont w Lotaryngii będącej. Mówią, że jej powodem do tej fundacji była litość nad młodą panną, która ze wstrętem, z rozpaczą prawie szła za mąż jedynie dlatego, iż sierotą zostawszy, nie czując w sobie żadnego do życia klasztornego powołania, a dla wysokiego rodu iść w służbę nie mogąc, nie miała gdzie się umieścić. Chcąc dla podobnie opuszczonych i równie zacnie urodzonych dam z narodu polskiego przytułek otworzyć, gdzie by z chwałą Boga, z honorem swoim i domów swoich chrześcijańskie życie prowadzić mogły, nie obowiązując się do klauzury zakonnej ani do przystojnego małżeństwa drogi sobie nie zawierając, ordynatowa Zamoyska ten zakład uczyniła. Kupiła Marywil, wielką budowlę, na ulicy Senatorskiej będącą, założoną przez Marią Kazimirę Sobieską; kaplicę, którą na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem stawiać zaczęto, dokończyła, część pałacu przerobiwszy na mieszkania dla kanoniczek, dochód z wynajęcia

reszty im oddała. Składa się to zgromadzenie z dwunastu dam; jedna ksieni, jedenaście kanoniczek. Ażeby panna była tam przyjętą, powinna mieć lat piętnaście, być nie tylko z urodzenia szlacheckiego, ale dowieść trzy pokolenia z ojców i z matek. Jest jeszcze w tym zgromadzeniu 8 panien, które chór niższy składają, i te powinny być szlachcianki; one czynią posługi domowe i doglądają służebnych. Dziadek nawet kościelny powinien być szlachcicem ubogim. Już prawdziwie szlachecki zakład… Dziwi mnie, żem tak dobrze szczegóły o nim spamiętała. Od jakiegoś czasu trudno mi o uwagę, to te zapusty temu przyczyną.

Dnia 19 lutego, w wstępną środę

A, Boguż dzięki! już po zapustach! Widzę, że i zabawy naprzykrzyć się mogą; nie wiem, czy bym zrachować potrafiła, na wielu byłam balach przez te trzy tygodnie; a tak mnie zmęczyło, że już nic robić mi się nie chciało, a raczej na nic czasu znaleźć nie mogłam, bo mnie zajmowały stroje, wizyty, asamble i inne gale. Życie takie zrazu przyjemnym się zdaje, są momenta niewypowiedzianego szczęścia, ale jakiś niesmak wewnętrzny zostawia; nie pamiętam, żebym kiedy tyle chwil smutnych, tyle godzin tęsknych spędziła, a tymczasem tyle osób mnie ma za najszczęśliwszą, tyle mi zazdrości. Podobno to Basia tego mi narobiła, już od dwóch tygodni bywam u niej dosyć często, ona się lęka o mnie; sama taka szczęśliwa, tak zawsze swobodna, mąż, dziecię i dom to cały świat dla niej. Rada by koniecznie, żeby mój los podobnym był do jej losu; a to bodaj już rzecz niepodobna; jej mowy jakąś trwogą mnie napełniły, i ja coś przemyśliwać zaczynam… Jak też krajczyna Potocka piękną była na wczorajszym balu maskowym… Ubrana za sułtankę, zdawało się, że panuje nad innymi białogłowami. Wszyscy byli w zachwyceniu. Jak wiele tańcowała! Ja prócz jednego poloneza nie tańcowałam wcale: noga mnie nagle zabolała; wielu mnie prosiło, i królewic zapraszał nareszcie, alem już nie chciała. A! Boguż dzięki, już po zapustach.

Dnia 29 lutego, w sobotę

Choć słów kilka naprędce: niespodzianie jadę na parę tygodni do Sulgostowa: wczora jeszcze o tym wzmianki nie było, chociaż państwo starostwo już tu byli z pożegnaniem; ale dziś rano przyszedł do mego pokoju książę wojewoda i powiedział, że niezmiernie o tę łaskę siostra i szwagier proszą, że tam może i Państwo przyjadą, a zatem zobaczę się z nimi. Nawykła powodować się wolą księcia, który wiem, iż tylko dobra mojego pragnie, usłuchałam i jadę. Księżna także wyjazd mój pochwala; korci mnie strasznie, że królewic o niczym nie wie, a nie śmiałam zalecić nikomu, ażeby nieznacznie o tym wspomniał… Księżna by to najlepiej potrafiła, ale cóż, kiedy tak jej się boję! Może on też nie bardzo moim odjazdem się zmartwi, może i uważać go nie będzie… tyle pięknych białychgłów w Warszawie… Krajczyna nigdzie nie jedzie… Wreszcie, choćby się trochę zmartwił, niech też i on pozna… Ale już na mnie wołają, trzeba się pakować…

Dnia 15 marca, w niedzielę

Od dwóch dni jestem na powrót w Warszawie; nie wiem, jakim cudem dziennik mój, który zdaje mi się, żem włożyła do sepecika, został tu w kantorku, i w Sulgostowie nic pisać nie mogłam. Blisko trzy tygodnie tam bawiłam, zdało mi się, że dłużej; Państwa nie widziałam, dopiero za cztery dni zjadą do starostwa, a książę wojewoda sam po mnie przyjechał, i pół dnia czekać nie chciał, rozstawionymi końmi w dniu jednym przelecieliśmy tutaj. Królewic był zaraz nazajutrz, uważałam, że zmieniony, ale jeszcze piękniejszy, bo jakiś osłabiony, blady; dał mi do zrozumienia, iż wyjazd mój nagły bez pożegnania tak go zmartwił; powiedział mi z goryczą, iż więcej względów mieć należy dla kuma, dla przyjaciela… Przyjaciela? Królewic przyjacielem moim! O! teraz żal mi, żem odjeżdżała… chociażem tego nieraz już i w Sulgostowie serdecznie żałowała… Książę wojewoda mówi jednak, że bardzo dobrze się stało; przyznaję się, że często go nie rozumiem, ale słucham ślepo, bom sobie wystawiła od dawna, iż on w

układzie losu mojego wielką grać będzie rolę. Księżna łaskawie mnie przyjęła. W Sulgostowie najwięcej mi czasu zeszło na zabawie z Anielką i takem się zrobiła dziwna, że z nią było mi najmilej; nieraz po godzinie miałam ją to w kołysce, to na ręku, a często ledwiem nie udusiła z pieszczot. Z Basią prawie nic osobie mówić nie mogłam, czekałam, żeby ona wyciągnęła mnie na słówko, a ona, przeciwnie, chociem zaczęła, ucinała. Raz zdaje mi się, że umyślnie pan starosta i ona powiedzieli, że kiedy nie wypada uczucia jakiego podsycać, to najlepiej o nim nie mówić — zapomnieli o myślach… Schodziły mi także godziny na robocie; już dawno, jak obiecałam na pewną intencję wyhaftować poduszkę do Pana Jezusa do fary; u Basi — bo tak się zwać pozwala — znalazłam wszystko, co mi było do tego potrzeba, i tak pracowałam pilnie, żem skończyła. To były miłe momenta, zdawało mi się, że każdy ścieg przyśpiesza spełnienie tajemnych życzeń, których tu i wypisać nie śmiem. W Sulgostowie obchodzono suto rocznicę wesela Basi, dużo się gości zjechało. Co to odmian w tym roku! Najwięcej ich w sobie samej spostrzegłam; i co dziwnego? Rok temu nierównie byłam weselsza, a przecież nie chciałabym może być taką jak wtenczas, nie chciałabym do tej nic nieznaczącej swobody powracać. Jednak wtedy daleko byłam szczęśliwszą; bo byłam nią ciągle i zawsze, a teraz tak krótkie szczęścia, tak długie niespokojności, obawy i niesmaku chwile.

Dnia 19 marca, we czwartek

Królewic wczora tyle był wesół i przyjemny jak w początkach poznania się naszego, a ja od dawna równie miłego dnia nie pamiętam. Był naprzód z rana, ale tylko na godzinę, bo z królem wybierał się na polowanie do Puszczy Kampinoskiej, w wieczór zaś, gdyśmy się go ani spodziewali, przybiegł, ja myślę, że piechotą, bo sam, bez żadnego hałasu. Polowanie bardzo się udało i przedziwne było zdarzenie. Kampinoska Puszcza graniczy z lasami jakiegoś Zaborowa, dziedzic jego, Izbiński, ma być szlachcic wcale do rzeczy; ten, mając już kilka razy króla na gruncie swoim i zawsze częstując go suto w altanie umyślnie na to wystawionej przy drodze, przymawiał się już kilka razy o jakąś nagrodę: król mu starostwo

obiecał; ale pod warunkiem, żeby niedźwiedzia zabił w jego lesie; już kilku ubito, a król obietnicy zapomniał; nareszcie dziś w oczach króla szlachcic zabił sam ogromnego niedźwiedzia; nie tracąc i chwili, przyciągnął zwierza pod jego nogi i powiedział: „Najjaśniejszy Panie! Ursus est, privilegium non est. Niedźwiedź jest, a przywileju nie ma”. Król się rozśmiał serdecznie i święcie starostwo przyrzekł. Przeszło dwie godzin bawił królewic; teraz nieco jest wolniejszy, może niekiedy wymknąć się z pokojów królewskich, bo dwaj jego bracia, Albrycht i Klemens, są teraz w Warszawie. Królewic Klemens dziwnie ma być dobry i nabożny; do stanu duchownego ma powołanie i zapewne księdzem będzie. Słuszna rzecz ze strony króla, iż kilku mając synów, jednego na służbę boską poświęci. Jak dobrze jednak, że ta kolej na królewica Karola nie padła; jakiś mnie dreszcz przeszedł, ale bo też dziś jeszcze był mróz, chociaż prześliczny.

Dnia 24 marca, we wtorek

Lubo to w post, niepojęcie wesoło dnie od mego powrotu ze wsi schodzą, czasem aż odurzona jestem… Królewic, jak tylko może, wyrywa się z królewskiego pałacu i do nas przy biega; mówi zawsze, iż mu cięży bardzo ta dworska etykieta. Ale od dnia jutrzejszego, niestety! wszystko się skończy. Księżna ma parę pokoików ciągle dla siebie gotowych u pp. sakramentek i tam co rok przed Wielkanocą na osiem dni się zamyka dla przygotowania się dostatecznego do spowiedzi; wszystkie pobożniejsze panie tak robią i ja naturalnie, że księżnie towarzyszyć muszę. Przez osiem dni nie będziemy widziały nikogo, tylko księży, będziemy czytać książki nabożne, robić sprzęty do kościoła albo co dla ubogich… Nie mogę dosięgnąć myślą końca tego tygodnia.

Dnia 2 kwietnia, w Wielki Czwartek

Już nasze rekolekcje odbyte, spowiedź wielkanocna odprawiona i nie pamiętam dawno, ażebym tak spokojną, tak swobodnej myśli była. Wielkie

to i nieocenione dobro w zgodzie być z sobą i z Bogiem! O, jak miłe, jak słodkie, jak poważne obrzędy wiary naszej, jakie szczęście wychowanym być w ich pełnieniu! Wybornego miałam spowiednika, księdza Bodue; on jest w modzie, bo Francuz, ale i bez mody zawsze byłby przewodnikiem duchownym z mego wyboru, gdyż prawdziwie święty człowiek; a w takim z łatwością uznać namiestnika Boga, takiego rad skwapliwie się słucha! Niemało godzin mi zeszło na osobnych z nim rozmowach. Jak też trafić umiał do serca mojego, jaką skruchą go przejął, jak wchodził w moje położenie, jak zbijał próżność, miłość własną! Jak mnie przeświadczyć potrafił o marnościach rzeczy ludzkich, o niebezpieczeństwach świata, o słodyczy życia poświęconego Bogu!… Doprawdy, raz miałam ochotę szarą siostrą w jego szpitalu zostać. Już nad tym nie żartem dumałam, przechadzając się żywym krokiem po izdebce mojej; czemuż w ten moment weszła pokojowa i o strzelcu królewica coś mówić zaczęła: rozerwała świątobliwe myśli moje i jużem ich potem uchwycić nie mogła. Jednak sam ksiądz Bodue mi mówił, że żyjąc w świecie, na tronie nawet, zbawionym być można, byle w niczym cnocie nie uchybić; powinności stanu swego dopełnić, o biednych pamiętać; mówił i to, że taka świętość jeszcze więcej ma zasługi, bo trudniejsza; dlaczegóż nie mam się odważyć na trudniejszy zawód, kiedy czuję w sobie dostateczne siły; już ja nic podłego nie zrobię; jeśli grzeszę, to nie tym, że nisko, ale prędzej tym, że wysoko patrzę. Ksiądz Bodue i tego wcale nie gani; on powiada, że nie szkodzi dążyć do wysokiego szczytu, byle iść do niego drogą cnoty, byle nad nim widzieć zawsze Boga, sposób pomocy bliźnim i być gotową bez szemrania wrócić na dół, gdyby taka była wola Jego. W takim ja też zupełnie stanie zostaję i doprawdy tak jestem dziś lekka, swobodna, tak mi oddychać łatwo, żem kontenta, że były te rekolekcje, lubośmy nikogo a nikogo przez ten czas nie widziały; dziś za to wszystkich zobaczę. Będziemy w zamku na zwykłych wielkoczwartkowych ceremoniach: bardzom ich ciekawa.

Dnia 10 kwietnia, w piątek

I Wielki Tydzień, i wielkanocne święta minęły. Nie mogę mówić, żeby te dnie były bez przyjemności; owszem, miałam wiele chwil szczęśliwych, ale

co ta spokojność umysłu i serca, już gdzieś uleciała… już się też i nagrzeszyło niemało: ten biedny człowiek taki słaby i ułomny! Pomimo najstalszych przedsięwzięć i zamiarów za najmniejszą okazją do dawnego się zwraca. Na przykład, czy to rzecz słychana, w Wielki Czwartek, nazajutrz po spowiedzi i komunii, dałam się unieść próżności; doprawdy, że czasem gniewa mnie ta uroda. Gdym tego dnia ubierać się miała w żałobę, jak zwykle w tej porze, weszła do mego pokoju księżna, za nią jej panny służebne i przyniosły mi ubiór przepyszny, zupełnie biały: suknia atłasowa z wielkim ogonem, wieniec z róż białych na głowę, takiż bukiet do boku i długi blondynowy welum. Zdziwienie moje księżna zaspokoiła mówiąc, że jest taki zwyczaj u dworu, iż w Wielki Czwartek, po skończonym w kaplicy pałacowej nabożeństwie, król i wszyscy schodzą się do wielkiej sali, w której już zastają przy nakrytym stole dwunastu starców; król umywa im nogi naśladując pokorę Zbawiciela naszego, usługuje, gdy jedzą, a podczas tej ceremonii jedna z znakomitych pierwszego towarzystwa panien, biało i pięknie ubrana, chodzi do przytomnych panów z tacą i prosi o dar jaki dla ubogich. Król sam zawsze tę pannę wymienia i na ten raz mnie kwestarką mianować raczył; zebrane zaś pieniądze zawczasu księdzu Bodue na szpital jego, już na dokończeniu będący, przeznaczył. Ucieszyłam się niezmiernie tą powieścią; ale cóż? wcale nie w tej myśli, że przyłożę się do tak miłosiernego uczynku, lecz że się nie pokażę światu w żałobie, w której mi nie do twarzy, że w gronie tylu dam ja jedna pięknie i biało ubrana będę, a zatem najpiękniejsza. Nie byłaż to niesłychana próżność, zwłaszcza w dzień taki?… Lżej mi na sercu, żem ten błąd tu wypisała.

Kwesta udała się jak najpomyślniej, do czterech tysięcy dukatów zebrałam; sam książę Karol Radziwiłł, mówiąc do mnie: „Panie kochanku! trzebać co dać tak pięknej damie!” — sypnął od razu pięćset sztuk złota, aż się taca ugięła. Z początku byłam nieśmiała, nogi mi drżały przy niskim ukłonie, który przed każdym uczynić wypadało; ale potem ośmieliłam się i dopieroż w ten dzień przydały mi się prawdziwie metra od tańca nauki. Marszałek dworu oprowadzał mnie, wymieniał każdego z panów i prosił za mnie; bo już co mówić, to bym nie była potrafiła; a kiedy taca zdawała się zbyt ciężką, wypróżniał ją w osobny worek. Nasłuchałam się komplementów co niemiara; królewic mi powiedział, że szczęście wielkie, żem pieniądze, nie serca zbierała, bo każdy byłby musiał oddać mi swoje; ja mu na to: „Nie prosiłabym nigdy o rzecz takową, bo któż by dbał o

uproszone serce?” Podobała mu się ta moja otwartość; dziwię się jednak, jak mógł sądzić, że bym ja inaczej myśleć mogła? Niewieście prosić kogo o serce, choćby króla samego, miałabym za podłość! Przyjąć, kiedy się dobrowolnie odda i kiedy się przyjąć godzi, to co innego… Ale gdzie się myśli moje zapędzają, wcale o czym innym pisać wypada.

Ceremonia umywania nóg dziwnie mi się podobała; ten król schylony u nóg ubogich starców, stojący potem za ich stołkami, jeszcze mi dotąd tkwi w pamięci; a do tego nasz August III, choć już niemłody, bardzo piękny, poważny i wszystko mu przystoi. Królewic Karol zupełnie się wdał w ojca. W Wielki Piątek obchodziłyśmy groby, w grubej żałobie; w siedmiu kościołach byłyśmy, w każdym odmawiając po pięć pacierzy; u fary klęczałam godzinę całą przy grobie Pańskim. Rezurekcja była paradna w Wielką Sobotę w wieczór, muzyka dworska prześliczna. Święcone u nas było okazałe i do wczorajszego dnia ciągle zastawiano stoły ciastami i mięsiwem.

Kto by mi też był powiedział rok temu, kiedy właśnie jako trzeci dzień mojego na pensją przybycia smutnie u Madame Strumle nad skromnym święconym dumałam, że ja w ten poniedziałek świąteczny z królewicem dzielić się będę; a był u nas dnia tego: jedliśmy z jednego talerza. Jak mi też smakuje mięso po tych czterdziestu dniach postu; w Wielki Tydzień tak tu, jak w Maleszowej z olejem jedliśmy, a w Wielki Piątek wcale z suchotami. I królewic pościł; zdaje mi się też, że dużo zmizerniał. Właśnie wczora z niespokojnością wpatrywałam się w niego, myślałam, że tego nie zważał, bo rozmawiał z księciem, a on mi potem za tę niespokojność dziękował. Ażem się zawstydziła; jak też to młodej pannie baczną być trzeba: nie dosyć jej w słowach być ostrożną, jeszcze i oczu pilnować musi. Proszę, na co się przydać mogą w takim razie guwernantki? Dobrze księżna mówi, że która panna siebie nie strzeże, tej i dziesięć guwernantek upilnować nie potrafi.

Dnia 15 kwietnia, we środę

Szkoda, jutro wyjeżdżamy z Warszawy, księstwo jadą do dóbr swoich do Opola i ja z nimi; był list od Jmć Dobrodzieja do księżnej, w którym

zezwala na to, abym bawiła przy niej, póki się jej nie naprzykrzę i sama mnie nie wypędzi; spodziewam się, że to nie nastąpi, bo staram się jej przypodobać, jak tylko mogę i umiem. Księżna wzbudza we mnie szczególne jakieś uszanowanie i bojaźń; wolałabym nie wiem co zrobić, jak ją obrazić, a kiedy na mnie łaskawie spojrzy i widzę, że ze mnie kontenta, jakby mi się niebo otwierało. Jeśli kiedy sędziwych lat doczekam, chciałabym mieć tę wspaniałość; sam królewic się jej boi.

Nie wiem, jak to wytłumaczyć, alem kontenta z tego, że nie do Maleszowej jadę. Nabiła mi się głowa tą myślą, żem tam wracać nie powinna taką samą, jak wyjechałam; a gdybym teraz wróciła, żadnej by odmiany nie było. Żadnej? Ach! Jest, i wielka!… Ale cóż z niej?… Nie sposób jednak, żeby rzeczy w tym stanie długo zostały; musi koniecznie nastąpić jakaś stanowcza zmiana! pomyślna mnie już nie zdziwi, przeciwną znieść potrafię, bom szlachetnie urodzona, bom chrześcijanka. Ale jakie ja tu kreślę zagadki; gdyby też komu dostał się ten dziennik w rękę, myślałby, żem niespełna rozumu; a ja właśnie dla tej obawy tak niewyraźnie piszę: ja, kiedy myślę o nim, to się boję, żeby kto myśli mojej nie usłyszał, a pisać bym zaś śmiała? I to już zanadto, lepiej przestać i pod cztery zamki ten papier schować! Chwilka dłużej, a wydałaby się tajemnica.

Dnia 24 kwietnia, w piątek, w Opolu

Blisko od tygodnia tu jesteśmy, miejsce dosyć przyjemne, mnie jednak nie bardzo wesoło, ale bo mi się też nic nie darzy. Drzewa powinny by się już zielenić, a jeszcze zupełnie czarne, powinno by być ciepło, a zimno; chciałam zacząć haftować, brak mi najpotrzebniejszych jedwabiów; chciałam grać, klawicymbał odstrojony, dopiero do Lublina poślą po organistę. Jest tu biblioteka dosyć znaczna, ale klucz od niej u samej księżnej i boję się prosić o niego. Książę ma różne nowe książki francuskie, dzieła Woltera, najsławniejszego autora we Francji: za kilkanaście tomików w moich oczach dał sześć dukatów w złocie; księżna czytać mi ich nie pozwala. Co gorsza, przyszedł świeżo z Paryża romans, za którym wszyscy przepadają: Nowa Heloiza, przez jakiegoś Russa napisana; jużem go miała czytać, ale cóż, sam autor umieścił w przedmowie tc słowa: „żadna matka

nie da tej książki córce swojej”, i księżna zakazała mi ją surowo. Do tych wszystkich przeciwności cóż jeszcze zdarzyło mi się wczora? Księżnie doktorowie warszawscy kazali, gdy będzie na wsi, konno jeździć dla zdrowia; ona śmiała się z nich, mówiąc, że tego nigdy nie uczyni — oni jednak obstawali przy swoim i książę kupił dla niej śliczną powolną klaczkę z wygodnym siodłem. Przyprowadzili ją tu, księżna jednak jeździć nie chciała, ledwie ją namówili, żeby przejeżdżała na ośle po ogrodzie, co od kilku dni codziennie czyni; ale mnie, która się koni nie boję, przyszła niezmierna ochota jeżdżenia konno; odezwałam się z nią wczora: księżna mnie strofowała, zowiąc tę zabawę bardzo nieprzyzwoitą dla panny, i pożegnać się z tym projektem musiałam; a jak też zawrócił mi głowę, jak już w myśli dokazywałam na tym koniu, jeździłam na polowanie, i z kim jeszcze?…

Bardzo tu dworno i wiele osób się zjeżdża, jako do wojewody; nie wiem, dlaczego mnie to wszystko nie bawi; widziałam i Michała Chronowskiego, owego niegdyś pokojowca naszego; zupełnie się odmienił: książę, za rekomendacją Jmć Dobrodzieja, oddał go do palestry lubelskiej i on tam dobrze się ma kierować, ale wychudł, nachylił się, jakichciś rumieńców osobliwych dostał i kilka krys ma na twarzy. Ani razu od ślubu Basi nie tańcował: już teraz nie mazury, nie krakowiaki, ale eksdywizje, kondemnaty, kaduki ma w głowie: strasznie się nudny zrobił, bo nic nie można zrozumieć, co mówi. Kto bywa w Opolu bardzo przyjemny i zabawny, to książę Marcin Lubomirski, brat stryjeczny księcia, ale znacznie młodszy; znałam go już w Warszawie: księżna zawsze coś w nim do nagany znajdzie, mnie zaś on się niesłychanie podoba; ma tu niedaleko hrabstwo janowieckie i bardzo nas do siebie zaprasza: może pojedziemy. Z nim rozmawiać miło, bardzo lubi zabawy, niezmiernie wesoły; wielki przyjaciel królewica; jak go też chwali, to aż serce rośnie! Bardzo mi się podoba książę Marcin.

Dnia 1 maja, w piątek, w Janowcu

Od dwóch dni bawiemy w Janowcu i książę Marcin zawczasu oświadcza, że nas nie tak prędko puści. Piękniej tu nierównie jak w Opolu, a równie

dworno. Nie wiem, czy jest w świecie kto hojniejszy, weselszy i gościnniejszy od księcia Marcina. Pieniędzmi tak sypie i sieje, mówi księżna, jak gdyby się spodziewał, że mu wyrosną i że je zbierze. Co on też teraz robi? Przez śliczny las, który ma niedaleko zamku, każe wycinać wielką perspektywę; z gabinetu, gdzie mieszkam i piszę, widzę właśnie w tej chwili, jak padają wspaniałe drzewa pod siekierami przynajmniej stu robotników; na jej końcu stawiają pałacyk, ale z takim pośpiechem, że się zdaje, że w oczach rośnie; z Warszawy i Bóg wie nie skąd nasprowadzał majstrów, przepłaca ich; ale założył się z księciem wojewodą, że w przeciągu czterech tygodni pałacyk stanie, i ja pewna jestem, że wygra. Cały ten las ma kazać ogrodzić i zwierzyniec w nim założy; okolica obfituje w dzikiego zwierza, ale on rozesłał ludzi swoich w dalekie strony, żeby mu i łosiów, i niedźwiedzi sprowadzono. Wszystko mi się zdaje, że w stawianiu tego pałacyku i w zakładaniu tego zwierzyńca jest jakaś tajemnica, i raczej ją przeczuwam, niżeli zgaduję.

Daleko mi weselej w Janowcu: prześliczne miejsce, zamek wspaniały na górze nad Wisłą, starożytny, bo jeszcze po Firlejach; widok stąd na Kaźmierz, na Puławy ks. Czartoryskich bardzo przyjemny; sal i pokojów bez końca, malowania i sprzęty przepyszne. Ale podobno w całym zamku mój pokoik najmilszy, jest w wysokiej wieży; zdaje mi się, żem jakąś romansową heroiną, od czasu, jak w nim mieszkam; są w nim okna na trzy strony, z każdego czarujący widok: w jednym najczęściej siedzę, bo mnie nad wszelki wyraz ta perspektywa i ten wzrastający pałacyk zajmuje. Na ścianach jest Olimp. „Wenery mu dotąd brakowało, teraz ją posiada” — powiedział grzecznie książę Marcin, gdy mnie tu wprowadzał. Dziwnie mi było w tym oknie, w tym gabinecie; zdaje mi się, jakby w Janowcu coś dobrego przytrafić mi się miało.

Dnia 3 maja, w niedzielę

Nie wiem, czym kiedy w życiu tak rano wstała, dopiero trzecia bije na zamkowym zegarze, a ja już siedzę i piszę. Jeszcze nie było zupełnie widno, kiedym się snuła po długich tego zamku korytarzach jak widmo jakie. Bo trzeba wiedzieć, że jest tu sala prześliczna i wielce szacowna.

Książę Marcin, idąc za miłym i nauczającym przodków naszych obyczajem, którzy przechowywali starannie portrety znaczniejszych z familii osób i pamięć znakomitych ich czynów, umyślił wszystkie podobne zabytki Lubomirskich rodu w jednej zgromadzić sali. Sprowadził sobie z Włoch biegłego malarza, wezwał pomocy człowieka uczonego, który nie tylko był wyćwiczony w dziejach rodu Lubomirskich, ale i w historii narodu naszego, i po długich naradach ten zamiar wykonanym został, sześć lat temu, 1756 roku, jak świadczy napis nad drzwiami. Szkoda tylko, jak mówi księżna, że nie olejno na płótnie, ale al fresco na ścianach, te wszystkie portrety i obrazy; już ich przenieść nie można i przechować trudniej. Ale nie myśląc o przyszłości, teraz ta sala prześliczna; wczora po obiedzie książę Marcin wraz z księżną i z księciem wojewodą tłumaczył i opowiadał mi wszystko, a jam sobie zaraz ułożyła, że to wszystko zapisać muszę. Wstałam więc przed słońcem, przyszłam na palcach do tej sali i kiedy wszyscy śpią jeszcze, nakreślę w tym dzienniku, com słyszała i co widzę. Naprzód na wszystkich rogach jest herb Lubomirskich, Srzeniawa bez krzyża, herb prawdziwie polski, nadany im podobno za zwycięstwo, które ich naddziad odniósł nad brzegiem Srzeniawy, rzeki wpadającej do Wisły o osiem mil od Krakowa. Najpierwszy obraz (bo książę Marcin samej już tylko chciał prawdy) wystawia trzech braci Lubomirskich, młodych i dorodnych mężów, którzy w przytomności licznych świadków, w obliczu Sieciecha, wojewody krakowskiego, siedzącego na ławicy sądowej, dzielą się dziedzictwem po ojcu; i ten dział urzędownie uczyniony dwóch pisarzów wojewody na pergaminie kreśli. To ich pismo od roku 1088, od panowania Władysława I, syna Kazimierza Mnicha, przechowało się dotąd; i ponieważ jest najdawniejszym pismem urzędowym znanym w naszym kraju, którego powaga niezaprzeczona, książęta Lubomirscy bardzo się nim szczycą i mnie książę Marcin tłumaczenie jego z łaciny dał do przepisania. W tych jest słowach:

My, Sieciech, wojewoda krakowski, wódz wojska, wiadomo czyniemy i oświadczamy, komu o tym wiedzieć należy, wszem wobec i na przyszłe czasy uznawać to potrzebującym, że kiedyśmy na ławicy sądowej zasiedali, przed nasze i zasiadających z nami oblicze przybyli znakomici rycerze herbu Srzeniawa: Joachim, Jacek i Przecław, Adriana, z Lubomira pana, chorążego krakowskiego, synowie, zdrowi na ciele i na umyśle; i za poradą

życzliwą swych przyjaciół uznali, jako oni dobra niżej wymienione, prawem boskim i przyrodzonym ze spadku ojcowskiego na siebie przypadające, między siebie takim sposobem podzielili, to jest: Joachim wziął miasto Lubomir z przyległościami i dom w Krakowie, to którym ojciec ich zwykł przemieszkiwać. Pan Jacek zaś Lipie z przyległościami i 93 grzywien pieniędzy, które Mikołaj z Morawicy ojcu ich winien; pan Przecław Wieruszyce, podobnież z przyległościami; i będą odtąd w następne czasy każdemu z nich tak wydzielone ich dziedzictwa i w nich każdy panem i dziedzicem wraz z potomstwem swoim pozostanie, posiadać je będzie spokojnie, jak są oznaczone granicami swoimi; ani z nich który może mieć prawa jakie do majątku drugiego, lecz na swej części pozostawać ma on i następcy jego. Do czego w naszej obecności ciż Joachim, Jacek i Przecław obowiązali się nawzajem.

Dan w Krakowie dniem przed Oczyszczeniem N. Marii Panny roku Pańskiego 1088. W przytomności tych świadków: Jana z Wielopola, stolnika krakowskiego, Spytka z Zakliczyna, Szymona z Gajów, Andrzeja z Żydowa, dziedziców: Eustachiego i Rudolfa, pisarzów naszych.

Po obrazie tego działu następuje cały rząd portretów mężów z rodu Lubomirskich: jedni byli sławni w boju, drudzy znakomici w radzie, przymioty Srzeniawczykom właściwe; dlatego też ich pominę. Ale któż jest ta białogłowa, którą pierwszą wystawioną w obrazie tu widzę? To Zofia, zakonnica norbertanka; w szesnastym wieku żyjąca, wielką świątobliwością słynęła; leży już bez duszy na śmiertelnym łożu, a twarz jej nadobną jakaś jasność otacza: chorzy dotykają się jej ciała i są uzdrowieni. Obok niej portret wielkości naturalnej jej brata, Mikołaja, kanonika; trzyma w ręku księgę otwartą, której tytuł: „Hymeneus na weselu księżnej Ostrogskiej 1598 r.”. Miał być uczony i wiersze pisał gładko. Piękny jest obraz pod nim będący: przed ołtarzem Matki Boskiej klęczy małżeństwo; już 13 lat żyje Joachim z żoną swoją, Zofią Staszkówną, a jeszcze potomstwa nie mają; modlą się więc razem. Święta Dziewica uśmiecha się do nich i są wysłuchani: w kilka czasów rodzi im się syn Aleksander.

Widzę tu na drugiej ścianie wizerunek jego w ubiorze rotmistrza pancernej chorągwi. Ale Sebastiana, który kupiwszy Wiśnicz, tytuł hrabiego na Wiśniczu dla siebie i dla potomstwa otrzymał, aż w dwóch widzę

obrazach: raz otaczają go księża, sieroty, ubodzy, studenci, a on im wszystkim stosowne dary sypie; drugi raz, w późnej starości, pięćset ludzi, własnym kosztem uzbrojonych, co więcej, dwóch synów swoich wysyła pod chorągwie Zygmunta III. Jednego z tych synów, Joachima, młodzieńca dwudziestoletniego, spostrzegam nieco dalej; ale jakże zmieniony! Ledwie siedzi o swej mocy na obozowym łożu pod uchylonym namiotem; gorączka śmiertelna go trawi, już prawie kona! Bratu, schylonemu nad nim, szablą, którą z pracą unosi, wskazuje nieprzyjaciół, z daleka się snujących; twarz jego i to ruszenie malują boleść widoczną, że nie wśród nich, nie od żelaza umiera. Szczęśliwszy brat jego Stanisław; to on, który może śmiercią Joachima poznawszy, jakie szczęście żyć dla ojczyzny i chwały, oddał się im zupełnie i tyle zasłużył, że gdy w czasie chocimskiej wyprawy wielki Chodkiewicz przeniósł się do wieczności, on hetmanem na jego miejscu ogłoszony został. Wystawił malarz tę chwilę, kiedy mu Polacy z radością buławę oddają; sam królewic Władysław ściska mu rękę i okazuje swym wejrzeniem, jaką ufność w nim pokłada; Litwini tylko niechętnie nań patrzą, a on, wskazując na czarnym kirem okryte zwłoki zeszłego hetmana, zdaje się mówić: starać się będę jemu wyrównać. I wyrównał, jak świadczą dzieje.

Przy innej zabawie wystawiony jeden z trzech synów jego, Aleksander, wojewoda krakowski, stały i w nieszczęściu Jana Kazimierza przyjaciel; on, długo nie mając dzieci, ślub uczynił, a gdy mu się potomek urodził, dopełnia go: w kaplicy Matki Boskiej w Częstochowie odważa tyle złota, ile syn jego nowo narodzony waży. Tego syna, Józefa, marszałka koronnego, widzę tu, gdy do ślubu młodą oblubienicę prowadzi; wdowa po księciu Wiśniowieckim, siostrzenica króla Jana, księżniczka Ostrogska i Zasławska, wielki majątek i znakomite pokrewieństwo w dom Lubomirskich wniesła; znajduje się osobny jej portret: więcej była bogatą niż piękną. Ale raz jeszcze wystawił malarz hetmana Lubomirskiego; w wieku sędziwym, siedzi na łożu, na którym już od 10 lat ciężka choroba go trzyma i ani radą, ani ręką ojczyźnie służyć nie pozwala. Czując się bliskim śmierci, cały swój majątek równo między trzech synów rozdzielił, trzy tylko rzeczy zostawił nad podział: namiot wzięty Turkom pod Chocimem, laskę marszałkowską i kamienicę w rynku krakowskim; dwie pierwsze, rysunek trzeciej leżą koło niego; on pokazuje je otaczającym go synom i jakby mówił: ten je dostanie, kto się ich godnością dokupi. Wszyscy na nie

patrzą chciwie, ale w wydatnej twarzy Jerzego coś więcej jak w innych się maluje; on też później te wszystkie trzy rzeczy odziedziczył: laskę jako marszałek, namiot jako hetman, kamienicę jako starosta krakowski, a przez zasługi swoje w ojczyźnie, nieustraszone męstwo, niezgiętą stałość odziedziczył i sławę. Potrafili go jednak zawiśni poróżnić z Janem Kazimierzem, pomimo iż on tyle razy w sprawie tego nieszczęśliwego króla życie i majątek łożył; wyzuto go z honorów; rozgniewany, zebrał wojsko swoje, uderzył na królewskich i rozsypał ich. Widzę go jednak po tej wygranej składającego szablę zwycięską u nóg króla, który go z dobrocią przyjmuje.

Obok tego obrazu jest portret drugiej żony Jerzego, Barbary Tarłównej; ona wniesła w dom Lubomirskich ten Janowiec, w którym dziś piszę: na pamiątkę tego niemal w każdym pokoju jest jej wizerunek. Ale więcej chluby białogłowom tego domu przyniesła córka Jerzego i pierwszej żony jego, Ligęzianki, Krystyna; dwa razy ją też malarz wystawił; pierwszy obraz jest taki: wpośród panien i dziewcząt służebnych, siedzących nad robotą, stoi dziecina nadobna; twarz jej, z przyrodzenia żywa i wesoła, przemijającą powleczona jest posępnością; po nóżkach widać, że by chciały biegać, a tylko tupać mogą, bo dziecinę za jej psoty przywiązała do nogi stołowej poważna i sędziwa osoba, ciotka jej, księżna kanclerzyna Radziwiłłowa, i surowo na nią patrzy. Na drugim już co innego. Wyrosło żywe i niesforne dziewczę, a czytaniem ksiąg nabożnych, napomnieniami starszych zniewolona, klęczy sama w pokoju przed Matki Boskiej obrazem; zapał maluje się w jej pięknych oczach, z palca iglicą złotą przekłutego zbiera krew piórem i takim pismem poprawę i wieczną służbę przyrzeka. Dotrzymała słowa; wydana za hetmana Feliksa Potockiego, słynąca pięknością, wzorem była pobożności i cnót wszelkich; nie było nad nią zręczniejszej w robotach ręcznych, nie było bieglejszej w muzyce, a Bogu wszystkie te poświęcając zdolności, kościoły Jego zdobiła, o Nim i świętych Jego wiersze składała i śpiewała; dobrych jej uczynków ani wyliczyć można; klasztorów kilka założyła, a jej własny spowiednik życie jej szeroko napisał: mógł śmiało, bo same cnoty miał wyjawiać. Tak zacna siostra sławnego miała brata! Jest obraz jego w naturalnej wielkości, a pod spodem Katona i Salomona polskiego przydomki. Stanisław Lubomirski zasłużył na nie tak obywatelstwem, miłością ojczyzny, jako też rzadką mądrością; widzę przed nim stós ksiąg wielki: na jednej Przysłowia

moralne, na drugiej Próżność i prawda, na innych nabożne tytuły, a nad nim wznosząca się sława wieńczy go laurowym i dębowym liściem, wielbiąc w nim pisarza i obywatela. I drugi brat Krystyny, Hieronim, także jej godzien; towarzysz Jana III, z nim tu wystawiony, kiedy pod Wiedniem przyglądają się oba wziętej Turkom Mahometa chorągwi, chlubna radość jaśnieje w oczach Polaków — wstyd, boleść i jakby zdziwienie, że żyć jeszcze po takiej stracie można, wyrażają twarze kilku schylonych jeńców tureckich, opodal stojących.

Ale szczególny obraz kończy ten zbiór szacowny (bo żyjących jeszcze książąt Lubomirskich późniejszy dopiero pędzel wystawi); oto wśród ogołoconego przez ziemię lasu niedźwiedź rozjuszony toczy walkę z dorodnym hajdukiem; już zdaje się, że go ma pokonać, kiedy zastępuje z tyłu niedźwiedziowi młoda jeszcze niewiasta w myśliwskim ubiorze i dwie krócice przykłada mu do uszów. Z daleka widać konia przelęknionego, który z przewróconymi saneczkami pędem ucieka. Prosiłam o dokładne tego obrazu wytłumaczenie, bo mnie wielce zajął. Taka cała historia: Jedna księżna Lubomirska miała upodobanie w myślistwie; wyjechawszy raz na polowanie na niedźwiedzia, gdy wracała do domu jednokonnymi saneczkami z jednym tylko hajdukiem, rozjuszony przez strzelców niedźwiedź wypadł na nią; koń przelękniony saneczki wywrócił i uciekł z nimi; księżna i hajduk zostali wystawieni na zapalczywość dzikiego zwierza, ale wierny i odważny sługa, wymówiwszy tylko te słowa: „Mości księżno! pamiętaj o żonie mojej i dzieciach!” — rzuca się do niedźwiedzia na dwóch łapach ku nim idącego, chce z nim walczyć i pastwą nawet jego zostać, byle pani czas do ucieczki miała. Odważna Polka, godna tego imienia i poświęcenia się sługi, opuszczać go nie chce, owszem, zajmuje się jego obroną: dobywa parę krócic zza pasa, zachodzi z tyłu, przykłada je niedźwiedziowi do uszów i na miejscu zabija. Doprawdy, że jej tego czynu zazdroszczę… Nie ma, zdaje się, potrzeby dodać, że hajduk na całe życie z żoną i dziećmi dobrym bytem opatrzony został, mógł był nawet nie służyć, ale tak będąc przywiązanym, nie chciał pani swojej odstąpić do śmierci.

Ale już od chwil kilku słyszę hałas w zamku, już nawet słyszałam i głos księcia Marcina, jak z swymi psami rozmawiał; kocha ich i pielęgnuje jak dzieci, znany też jest w całej okolicy jako najlepsze charty mający; zagorzały myśliwy: prawdziwy post dla niego czas teraźniejszy, w którym się najzapaleńsi od łowów wstrzymują.

O! już potrzeba kończyć, już i koło tej sali chodzenie słyszę… już też piąta godzina.

Dnia 14 maja, we czwartek

Jeździliśmy do Opola na dni kilka i znowu nas książę Marcin do Janowca koniecznie sprowadził, żebyśmy świadkami byli ukończenia pałacyku; już z okien gabinetu mego zupełnie ukończonym się wydaje, bo wewnątrz tylko nie dostaje mu niektórych rzeczy. Wygrał zakład książę Marcin i nie wiem, co się to ma znaczyć, ale już kilka razy mówił do mnie, że już co ten wydatek, to wcale nie był na próżno, jak mu wiele takowych wymawiają, gdyż sowitej się spodziewa nagrody za koszta w tym celu poniesione; a odbierze ją za moją przyczyną. Doprawdy, że i samej siebie, i tego, co się koło mnie dzieje, pojąć często nie mogę.

Dnia 16 maja, w sobotę

A! już też prędzej śmierci mogłam się spodziewać jak zdarzonego wczora szczęścia. Królewic przyjechał, królewic jest tu; ten pałacyk, ten zwierzyniec, wszystko to dla niego, a raczej dla mnie; bo już trudno taić się: on mnie kocha, on nie mógł dłużej znieść mojej niebytności i książęta, chcąc mu się przypodobać, wynaleźli ten sposób zbliżenia go pozornie do przedmiotu tak niepojętego kochania. O Boże! do czegóż to mnie przeznaczasz?… Szczęście, wielkie szczęście, że już było ciemno, jak przyjechał; byliby wszyscy obaczyli mój rumieniec, moje pomięszanie, byłby i on zbyteczną radość w oczach moich obaczył. Jeszcze go nigdy tak dla siebie czułym nie widziałam; co to z tego będzie? na czym się ta miłość — już więc wymówione to wielkie słowo — skończy?… Dotąd udawałam zawsze, że nie rozumiem rzeczy dwuznacznych, które mi mówił, starałam się pilnie ukrywać to, co czuję; ale czyż tak dłużej potrafię? Osobliwie teraz, kiedy co dzień w każdej chwili widywać go będę, i to przez czas niemały, bo tu i królewice, bracia jego, zjadą: wielkie będzie polowanie na

zwierza umyślnie na to sprowadzonego, a którego jeszcze nie zwieźli… Jakże utrudza i męczy ta nieustanna praca nad sobą, to ukrywanie uczuć, które gwałtem dobywają się z serca; ta niepewność przyszłości, ten dalszy los, który raz tak świetnym się wydaje, że się go aż lękać trzeba, drugi raz tak ponurym, że aż dreszcz przechodzi; ta bojaźń skryta, czy się nie błądzi, czy się źle nie czyni, wszystko to umysł w taki wprowadza odmęt, że rozpoznać myśli swoich nie zawsze można. Żebym przynajmniej komu zwierzyć się miała? Ale prędzej umrzeć jak słowo podobne księżnie powiedzieć; ona już dziś kilka razy napomykała, że szaloną byłaby ta, która by miłości królewica dała wiarę, i że jego żona będzie najnieszczęśliwsza. Książę, zdaje się, że zwierzenia mego unika; prawda, zawsze coś powie takiego, co mnie zachęci, w nadziejach utwierdzi; ale ufności mojej nie wzywa: zdaje się, że tyle polega na moim rozsądku i cnocie, iż mu się wydaje, że nie potrzebuję rady i sama najlepiej sobie poradzę; ani wypuszczę z rąk szczęścia, które mi niebo podaje, ani też najmniejszej nie popełnię płochości. Bóg więc jedyna ucieczka moja; dziś prawie noc całą na modlitwie spędziłam. On mnie oświecić, poprowadzić raczy. O! jaka szkoda, że tu księdza Bodue nie ma!

Dnia 18 maja, w wieczór

Mamże wierzyć temu, co się stało? Temu, co się stanie? Ja, Franciszka Krasińska, nie żadna nawet księżniczka, ja będę żoną królewica, księżną kurlandzką, a może kiedyś i czym więcej?… ja tak od niego kochana, że dla mnie zapomina o ojcu, o nierówności stanów naszych, o wszystkim. O Boże! mocny Boże! czy tylko mi się to wszystko nie śniło? Prawdaż to, żeśmy pojechali dziś wszyscy po obiedzie do zwierzyńca. Księżna, wchodząc na schody, źle stąpiła i zostać w pałacyku musiała z panną respektową, która zawsze i wszędzie z nami, a książęta, on i ja poszliśmy chodzić po lesie; książę Marcin zatrzymał się, żeby pokazać księciu wojewodzie przygotowania do łowów, królewic powiedzieł, że chodzić woli, i wziął mnie pod rękę. Długo milczał, jam dziwiła się temu, bo zawsze wiele zwykł mówić, szczególniej też ze mną; nareszcie zapytał się, czy nigdy zrozumieć nie zechcę, do kogo on tu przyjechał i po co.

Zwyczajem moim odpowiedziałam, że zapewne do księcia Marcina, dla zabawy polowania, którą tak lubi. A on, już ani tając się, ani dwuznacznie tłumacząc, jak najwyraźniej oświadczył, że przyjechał jedynie dla mnie i po szczęście całego życia… Zdumiałam się na te słowa. „Gdzieżby to być mogło — wyrzekłam. — Książę, czy zapominasz, czym jesteś, czym być możesz? Królewny dla ciebie… „Ty królową moją — zawołał z zapałem — tyś naprzód wdziękami zajęła te oczy, a potem skromnością i cnotą opanowałaś serce. Nawykłem do tego, że mnie szukały inne kobiety, skorom przemówił do nich. Ty jedna, luboś mnie może więcej od tamtych kochała, unikałaś mnie zawsze, zgadywać trzeba było, co czujesz. Tyś godna pierwszego tronu świata i jeśli królem polskim być pragnę, to tego najwięcej, bym to piękne czoło koroną uwieńczył…”

Jakże ja nie mam myśleć, że mi się to wszystko śniło?… Kiedy, osłupiała, odpowiedzi znaleźć nie mogłam, książęta zbliżyli się do nas. „Was i niebo biorę za świadków — wyrzekł królewic — jako innej żony mieć nie chcę, tylko tę Franciszkę Krasińską, stojącą tu przed wami; dla okoliczności łatwych do zrozumienia żądam sekretu do pewnego czasu, wy tylko o miłości i szczęściu moim wiedzieć będziecie, a kto mnie wyda, za nieprzyjaciela go poczytam…” Książęta kłaniać mu się zaczęli, mówić o wielkim zaszczycie, zapewniać, że ukryją tajemnicę; szepnęli mi oba do ucha: „Godnaś tego!” — i nieznacznie odeszli.

Jam jeszcze stała zdumiona, ale nareszcie trzeba było oczywiście uwierzyć, trzeba było odpowiedzieć czułym królewica wyrazom; musiałam nawet wymówić, że go kocham, i to od dawna; i zdaje mi się, żeć można uczynić takie wyznanie przyszłemu mężowi. Mężowi? znowu odchodzę od siebie; czy nie czary to jakie?… Ale co słyszę? Północ bić będzie na zamkowym zegarze, jeśli to sen albo czary, mówią, że moc ich o tej godzinie się kończy i znika… Słuchajmy… Już wybiła dwunasta, a nie skończyło się szczęście moje, nie znikła wielkość… A ten pierścionek odmieniony cóż by znaczył? Miałam od Basi pierścionek z złotego węża, w Sulgostowie mi go dała; uważał go królewic: taki sam zrobić kazał; wyryto w środku „Na wieki!” i wziął mój, a ten mi włożył. Tych skromnych zaręczyn naszych drzewa i słowiki jedynymi świadkami były… I ja tego wszystkiego nikomu, księżnie nawet, powiedzieć nie mogę; ani Basia, co więcej — ani Państwo o tym nie wiedzą. Nie poświęcił ksiądz żaden tych pierścionków, nie ojciec kochany przyszłemu małżonkowi mnie oddał, nie

pobłogosławiła mi matka!… O, już teraz wierzę!… nie sen to ani czary; żal serce ścisnął, łzy obfite i gorzkie z oczów mi płyną… prawda!… wszystko prawda!

Dnia 25 maja, w poniedziałek, 1760, w Janowcu

W tak ciągłym byłam omamieniu, tak przeznaczeniem moim, tym, co jest, tym, co kiedyś będzie, odurzona, że nie wiem, czy to moja, czyby też polskiego języka wina? ale nie stawało mi wyrazów do opisania tego wszystkiego, jak by należało. Tydzień minął, ani jednego słówka nie nakreśliłam w moim dzienniku; a był to tydzień takiego niepojętego szczęścia, tak godzien wspomnienia! I we środę, i przedonegdaj, i wczora brałam pióro w rękę; zawsze tyle się natłoczyło myśli i uczuć, iż nimem ładu z nimi doszła, nimem stosowne znalazła wyrazy, czas z trudnością na to upatrzony upłynął i wstać trzeba było od stolika. Dziś pierwszy raz uderzyła mnie myśl okropna, że to szczęście moje podobno uleci, i dziś pisać mogę. Dziwna rzecz, bojaźń i smutek miałyżby mieć więcej słów od szczęścia?… Królewice Klemens i Albrycht przyjechali tu we czwartek; w tenże sam dzień zwierza dzikiego ze wszech stron nazwożono; przez piątek i sobotę polowanie się odbywało; dziś dwaj królewice wyjeżdżają, jak mi pokojówka oznajmiła to przed chwilą, i mnie dziś pierwszy raz ta myśl uderzyła, że i on odjechać może…

Przez ten tydzień cały, omamiona obecnym i przyszłym szczęściem, zajęta staraniem ukrywania go przed obcymi, wreszcie po raz pierwszy w życiu grająca rolę gospodyni domu (bo księżnie od tego stąpienia tak noga spuchła, że aż w łóżku leży, i ja zastępować ją muszę), nie miałam bynajmniej czasu myśleć o tym, co nastąpić może; i nie wiem doprawdy, czym myślała, że to już rzeczy tak zawsze zostaną? Czy też podobno nie myślałam wcale; ale to wiem, iż bojaźń i smutek zupełnie mi wyszły z pamięci. Dziś, jakby ze snu tymi słowami pokojówki obudzona, czuję nieznośne udręczenie. Cóż to będzie, jak królewic pojedzie? Z jakąż ja myślą usnę? Z jaką się obudzę? Po co wstanę? Dla kogo się starownie

ubiorę? Kim, czym przez dzień cały zajętą będę? Ani wiem, ani wystawiam sobie, ani pojmuję… aż mi niedobrze… okno otworzyć muszę. — A!… Oddycham, lepiej mi teraz; choć dopiero szósta godzina, już postrzegłam w oknie pałacyku, w tym pokoju, gdzie on od przybycia braci mieszka, powiewającą chustkę białą. Taki co rano znak na dobry dzień mi daje; nie przyznam mu się nigdy do tego, broń Boże! iż dopiero raz jeden znak ten już zastałam wstawszy; nie chcę go zawstydzać, żem od niego ranniejsza…

Ale któż to tak pędem, perspektywą przez las wyciętą, na koniu jedzie? Może on? Nie, to strzelec ulubiony jego; zapewne z bukietem dla mnie: wiem, że po niego o mil kilka do jakiejś oranżerii posyłał. Czegóż ja się też troszczyłam? Po co te obawy? On tu jest jeszcze; od nikogo nie słyszałam, żeby miał wyjeżdżać; może wcale nie pojedzie, a przynajmniej nie tak prędko; ani wątpić, będę jeszcze miała i drugi, i trzeci, i czwarty takiego szczęścia tydzień. Wszak na pierścionku napisać kazał „Na wieki”. Ten pierścionek jakże mi drogi!

Dnia 27 maja, we środę

O nie! Skończyło się na jednym tygodniu szczęścia! A już widzę, że pamięć jego wszystkie następne w porównaniu z nim czarne i posępne uczyni! Ale bo to najgorzej, kiedy się od poniedziałku źle darzyć zacznie. Te słowa pokojówki były pierwszymi, które usłyszałam w ten tydzień, i odtąd same złe nowiny słyszę. Zaraz tego dnia dowiedziałam się z pewnością i od strzelca, który mi bukiet przywiózł, i od samego królewica, że wyjechać wkrótce musi; zaledwie pod różnymi pozorami trzy dni po braciach miał tu bawić, te jutro dopiero się skończą, a on już dzisiaj wyjeżdża. Król przysłał w nocy sztafetę z rozkazem, żeby wracał jak najprędzej; pojechał raz jeszcze do pałacyku, bo tam ważnych papierów zapomniał; za pół godziny wróci, a potem pojedzie. Sam nie wie, kiedy się zobaczemy. Ach! Czemuż to dni szczęścia krótsze są od innych?

Dnia 7 czerwca, w niedzielę

Już blisko dwa tygodnie, jak królewic pojechał, dwóch posłańców było od niego, dwa liściki wsunął do mnie pod kopertę księcia wojewody. Ale cóż to jest list? jakże to w nim słów i rzeczy mało dla tych, którzy rozmawiać, wszystko sobie zwierzać przywykli; których szczęście być razem, patrzeć na siebie. I czytam je, i odczytuję, zawsze toż samo. List tak mało zastąpi rozmowę jak portret osobę; zostawił mi swoją miniaturę królewic, dosyć podobna: ale cóż mi z niej? Ja mam twarz jego jeszcze podobniejszą w pamięci wyrytą, a ten portret zawsze jednakowy, ani mówi, ani się uśmiecha, ani patrzy na mnie. A nadto jakże to czczą rzeczą jest list, na który odpowiedzi dać nie można, to istna z niemym rozmowa; bo co już tego, to przenieść na sobie żadnym prawem nie mogłam: zdawałoby mi się, że mi ręka uschnie, gdybym bez wiedzy ciotki, rodziców, starszej stiostry do kochanka jednę literę napisała; powiedziałam królewicowi, że listu ode mnie mieć nie będzie, dopóki żoną jego nie zostanę, i choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje, dotrzymam słowa… O! jakże po wyjeździe jego dzień każdy był nieznośny… Z początku jak błędna, jak osłupiała chodziłam; byłabym chciała jakim cudem przespać czas jego niebytności… Mamże powiedzieć, co mnie z tego letargu obudziło? Księżna nagle zapadła w skutku tego nieszczęsnego stąpienia; nie umiano się obchodzić z tą nogą od razu, spuchła i zaogniła się tak mocno, że księżna dostała gwałtownej gorączki i przez trzy dni była bardzo źle. Ani wyrazić potrafię, co się ze mną przez te trzy dni działo! Nie sądziłam, żebym o czyje zdrowie, prócz o zdrowie Państwa, sióstr i jego, tak niespokojną być mogła.

Przez te trzy dni nie tęschniłam do królewica, co więcej — prawie rada byłam temu, że go nie ma; bo w jego przytomności nie byłabym mogła tak zupełnie zająć się księżną. Myśl, że ona umrzeć może, w rozpacz mnie wprowadziła, bo pomimo tego wszystkiego, co książęta, co królewic co dzień mówili mi i mówią, ja znam dobrze, że ją milczeniem moim obrażam, i ta myśl truciznę jest dla mnie, bo nie ma zgryzoty nad zgryzoty sumienia. Od samego początku cieszyłam się jedynie nadzieją, że przyjdzie dzień, w którym i jej, i Państwu, i kochanej siostrze do nóg upadnę i mimowolny błąd wyznam; przez te trzy dni, kiedy w niebezpieczeństwie była, ta nadzieja za każdą chwilą spełznąć mogła. Ach! cóż by się natenczas ze mną stało? Opanowała mnie także, nie wiem skąd, ta myśl sroga, że i Państwo już niemłodzi, że i ich nagła choroba, śmierć zaskoczyć może. Piekielne

męki przez te trzy dni wytrzymałam; księżna zdrowsza, z Maleszowej były dobre wiadomości: ożyłam.

Doprawdy, gdyby dziś powiedziano mi, że król pozwala synowi publicznie żenić się ze mną, nie mogłabym serdeczniej Bogu dziękować, jak kiedy doktór zaręczył, że księżna zdrową będzie; chociaż tamta wiadomość celem jest życzeń moich. Bo cóż się to w sercu królewica dziać musi? On, który pewny jest, że nie tylko ukrywaniem swojej miłości, ale samą miłością srogo obraża ojca!… Truchleję na tę myśl. O Boże! czemuż mi te uwagi dawniej nie stawały w pamięci? Czemuż mi nie po stały w głowie przy królewicu? po cóż on odjechał? Póki tu był, los mój tak świetnym, tak szczęśliwym mieniłam; teraz zdaje mi się często, że nie ma nade mnie nieszczęśliwszej istoty. Bo też tak jest. Obrażać najlepszych rodziców, ukochaną siostrę, szanowną ciotkę, być przyczyną tego, iż syn dobrego ojca, poddany króla swego obraża, to boleść dotkliwa, niepojęta; czemuż ja jej nie przeczułam? czemu mnie kto nie ostrzegł?… A gdy sobie przeszłość przypomnę, jakże gorąco pragnęłam tego, co dziś dzieje się ze mną; od jak dawnego to już czasu ta myśl wyniosła, jak wróg jaki, opanowała mój umysł. Nieszczęsny Macieńku! Tyś ją podobno pierwszy mojej próżności podsunął.

Szczęśliwa Basiu! Czemuż królewic nie urodził się równym moim? Równym? czy szczerze chciałabym tego? Ach! jak też to dobrze, że nikt prócz Boga i nas samych w głębi serca czytać nie może; Bóg przez nieskończoną dobroć, my przez słabość tak wiele sobie wybaczamy!… Ale już pół godziny, jakem od księżnej odeszła; ona lubi mnie mieć koło siebie, nikt jej tak jak ja dogodzić w niczym nie umie; i prawdziwie mnie już teraz nigdzie tak nie jest dobrze jak przy jej łóżku: tam czuję się być potrzebną, tam widzę z radością, że serca mego nie opanowało wyłącznie jedno uczucie.

Dnia 18 czerwca, we czwartek, w Opolu

Księżna tak już znacznie do sił i zdrowia przyszła, iż przedonegdaj przyjechaliśmy tutaj: żal mi było wyjeżdżać z Janowca. W ostatnim liście zastraszył mnie królewic, że do księstwa swego na parę miesięcy jechać

będzie musiał; głowę sobie łamie, jakim by sposobem widzieć mnie przed odjazdem; dopieroż to te miesiące żółwim krokiem iść będą; trapi mnie nade wszystko jego zmartwienie. Jest tu kilka osób z Warszawy, jest nawet i biskup kamieniecki, tak godzien poważania i szacunku; uspokoić się nie mogą nad zmienieniem się królewica: mizerny, smutny, od ludzi chroni; króla nawet stan jego niespokojnym czyni; i to wszystko z mojej przyczyny. Ach! Doprawdy, wielkie zmartwienie kochać kogo bardzo; wszystko w dwójnasób się czuje, a ponieważ więcej złego niż dobrego na tym świecie, trochę radości, wiele zmartwienia z każdym kochaniem przybywa. Co się też i ze mną stało? Wszyscy mnie mizerną i smutną znajdują; Kochana księżna składa tę zmianę na niewczas i trudy przy niej poniesione; każda podobna jej mowa, każda pochwała przywiązania mego ku niej jakby sztyletem serce mi przeszywa. Kiedyż się te okoliczności odmienią? kiedyż szczęście wróci? kiedy na tym sumieniu, tak niegdyś lekkim, nic ciężyć nie będzie?

Dnia 11 lipca, w sobotę

Zabłysła chwila szczęścia i minęła: był tu, ale tylko dwie godziny; w tę środę wyjechał z Warszawy, niby do Kurlandii, a on tymczasem, wysławszy tylko ekwipaże swoje, sam zamiast na północ, na południe się udał; przyjechał tu, a teraz dniem i nocą dąży, żeby razem z dworem swoim w Białymstoku stanął. Widziałam go tak krótko, że mi to widzenie snem się wydaje; przebrany za swego strzelca przyjechał, nikt go nie poznał, nikt też poznać nie był powinien, prócz mnie i księcia. Jak też mnie błagał, żebym pisywała do niego, płakał; szczęście wielkie, że tak mało czasu byliśmy z sobą, bo kto wie, czy bym się była dłużej łzom jego oparła. Niepojęta jest we łzach siła. Trzy miesiące czas najkrótszy pobytu jego w Mitawie; ileż to dni w trzech miesiącach! Ile godzin, ile minut! Niczym jeszcze byłoby samej cierpieć, ale jego to oddalenie tyle martwi; prawda, że zmizerniał do niepoznania.

Dnia 3 września, we czwartek

Nie pisałam blisko dwa miesiące; minęły, bo widzę, że wszystko mija na świecie: i złe, i dobre; ale jak też długie i smutne były. To nie sposób, żebym ja dopiero ośmnasty rok zaczęła, już takam stara! tyle łez, tyle myśli, trosków tyle!… Królewic, ile razy do mnie pisze, zawsze upewnia, że w październiku wróci; dziś tak się ucieszyłam zobaczywszy w tutejszym ogrodzie kilka liści suchych na ziemi: zdało mi się, że to już październik; niedługo pojedziemy do Warszawy, księżna zapomniała, że słabą była. Miałam przez ten czas wielką biedę; trafiała mi się znakomita partia: księżna, która od czasu słabości swojej dwa razy tyle mnie pokochała, zniósłszy się z Państwem, wraz z biskupem kamienieckim wszystko ułożyła i była pewną, że ja przystanę na te układy z radością.

O Boże! jakże mi było bolesno zniszczyć te wszystkie jej plany, znieść jej gniew słuszny, słuchać uwag, napomnień, a nade wszystko przycinków dla królewica — i milczeć. A do Państwa jakże mi trudno było list z przeproszeniem napisać! Udałam się w pokorę; słusznie mówią, że ona niebiosa przebija; Jmć Dobrodziejka odpisać mi raczyła łaskawie, z żalem, ale bez gniewu: *Rodzice, którzy wypuszczą córkę z rąk swoich, dziwić się nie mogą* (pisze na końcu), *jeśli ich woli nie słucha*. Zwyczajne błogosławieństwo, krzyżyk macierzyński przesyła mi, a na gorące prośby moje zapewnia i ręczy, że Jmć Dobrodziej się nie gniewa. Czym ja też przewidzieć mogła, że to, co szczytem szczęścia mieniłam, w taką otchłań utrapień mnie wrzuci; z owej pomyślności usnuło się zupełnie jakieś pasmo zmartwień; dzień każdy nowe, niespodziane do dawnych dodaje, a końca nawet przewidzieć nie można.

Dnia 22 września, we wtorek, w Warszawie

Od kilku dni gościmy w Warszawie; z jakąż radością zbliżałam się do niej, jak mi się piękną zdawała! Tu królewica obaczę, w ostatnim liście zaręczył mi, że na pierwszego października przyjedzie: to za tydzień; gdyby

też nie ta nadzieja, uschnąć by trzeba, a w Warszawie sto razy mi gorzej jak na wsi. Te wizyty, te asamble, te ubiory, które dawniej tyle mnie bawiły, dziś nieznośne mi są; zdaje mi się, że każdy tajemnicę moję z mych oczów czyta, ale w zły jakiś sposób, bo jakby sobie szydzili ze mnie, osobliwie też białogłowy. Jedna tak mi dopiekła wczora pytaniami, troskliwością swoją, że już łzy na doręczu były; a działo się to w obliczu pięciudziesiąt osób; nie wypiszę jej nazwiska, rada bym go i z pamięci wytrzeć, gdyż wielką mam skłonność do nienawidzenia jej; a tego uczucia by mi też jeszcze do zupełnej niedoli potrzeba. Książę wojewoda ulitował się nade mną i w pomoc mi przyszedł; niech mu Bóg stokrotnie tę dobroć zapłaci: zginęłabym już od dawna, gdyby nie on; zawsze w najtrudniejszym razie ratuje mnie; to tylko bieda, że wcale zmartwieniom moim nie daje wiary i kiedy się przed nim użalać chcę, on mnie dzieckiem zowie; już mu nigdy nic nie powiem.

Dnia 1 października, we czwartek

Przyjechał, widziałam go, zdrów, ale cóż? Widziałam go przy licznych świadkach i kiedy bym była chciała wybiec naprzeciw niego na dziedziniec, trzeba było czekać spokojnie przy stole, aż wejdzie do pokoju, z księstwem się przywita, i ukłonić mu się niziuteńko. To przynajmniej dobrze, że przyjechał i że zdrów; wszystko weselszym mi się wydaje, wszystko dobrze będzie.

Dnia 20 października, we wtorek

O Boże! jakież ja to słowa wyrzekłam przed chwilą! Jakąż obietnicę dałam! Cóż to się stanie za dni kilkanaście? czwarty listopada jakiż to dzień będzie? to imieniny królewica, i jakiegoż on wiązania się domaga? Oto ręki mojej; zaklął mnie na Boga, na rodziców, powiedział, iż zwątpi o moim przywiązaniu, jeśli tego nie uczynię: zmiękczona łzami jego, zachęcona naleganiami księcia wojewody, obiecałam i już obietnicy mojej żałuję, ale

on jakże szczęśliwy odszedł. Jednak i królewic musiał coś uczynić dla mnie: chciał naprzód, żeby się to wszystko odbyło bez wiedzy Państwa, tylko z wiedzą książąt Lubomirskich; już to temu oparłam się zupełnie; powiedziałam mu wyraźnie, że wolałabym daleko odrzucić miłość jego, zakonnicą zostać; pozwolił więc napisać do Państwa i obiecał przypisać się do mego listu. Przyznam szczerze, że obraził mnie tym nieco; wszak to zawsze kawaler pokornie prosi rodziców panny o jej rękę; prawda, kawaler, ale nie królewic: dziś pierwszy raz uczułam z przykrością różnicę, jaka jest między nami, i to, że on łaskę mi robi żeniąc się ze mną. Była chwila, w której odezwała się polska duma, cofnąć się chciałam, wszystko zerwać, ale już było za późno, jużem dała słowo. Teraz pisać do Państwa trzeba, wyznać im tak długo tajoną miłość, taką ich obrazę, takie przestąpienie ufności i uszanowania, jakie dziecię każde rodzicom winne. O Boże! Wielki Boże! Natchnij mnie! Dodaj siły! Nie wiem, czy ten winowajca, którego przed sąd prowadzą, może więcej drżeć ode mnie? Czy nieszczęśliwszym być może?

Dnia 22 października, we czwartek

Już pojechał zaufany pokojowiec księcia wojewody do Maleszowej; ja dosyć byłam kontenta z mego listu, ale królewic go zganił: powiedział, że zbyt pokorny, i ja bym też miała ochotę zganić nawzajem przypisek jego i powiedzieć, że zbyt królewski; ale mi książę usta zamknął. Jaka też będzie ich odpowiedź? Czasem mi się zdaje, że nie pozwolą; bo dziwna rzecz, iż od jakiegoś czasu wszelka duma, wszelka próżność znikła z serca mego: to mi zdaje się niczym, że on jest królewicem, księciem kurlandzkim, że królem polskim być może; to wszystkim, że on zezwolenia ojca, ja błogosławieństwa rodziców nie mam. Jedna rzecz przynajmniej nieco mnie pociesza: Bóg natchnął mnie myślą, żeby prosić, czy by nasz proboszcz maleszowski nie mógł tu przyjechać i dać nam ślubu. Książę powiedział, że to uczyni; będzie przynajmniej jakieś wyobrażenie rodziców, jakiś cień przyzwoitości. Jakże mi teraz często los Basi w pamięci staje! Ja myślałam, że ona mi mało życzy, a ona mi wiele życzyła, kiedy powtarzała: „Obyś tylko tak była jak ja szczęśliwa!”

Dnia 28 października, we środę

Jest list od Państwa, zezwalają, życzą nam szczęścia; ale w ich błogosławieństwie nie ma tej czułości, której Basia tyle doznała, i słusznie: jam na nią nie zasłużyła. Królewic spodziewał się osobnego do siebie listu, nie ma go; obraził się tym cokolwiek i wiele mówił z księciem o dumie niektórych panów polskich. Już przynajmniej szczęśliwam z tego, że Państwo wiedzą o wszystkim: kamień spadł mi z serca; obiecali dochować sekretu, póki ich sam królewic nie uwolni; w ich wyrazach przebija nieco radości i zdziwienia nad związkiem tak zaszczytnym, ale szczególniej w słowach kochanej matki jest jakiś żal rozlany; te mnie najmocniej dotknęły: *Jeśli będziesz nieszczęśliwa — mówi do mnie — nam swego nieszczęścia przypisać nie będziesz mogła; jeśli zaś (o co Majestat Boski błagać nie przestanę) szczęście w tym postanowieniu znajdziesz, rodzice cieszyć się nad tobą będą; ale nie tyle, co nad innymi córkami, boś im nie dozwoliła pociechy przyłożenia się w czym do szczęścia twego.* Już prawie tych słów w liście Państwa nie znać, tylem łez nad nimi wylała; w sercu zostaną na wieki. Proboszcz przyjedzie, od dziś za tydzień już będzie po wszystkim. Książę o indult się wystara; sekret dochowuje się dotąd wybornie, mnie samej wierzyć się nie chce, że ja panną młodą wnet będę: żadnych przygotowań do wesela; wszystko cicho, głucho, toteż wesela nie będzie! Mój Boże! na tydzień przed ślubem Basi co się to działo w maleszowskim zamku! Żebym przynajmniej królewica co dzień widywać mogła, ale czasem i dwa dni miną bez widzenia go. Boi się niezmiernie obudzić troskliwość króla, a bardziej jeszcze Brühla, więc i w publicznych miejscach mnie unika, i u księstwa rzadziej bywa. Tak się też to dobrze udaje, że wczora na wieczorze u pani Moszyńskiej, którą bardzo kocham, usłyszałam przypadkiem taką rozmowę. Jakiś pan mnie nie znany mówił do drugiego: „Ale starościanka Krasińska dużo spaszowała. „Nic dziwnego — odpowiedział tamten — wszyscy mówią, że pannie książę kurlandzki zawrócił głowę, on zaś kogo widzi pięknego, to kocha; oto i teraz udaje się do krajczyny, i schnie niebożątko”. Chociaż wiem, że królewic tak umyślnie dla niepoznaki robi, zimny dreszcz przeszedł mnie na te słowa;

wreszcie jakże przykro pannie uczciwej być żarcików celem!… I nikogo, przyjaciółki żadnej, żeby jej się zwierzyć, rady zasięgnąć. Pokojówkę, którą dotąd miałam, głupiuteńką (bo nie domyśla się niczego), książę aż gdzieś do Litwy odsyła, a za dni kilka mam mieć jakąś dobrego urodzenia pannę służącą, mężatkę, już w wieku bardzo do rzeczy, ale której nie znam wcale. Nie mam nawet z kim się naradzić, jak się ubrać do ślubu. Pytałam się księcia, on mi powiedział: „Jak co dzień”. O! Jakże dziwne przeznaczenie moje? Robię najświetniejszą partią w całej Litwie i Koronie, a córka mojego szewca świetniejszą mieć będzie wyprawę i wesele.

Dnia 4 listopada, we środę

Już stało się, jużem żoną królewica: on mnie, ja jemu przed ołtarzem, przed Bogiem, nie ma temu, jak godzina, wieczną przysięgli wiarę i miłość. Okropny jednak był ten ślub! Z takim strachem, tak nagle! Jeszcze drżę cała i myśli moich rozpoznać nie mogę… Już dwa dni nie widziałam była królewica; udawał chorego na mocną fluksją, krokiem nie wyjeżdżał z domu i na dziś od obiadu u księcia prymasa i u posła hiszpańskiego, od balu u pana hetmana się wymówił… Pokojówkę moję onegdaj odesłano, a wczoraj przybyła owa panna, która księciu przed krucyfiksem zatajenie wszystkiego, co widzieć będzie, przyrzekła… Dziś o piątej rano zastukał do drzwi moich książę wojewoda; już byłam ubrana i na nogach od dwóch godzin. Udało nam się wyjść cichuteńko, królewic i książę Marcin czekali u bramy; wiatr był niezmierny, ciemno zupełnie, szczęściem przynajmniej, że deszcz nie padał. Poszliśmy piechotą do karmelitów, pojazd byłby narobił hałasu; to kościół najbliższy; tam nas czekał poczciwy proboszcz; choć tak blisko, gdyby nie królewic, byłabym kilka razy upadła. A w kościele jakże okropnie! Cichość i ciemność grobowa, na ubocznym ołtarzu świec tylko dwie, nikogo prócz księdza i zakrystiana; rozlegał się odgłos naszych kroków jak gdyby w odludnej jaskini. Nie trwała ceremonia i dziesięciu minut; ledwie się skończyła, jak gdyby nas kto gonił, uciekliśmy z kościoła. Królewic odprowadził nas do bramy; książę Marcin gwałtem prawie go przymusił, żeby odszedł i wrócił do swego pałacu, bo stał długo i odejść nie chciał.

Ubiór mój był codzienny, nawet nie biały; gałązkę tylko rozmarynu wetchnęłam naprędce we włosy; wczora, przypomniawszy sobie ślub Basi, sama nagotowałam sobie ze łzami dukat, kawałek chleba, trochę soli i cukru, ale dziś z wielkiego pośpiechu tego wszystkiego wziąść zapomniałam. I teraz jestem znowu w moim pokoju, nikt mi nie winszuje, nikt nie błogosławi, wszyscy śpią; dnieje, a świeca się pali, jakby przy umarłym, i gdyby nie ten dreszcz zimny, którego się od wczora pozbyć nie mogę, gdyby nie ta złota obrączka, którą niedługo zdjąć i schować wypadnie, nie wierzyłabym, że jużem na wieki z królewicem złączona, że wracam od ślubu, żem jest panną młodą.

Dnia 24 grudnia, w poniedziałek, w Sulgostowie

Już nie miałam pisać wcale dziennika: pozyskawszy dozgonnego przyjaciela, któremu wszystkie myśli zwierzałam, nie widziałam nawet potrzeby pisania go, ile że królewic (bo już podobno tak go całe życie zwać będę) nie umie tak dobrze po polsku, żeby go mógł czytać i rozumieć; ale od dwóch dni los srogi, który mnie ciągle prześladuje, oderwał mnie od ukochanego męża. Bóg wie, kiedy się znowu z nim złączę, trzeba do dawnego wrócić powiernika! O! jakże te dni ostatnie były okropne! co wypadków! co ciosów! Prawdziwa Opatrzność Boska, żem nie dostała zupełnego pomięszania zmysłów. Jednak tu przyjechawszy tak byłam dziwna, że gdym Basię i jej męża do osobnego pokoju wezwała, gdym im zaczęła opowiadać, że mnie księżna wojewodzina z domu swego wypędziła, żem ja niewinna, że jestem żoną królewica, nieboga siostra, nie wiedząc o niczym, zdumiała; przestraszona, chciała biec po ludzi, po ratunek, bo przekonaną była, że mam wariacją. Teraz, kiedym im wszystko opowiedziała, kiedy wszystkiemu uwierzyli, ich rozsądek mnie rozum przywrócił i może potrafię tu zapisać tę straszną przygodę. Jak kiedy Bóg pozwoli, iż zupełnie szczęśliwą i spokojną będę (o czym wątpię, żeby to kiedy już nastąpiło), miło mi będzie odczytać te dawnych prześladowań

losu opisy, chociaż najdoskonalsze szczęście nie potrafi wymazać ich z pamięci.

Już szósty tydzień od okropnego dnia ślubu naszego się skończył; król, dwór, Warszawa cała, nikt w domu nawet ani się domyślał tego, co się stało, ja zawsze, jak i dziś jeszcze, starościanką Krasińską od wszystkich zwana, królewic nigdzie prawie nie uczęszczający pod pozorem zdrowia, nasze nieczęste schadzki przez księcia wojewodę ułatwiane i jemu tylko wiadome. Ale tydzień temu królewic wyjeżdżać zaczął i jak dawniej i księstwu oddał wizytę. Byłam natenczas w pokoju, pierwszy raz od dnia, jak mężem moim został, widziałam go w przytomności obcych; nie mogłam ukryć pomięszania, nie mogłam nie spojrzeć na niego mile, i księżna to postrzegła. Gdy odjechał, nie szczędziła łajań, napomnień, słów przykrych; ja, pewna niewinności mojej, odpowiedziałam zbyt hardo; nieszczęsna, dałam nawet do zrozumienia, że nie płocha miłość z królewicem mnie wiąże, i ta odpowiedź przyczyną się stała całego nieszczęścia.

Księżna przez dzień następujący niezmiernie była pomięszana, nazajutrz królewic znowu przyjechał; miał mi jakąś dobrą nowinę donieść; pewny, że dnia tego nie będzie mógł mówić ze mną na osobności, bilet napisał, a bawiąc się z koszyczkiem moim od roboty, wsunął go zręcznie. Nie uszło to bacznego oka księżnej, ledwie wyszedł, porwała koszyk, a przeczytawszy na bilecie podpis: „Pour ma bienaimeé”, już nie mogła gniewu położyć granic; nie wiem, jak mnie nie zabiły na miejscu jej słowa, bo mnie nazwała zakałem, hańbą, wstydem rodu Krasińskich; bo mi powiedziała, że ojca i matkę w grób wpędzę. „Ale nie udadzą ci się te fortele — dodała jeszcze (gdy ja, wskroś przejęta tym obelg nawałem, mogąc usprawiedliwić się jednym słowem, milczałam jednak, bom mężowi milczenie przyrzekła) — nie udadzą ci się, zapobiegłam ich skutkom; oto kopia listu, który dziś rano Brühlowi posłałam: w nim uwiadamiam go, że uczciwość i honor nad wszystkie familijne przekładając związki, nad wszystkie wielkości widoki, mam sobie za święty obowiązek donieść mu, że królewic w tobie się kocha; błagam go, by wyrwał księcia z tych sideł, czynił, co mu się zdawać będzie, byle przerwał tę miłość, póki czas jeszcze, byle mnie usprawiedliwić, żem do tej podłej intrygi nie należała i chyba zbytecznym zaufaniem w cnocie własnej siostrzenicy zgrzeszyłam! Tak o wstydzie twoim i szalonej dumie może już teraz i król uwiadomiony! „Król! — krzyknęłam odchodząc zupełnie od siebie na te słowa — niechże mu nikt nie powie, żem ja jego

żoną!” A klękając przed księżną, z wielkim płaczem i łkaniem ściskałam jej kolana. „Żoną? — powtórzyła za mną — żoną? byłażebyś żoną królewica?”

Na to zapytanie objęłam dopiero myśl okropną, iż zdradziłam tajemnicę; przelękniona, widząc już także przed sobą rozgniewanego męża, zdało mi się (znając szczególniej, z kim miałam od czynienia), że cały ratunek jest tylko w zupełnym wyznaniu. Zawsze więc u nóg księżnej, wyznałam jej wszystko, błagając o darowanie i o sekret przed światem całym. Bądź obrażona tak późnym i wymuszonym zwierzeniem się, bądź mając żal do samej siebie za porywczość swoję, a nie chcąc go przyznać, zdziwiła ją, lecz nie ułagodziła mowa moja. Prawda, wstać mi kazała, mówiąc, że nie przystoi tak wielkiej pani czołgać się u nóg czyich; przepraszała mnie, iż nie wiedząc o godności mojej, uchybiła mi nieraz, ale ręki pocałować nie dała; a pod tym błahym pozorem, że dom jej niegodzien być królewicowej, księżnej udzielnej, przyszłej królowej polskiej, przytułkiem, natychmiast wszystko do odjazdu mojego przygotować kazała. Potrafiłam się wstrzymać od najmniej przykrego słowa, za co Bogu dziękować wiecznie będę; bo jakżeby dla słów kilku tyle dowodów przywiązania zapomnieć! Z uległością szesnastoletniej panienki przysposabiać się do podróży zaczęłam, lubom wcale nie wiedziała, gdzie jechać.

Nie wiem, czy ja, czy księżna wspomniała na szczęście Sulgostów; marszałek, który przyszedł po rozkazy pani swojej, usłyszał to słowo i w chwili jednej w przedpokoju i w garderobach ułożono, że ja do Sulgostowa na święta Bożego Narodzenia jadę. Szczęśliwa z tego wniosku, potwierdziłam go; napisałam tylko długi list do królewica na ręce księżnej, okazałam mu potrzebę zwierzenia się siostrze i szwagrowi i nie wyszło dwóch godzin, a zamknięta w karecie z panną moją, jechałam śpiesznie, ledwie wiedząc, co się dzieje ze mną. Dopiero zobaczywszy Sulgostów, przyszło mi na myśl, jak ja to wszystko siostrze i szwagrowi powiem. I nic nie wymyśliwszy stanęłam przed ich pałacem; dlatego też Basia za wariatkę mnie wzięła. Już teraz tak dalece przyszłam do siebie, żem się nawet z tej imaginacji wraz z nią dziś śmiała; ale przez dwa dni śmiechu nie było i teraz jeszcze nie bardzom do niego skora, bo żadnej od królewica nie mam wiadomości: zapewne go strzegą. Kamienne prawdziwie mam zdrowie, że mi te wszystkie wzruszenia mało co szkodzą; druga delikatna osoba mogłaby i śmierć połknąć, nim by się owego szczęścia doczekała. Czy i ja

doczekam go kiedy? to wielkie pytanie. Te nadzieje swobody i wielkości spełniąż się kiedy? Będęż ja kiedy pędziła dni spokojne obok ukochanego męża, jakie Basia pędzi? — O nie! to nie dla mnie!…

Dnia 30 grudnia, w niedzielę

Jadę do Maleszowej, może tam lepiej niż tu mi będzie; Basia miała także jechać, ale ponieważ znowu spodziewa się słabości, mąż jej nie pozwala jechać. Miałam list od królewica, w rozpaczy, żem wyjechała, w gniewach na księżnę, w obawie wielkiej, czy Brühl wszystkiego nie odkryje. Ja koniecznie potrzebuję stąd wyjechać; tak jestem nieszczęśliwa, że obraz powodzenia ukochanej siostry trucizną jest dla mnie. Ten jej dom tak dobrze urządzony, te starania, ta miłość familii mężowskiej, te dowody nieustanne przywiązania Państwa, troskliwość o jej zdrowie, ta Anielka taka przedziwna, która ją tak kocha, z której ojciec taki szczęśliwy: to wszystko rozdziera mi serce; a jednak Bóg widzi, jak serdecznie siostrę kocham, jak gorąco się modlę, żeby zawsze tak szczęśliwą była. Może gdy usłyszę z ust kochanych rodziców słowa przebaczenia, może gdy ich nogi ucałuję, spokojniejszą będę; może też rok z nimi zaczęty równie szczęśliwy będzie jak owe lata, które niegdyś tak swobodnie w Maleszowej płynęły.

Dnia 5 stycznia 1761 r., maleszowskim zamku

Już tu jestem od dni kilku i podobno pojutrze wrócę do Sulgostowa, bo tu jeszcze gorzej. Nie dlatego, żeby mnie Państwo źle przyjąć, źle traktować mieli; owszem, bardzo są na mnie łaskawi, ale tu czuję mocniej niż gdziekolwiek, jak świetny jest los mój w imaginacji, jak nędzny w istocie. Mała na przykład rzecz na pozór, ale niesłychanie dotkliwa: przyjechałam do rodzicielskiego domu prawie po dwóch latach niebytności, a żadnego gościńca nie przywiezłam młodszym siostrom ani nikomu. Pieniędzy wcale nie mam; panną będąc nie potrzebowałam ich, księżna na wszystko łożyła,

mnie tylko do ręki co miesiąc dwanaście tynfów dawała; na styczeń już i tego nie dostałam, a wolałabym umrzeć jak królewica albo Państwa o pieniądze prosić; im też to jakoś do głowy nie przychodzi, muszą wzajemnie myśleć, żem w nie dostatecznie opatrzona. Basia, prawda, jak od sakramentek wróciła, chociaż mniej jeszcze ode mnie pieniędzy miała, niemal każdemu jakiś podarek przywiezła; ale z nią wcale było co innego: ona sobie była młodziuchną panienką, niczym nie miała ani zajętej, ani nabitej głowy i sama swymi rękami moc drobnostek narobiła. Ja, choćbym była wiedziała, że tu przyjadę, nie miałabym była do podobnej pracy ani czasu, ani głowy, a kto wie, może i ochoty. Wystawiałam sobie zawsze, że jak do maleszowskiego zamku po ślubie zawitam, każdemu z dworzan i dworskich sypnę po królewsku; chłopki nawet miały dostać piękne czepki, dziewki wstążki, gospodarze czapki, a parobcy pasy; a tu na to wszystko złamanego nie mam szeląga. O! co się też to w tej głowie uwijało; jakże prawda mało do tych marzeń podobna!…

Od tego czasu jak tu jestem, jeszcze oczów z łez nie osuszyłam. Państwo tak szczególnie mnie witali; jam do ich nóg rzucić się chciała i tak by mi dobrze tam było, a oni nie pozwolili i Jmć Dobrodziej jakby obcej niziuteńko mi się kłaniał. I teraz jeszcze wstaje, jak ja wchodzę, nie usiędzie blisko przy mnie, i ten pierwszy hołd uszanowania królewicowskiej godności mojej oddany srogą boleść mi sprawia. O! jeśli wszystkie hołdy i honory takie gorzkie będą, wolałabym prostą być szlachcianką!… Przy pierwszym obiedzie, który razem jedliśmy (i który, jak mi z przykrością uważać przyszło, niespokojną czynił Jmć Dobrodziejkę, czy dosyć dobrym będzie), szepnął mi do ucha: „Mógłbym kazać stoczyć, niby na próbę, butelkę wina z beczki panny Franciszki; przykro mi go nie skosztować przy pierwszym obiedzie, ale zwyczaj jest, że pierwszy kieliszek pije ojciec, a drugi pan młody; inny porządek za złą wróżbę miany… Ale czy przyjdzie kiedy podobna chwila?…” — dodał i westchnął tak głęboko, że mnie łzy puściły się z oczu. Zupełnie jeść mi się odechciało, a przymuszałam się do jedzenia, bom widziała niespokojność kochanej matki i bałam się ją obrazić. O! ten obiad i wszystkie inne prawdziwą dla mnie męczarnią! Już mnie i Macieńka koncepta nie rozśmieszają, bo i jemu się też nie klei. Imć Dobrodziej coraz na niego mruga, żeby co dowcipnego powiedział; on się sili, ale mu się nie udaje.

Wczora i on mnie rozczulił; szpak wielki, zatem domyśla się wszystkiego: przyszedł cichuteńko do mego pokoju, kiedy nikogo nie było, klęknął przede mną na obadwa kolana, a z miną na pół bufońską, na pół smutną, wyjął z zanadrza pęczek uschłych kwiatów i liści białą wstążką związany, złotą iglicą spięty. Zrazu nie wiedziałam, co się to znaczy, aż przypomniałam sobie ów bukiet z wesela Basi; on wymówił tylko te słowa: „Ja czasem bywam prorokiem!” — oddał mi go, a zawsze na klęczkach posuwając się w tył, doszedł do drzwi. Ileż mi rzeczy ten bukiet przypomniał, ile podał myśli! Wstałam, a biegnąc za Macieńkiem, wyjęłam kosztowną śpilkę bryliantową, którą mi dał królewic, i wpięłam ją w kontusz jego. Ani on, ani ja nie wymówiliśmy i słowa, ale podobno każde z nas dumało nad tym, że jeśli dziwną było rzeczą, iż spełniła się płocha wróżba jego, dziwniejszą jeszcze, że lubo spełniona, żadnym oczekiwaniom zadosyć nie uczyniła.

To pisanie moje przerwała mi kochana matka! O! jakże dobrocią swoją ubodła mnie w serce; przyszła tu ukradkiem tak obładowana, że ledwie iść mogła: naznosiła mi różnych kosztownych materii, klejnotów, koronek, a złożywszy je na stołkach, z nieśmiałością powiedziała: „Przyniesłam tu cząstkę rzeczy każdej z córek naszych należących się; przyniosłabym i więcej, ale cóż, kiedy to wszystko nie wydaje mi się dosyć pięknym; a nic piękniejszego, Bóg widzi, w całym domu nie mam. Jużem mówiła z Jmć Dobrodziejem; przeda wiosek parę, żeby jak pora szczęśliwa przyjdzie i rzecz się wykryje przed światem, i druga córka nasza stosowną do wysokiego zamężcia dostała wyprawę”. Zalana łzami, całować chciałam jej kolana, a ona mi nie pozwoliła i ciągle mnie przepraszała za te nędzne (jak ich zwała) podarki… O! już pojutrze niezawodnie wyjadę, bo i oczu dworzan, i wykrzykników Madame, sióstr i starych sług nad bladością moją, nad tym, żem jeszcze za mąż nie poszła, znieść nie mogę. Były też u mnie i owe trzy dziewczęta, którym przyrzekłam, że je wezmę do siebie, skoro za mąż pójdę; stary Jacenty przyprowadził sam swoję córkę. O! jakże mi te ich odwiedziny przykre były: jakże by się zdziwiły dowiedziawszy się, że mam już męża, a jednak ich nie biorę do siebie, bo ten mąż — królewic.

Dnia 9 stycznia, w środę, w Sulgostowie

Już wróciłam do siostry i nie zastałam listu od królewica; nie wiem, czy nie chory albo czy też król o wszystkim się nie dowiedział i nie kazał strzec go surowo. Wielka mi bieda, że księcia wojewody od połowy grudnia aż dotąd w Warszawie nie ma; on by pewnie do mnie napisał: książę Marcin roztrzepany, szczęśliwie zapomniał. Z pożegnania się z Państwem niecom więcej uradowana niźli z powitania; ale najmilsze chwile spędziłam w Lisowie; chciałam odwiedzić proboszcza w domku jego; zastałam go sadzącego świerki w swoim ogrodzie, pozwolił mi jeden najpiękniejszy na cmentarzu koło kościoła posadzić i uczyniłam to własną ręką: smutną po sobie zostawiam pamiątkę, ale bo też i ja smutna jestem. Wiele słów pocieszających usłyszałam z ust proboszcza i jakaś mężniejsza i szczęśliwsza z domku jego wyszłam. O! gdyby tylko wiedzieć, że królewic zdrów!

Dnia 15 stycznia, we wtorek

A! Już też zupełnie nową walkę przez te dni wytrzymałam! Czy już żaden rodzaj udręczenia i boleści nie ma mi być obcym? Zupełnie niepodzianie, w chwili kiedyśmy do obiadu siedli, hałas się zrobił w sieniach, usłyszeliśmy trąbkę pocztarską, drzwi się otworzyły i wszedł do sali minister królewski Borch: zgadłam od razu cel jego odwiedzin i zadrżałam jak listek; on zaś ukrył go pozorem chęci oddania swojej atencji państwu starostwu, na których ślubie znajdować się miał zaszczyt. Taką grał rolę, póki się obiad nie skończył, pókiśmy nie zostali sami; ale wtedy, zaprosiwszy mnie do gabinetu pana starosty, powiedział zaraz z góry, że i on, i Brühl uwiadomieni o wszystkim, ale się śmieją z tego; że to całe małżeństwo za dziecinną igraszkę uważane być powinno; że ślub taki, bez wiedzy rodziców, nie od miejscowego pasterza dany, nic nie znaczy i z jak największą łatwością zerwany być może. Przyznaję, że w pierwszym momencie, uwierzywszy niejako podobieństwu tych słów, ledwiem nie padła nieżywa; ale nagle przypomniawszy sobie, z czyim wysłańcem

mówię, objąwszy tę myśl, że od stałości obecnej los całego życia mego zależy, stawiłam się mężnie, ośmieliłam się obwinić i jego, i Brühla o podstęp, o chęć złudzenia nieświadomej białogłowy. „Ale nie jestem tak dziecinną i nierozsądną, jak świat sądzić może — dodałam w końcu, a on mnie słuchał zdziwiony — wiem, że ślub mój jest ważny, bo był w kościele, za pozwoleniem rodziców moich i biskupa, przez pasterza mojej parafii, przy dwóch świadkach zawarty; wiem, że są rozwody, ale wagi nie mają, póki obie strony aktu nie podpiszą; a mego i królewica na rzecz takową podpisu ani gwałt, ani prośby żadne nie wymogą”.

Dziwię się sama teraz mojej śmiałości, Bóg mnie natchnąć musiał; Borch, który był przekonany, że od razu do podpisania rozwodowego aktu mnie skłoni, zwłaszcza gdy mi znaczny zapis w nagrodę pokaże, zdumiał się i dalszych namów zapomniał; dwa dni tu siedział i co dzień podobne słowa słyszał ode mnie; nareszcie tej przynajmniej żądał obietnicy, że gdyby kiedy królewic na rozwód przystał, ja się sprzeciwiać nie będę. Na to śmiało zezwoliłam i on poprzestał na podobnym oświadczeniu na piśmie. O tom się najwięcej bała, żeby Basi ten przestrach nie zaszkodził; ona tak żywo dzieli wszystkie moje zmartwienia i kłopoty, to prawdziwa druga ja; ale zdaje się, Bogu dzięki, że jej nic nie będzie. Biedny pan starosta, tak już był o nią niespokojny, nad życie ją kocha!… O! smutne! smutne przeznaczenie moje! zamiast pociechy i swobody — trwoga i niepokój zupełnie za mną chodzą!

Tu się kończy Dziennik Franciszki z Krasińskich królewicowej polskiej; smutek dalszych jej przeznaczeń odjął jej ochotę i siłę zwierzania papierowi nieustannych, a coraz nowych udręczeń: najdotkliwszą z nich była zmiana uczuć tak gorąco kochanego męża i obawa rozwodu, którą mimo tkliwego niedowierzania swego po kilka razy zagrożoną była. Pomimo tak świetnego na pozór losu niejeden przykry i uciążliwy rok minął, nim się przecież przewinąć zdołało to długie pasmo udręczeń, nim snuć zaczęła dni swobodniejsze; zawsze jednak bardzo dalekie od owej świetności, którą żywa jej wyobraźnia obiecywała niegdyś zbyt łatwowiernej dumie. Oto są niektóre szczegóły jej dalszego życia od czasu, w którym Dziennik ten się kończy.

Po odjeździe Borcha królewicowa czas długi w Sulgostowie gościła; tam Barbara Świdzińska powiła naprzód syna, Jana, potem drugą córkę, a dotrzymując obietnicy danej, Franciszką ją nazwała; tam ciągle widok szczęścia domowego, którego używać nie miała ani rychłej, ani pewnej nadziei, przykry był jej scrcu, i tym przykrzejszy, że sobie wymawiała to mimowolne uczucie. Gdy też postępowanie królewica najdotkliwszą boleść utwierdziło w jej duszy, sama sobie niemiła, przejeżdżała się z miejsca na miejsce. Ubyło jej właśnie w tym czasie najprzyzwoitsze schronienie, doświadczyła srogiego nieszczęścia, poniosła niepowetowaną stratę: umarli jej zacni rodzice, umarli nie doznawszy radości uściskania znakomitego zięcia, nie odebrawszy od niego żadnego hołdu uszanowania.

Osierocona córka, nie mając w domu męża przytułku, prawdziwą tułaczką przez czas długi była. Klasztor sakramentek w Warszawie, klasztor franciszkanek w Krakowie (dokąd kochająca ją siostra małą Anielkę dla rozrywki jej przywiezła), Częstochowa, Opole, gdyż zacna, lubo żywo czująca ciotka niedługo na ulubioną bratankę gniewać się mogła, kolejno były jej mieszkaniem; lecz nigdzie szczęścia znaleźć nie zdołała; a lubo wszędzie z wyższych rozkazów kryła los swój i znakomite imię, każdy się ich domyślał po smutku. Wprawdzie królewic, w samej nawet niestałości niestały, wracał niekiedy do niej z czułością i już ją tylko jedną kochać przyrzekał. Wtedy znowu nad rzadką sposobnością widywania się z nim bolała, a gdy wzmagała się w niej nadzieja dzielenia kiedyś przeznaczeń jego, wrodzona duma cierpiała, iż tym przeznaczeniom co dzień i w obecnej chwili, i na przyszłość świetności ubywało. Bo według słów prorockich Macieńka, naprzód mitra, potem korona wysunęła się królewicowi: Biron został powtórnie księciem kurlandzkim, a gdy August III umarł w Dreźnie 5 października 1763 roku, w następującym Stanisława Poniatowskiego ogłoszono królem polskim.

Tak w przeciągu lat kilku obalił się cały gmach wielkości, którym przez tak długo młoda królewicowa się łudziła; ale nowa obawa zmiany uczuć męża spełznienie tych nadziei zapewne mniej przykrym czyniła. Bo ta jest przynajmniej wielkich nieszczęść korzyść, że nam uboczne przykrości obok nich nie tyle dolegać potrafią. Dotąd królewic składał na bojaźń skrócenia

życia sędziwego ojca tajemnicę, którą swoje małżeństwo okrywał; ale już lat kilka od śmierci Augusta minęło, już cała rodzina królewska, cały dwór saski przeniósł się był do Drezna i królewic tam mieszkał, a żona jego tułała się jeszcze bez nazwiska. Zadrżeli o szczęście, o los dalszy ukochanej bratanki księstwo Lubomirscy, natenczas kasztelaństwo krakowscy, tym bardziej że sierotą była i nie miał się kto bliższy za nią upomnieć. Księżna kochała ją na nowo jak córkę, książę, nie mniej przywiązany, miał jeszcze powód większy do zajęcia się jej losem, bo znał dobrze, że to małżeństwo, z którego on tyle obiecywał sobie, bez jego zachodów i pomocy nie byłoby nigdy doszło do skutku; widząc, że spełzły zaszczyty, które powinowatej swojej niegdyś zapewnić pragnął, chciał przynajmniej, żeby jej szczęście domowe zostało. Użył ku temu, jak mówią, wpływu cesarzowej Marii Teresy, użył — jak się zdaje — i innych sposobów. Skutkiem ich królewic wzruszył się i po długim czasie oziębłości i milczenia napisał nagle do żony list najczulszy, przepraszając ją za dawne uchybienia, błagając, ażeby przyjechać do niego do Drezna raczyła. Tam, mówił, nazwie ją żoną swoją; tam zupełnie się poświęci, by szczęściem reszty jej życia wynagrodzić owe lata najpiękniejszej młodości we łzach i poniżeniu spędzone.

Szczęśliwa z tej pomyślnej zmiany, niczym w raz powziętym przywiązaniu nie zmieniona, królewicowa nie uległa jednak natychmiast żądaniom męża, serce może inaczej mówiło, ale szacunek samej siebie uznał, że czekać należy powtórnego zaproszenia; może też tę radę winna była szlachetnie myślącej ciotce, gdyż właśnie natenczas w Opolu gościła. Nie czekała jednak długo: rozkochany jak w pierwszych dniach poznania się z nią królewic, dręczony wyrzutami sumienia, naglił jej przyjazd; każde słowo listów jego żywym tchnęło uczuciem: byłby chciał teraz wszystkie zaszczyty, wszystkie dostatki zsypać na przedmiot wznowionej miłości. Pensja, którą brał książę saski, nikczemną mu się zdawała, pragnął jej powiększenia, a odmówienie elektora Fryderyka, który Krasińskiej ani żoną brata przyznać, ani tytułu dać nie chciał, taką zgryzotą go napawało, że aż niszczało zdrowie jego. Tylu dowodami wróconej miłości zaspokojona, pragnąca od tak dawna tej chwili, pojechała królewicowa, otoczona licznym pocztem wysłanym przez męża do towarzyszenia jej; tkliwym listem pożegnała ukochaną siostrę, tysiącznymi uściskami tych, którzy dla niej miejsce zmarłych rodziców trzymali.

Odtąd królewicowa mieszkała ciągle w Saksonii, w Elsterwerdzie albo w Dreźnie; w lat kilkanaście dopiero po zamężciu została matką. Powiła mężowi, gorąco tego szczęścia pragnącemu, córkę, równie nadobną, jak była sama. Marii imię jej dali; to było jedyne ich dziecię, a przywiązanie zobopólne skarbem jedynym. Nie używała bowiem nigdy marzonych niegdyś honorów i przywilejów, wraz z córką żadnego tytułu nie miała; dochody jej także w miarę niegdyś spodziewanych dostatków i wrodzonej wspaniałości bardzo szczupłe były; bo chociaż po rodzicach i krewnych znaczny odziedziczyła spadek, chociaż od cesarzowej Marii Teresy, od której bardzo kochaną była, piękne dobra Lanckoronę dostała, mało ją dochodziło gotowych pieniędzy; ten niedostatek ciągle jej się czuć dawał, a najwięcej dlatego, że licznej rodziny ukochanej siostry podporą być nie mogła. Pełne są podobnych utyskiwań jej listy; pisywała bowiem bardzo często do różnych osób, zwłaszcza do księżnej kasztelanowej krakowskiej, do siostry, a później do chrzestnej córki swojej, Anieli z Świdzińskich Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej. Ta do dnia dzisiejszego pamięta przysmaczki, jakimi ciotka i matka chrzestna w klasztorze ją karmiła, a więcej jeszcze jej przyjemne i miłe z nią i z każdym obejście. W tych listach przebija zawsze tenże sam charakter, toż samo serce. Żywość wyobraźni i czucia, trafność w sądzeniu, wyniosłość, szlachetność uczuć, wiadomość własnych interesów i rzeczy publicznych, przywiązanie do męża, córki, rodziny, ojczyzny, tkliwa pobożność i zawsze widoki, nadzieje. Umieszczam tu niektóre z nich wyjątki, jedne w oryginale, drugie tłumaczone.

Do Barbary Świdzińskiej

Dnia 23 sierpnia 1781

… Dałby Bóg, abym była kiedy w stanie ziścić to, co moje przywiązanie dla Ciebie mi dyktuje; gdy długi spłacę, będę Ci pomocniejszą: wzdycham za tą chwilą… Moja córka, chwała Bogu, już ma trzy ząbki, nic na nie nie chorowała, tylko za każdym ogniepióra dostaje… Czy prawda, że p. pisarz Małachowski marszałkiem sejmowym być ma? Takżeż on dobry, jak

dawniej był? Za Twoim mi opisaniem jego sposobu myślenia i dla krewnych przychylności wyrażę Ci pewne moje względem niego widoki…

Dnia 30 września

… Łaska nieboszczki cesarzowej przyniosła nam więcej ambarasu niż zbogacenia: kto pieniędzy nie ma, dóbr nie kupuje; my przeciwnie — z czasem znajdziemy znaczny z tych nabytych dóbr awantaż, lecz teraz wiele zmartwienia… Daj Boże nam raz z tych kłopotów i zatrudnień się wygrzebać, będziemy wam użyteczniejsi. To tak rzetelnie, jak że Ciebie kocham, a kocham Cię serdecznie. Bóg tej prawdy jest świadkiem…

Dnia 12 stycznia 1762

Zawsze mi nader miłe Twoje odezwy, nie mniej i ta ostatnia, jednak w krótkich słowach na nią odpisać muszę dla dziesięciodniowej i bardzo przykrej fluksji oczu, pierwszy raz w tej słabości pióra używam i gwałt sobie czynię… Już dłużej pisać nie mogę. Jak zdrowszą będę, będę więcej pisać; daj nam Boże szczęśliwszy i spokojniejszy zaczęty rok jak przeszły… Adieu, kochajcie mnie oboje.

Dnia 4 marca 1789

Zaczynam odpis na Twój list od Twego zdrowia, artykuł, który mnie jak me życie interesuje. Kazałam tu zrobić konsultacją o Twojej chorobie: wszyscy doktorowie i chirurgi drezdeńscy zgadzają się w pochwaleniu Twoich, zapewniają mnie, że nie możesz być lepiej leczoną. Zaklinają Cię, żebyś w nich ufność miała, że tego tylko, czasu i cierpliwości potrzeba. Rezolucja tej konsultacji wielce mnie zaspokoiła; zmiłuj się, kochana Siostro, staraj się być spokojną i nie kłopotaj się.

Dnia 10 sierpnia

Choroba, która (jak mi Księżna Kasztelanowa pisze) od czterech niedziel w łóżku Cię trzyma, czułym jest ciosem dla serca mego… Dajże Boże, aby Cię ten list zdrowszą zastał; Nie mam od Ciebie wiadomości, felczer nawet z Warszawy pisze mi, że od Twego wyjazdu nic o Tobie nie wie. Kochana Siostro, nie pisuj do mnie własnoręcznie, wiem i znam, jak to męczy, ja sama dyktuję moje listy, nawet i do Księżny: polskie tylko sama pisać muszę, bo nie mam nikogo, co by język umiał — dyktujże i Ty Twoje listy do mnie, bylem tylko wiedzieć mogła o Twoim zdrowiu.

Do Anieli Szymanowskiej

Dnia 21 września

Sprawiedliwość oddajesz sercu memu, kochana Siostrzenico, udzielając mi szczegółów nieszczęścia Twego; nikt go szczerzej nade mnie czuć wraz z Tobą nie może. Bóg zabrał Ci męża, nie mógł sroższym doświadczyć Cię ciosem. Ulegnij z uszanowaniem i bez szemrania woli Wszechmocnego: zachowuj zdrowie dla dopełnienia obowiązków, które Ci przeznacza. Są to obowiązki matki, córki. Wychowanie dziatek Twoich, pielęgnowanie matki chorej, liczną rodziną obarczonej, wymagają całej Twej czynności; oddając się tym obowiązkom, wypełnisz miarkę poddania się woli Stwórcy, który doświadczenia i zgryzoty warunkiem życia ludzkiego uczynił, abyśmy za ich pomocą na wiecznie szczęście zasłużyć mogli. O, kochana Anielo, jakżebym rada dzielić z Tobą owe obowiązki, o których Ci wspominam…

Dnia 4 października

Czuję całe przygnębienie Twoje: tak rychło po mężu straciłaś najlepszą matkę! Ach, i ja w niej straciłam siostrę, która drugą mną była. Szanujmy rękę martwiącą nas! Pocieszajmy się szczęściem wiecznym, którego

zapewne już używa. Ton Bóg sprawiedliwy wspierać zechce błogosławieństwy swymi osierociałe dziatki. Brat Twój Jan donosi mi o tej wspólnej stracie naszej, ale w żadne szczegóły nie wchodzi. Nie lubię tego; raz na zawsze Was proszę: zaniechajcie w listach waszych wszelkich komplementów i ceremonii, pisujcie do mnie otwarcie, z ufnością, jako do osoby, która was serdecznie kocha. Donieś mi, kogo nieboszczka opiekunem mianowała wiele dzieci jest jeszcze w domu, jak się obrócą?… Nie zdaje mi się, żeby wypadało siostrom Twoim mieszkać przy bracie, on jeszcze na to za młody; trzeba im obmyśleć uczciwe schronienie. Za klasztorem bym jednak nie była; tam by zapomniały, co umieją, i mogłyby nabrać ułożenia przeciwnego dla tych, które przeznaczone, żeby żonami i matkami były, a nie sądzę, żeby która z nich ochotę miała być zakonnicą…

Do Jana Świdzińskiego

Tego samego dnia

Odebrałam list, w którym mi donosisz o stracie ukochanej matki; nie chcę rozdzierać serca Twego opisem mojej boleści. Straciłeś matkę żyjącą jedynie dla szczęścia dzieci, ja siostrę ukochaną! Tym się tylko pocieszam, że jej cnoty i długie cierpienia otrzymały od Boga zasłużoną nagrodę… Przykład obojga Rodziców Twoich, ich uczciwość, otwartość i cnoty powinny być Ci wzorem; miej ich zawsze przytomnymi pamięci, a będziesz żył szczęśliwy i od wszystkich szacowany… Nie wątpię, iż będziesz chciał kierować jak najlepiej interesami rodzeństwa Twego, ale młody jesteś i z najlepszą chęcią w Twoim wieku nie można mieć tego doświadczenia, którego położenie Twoje wymaga. Proszę Cię więc i zaklinam, abyś się radził w trudniejszych razach Księżnej Kasztelanowej i hrabiego Moszyńskiego, ich zdanie będzie pewne i bezinteresowne. Proszę Cię raz jeszcze, kochany Siostrzeńcze, skoro czas pozwoli, jedź do Księżnej, obchodź się z nią otwarcie, szczerze, z ufnością, a pozyskasz jej przyjaźń. Ta Ci do szczęścia posłuży…

Do Anieli Szymanowskiej

Dnia 15 października

Odbieram w tej chwili list Twój donoszący mi o niepowetowanej stracie naszej; nie mówmy już o tym, zbyt to tkliwa strona. Dziękuję Ci za użyczone mi o pozostałych dzieciach szczegóły… wszystkie więc siostry Twoje umieszczone… Pani Miecznikowa bierze jednę, grzybowska drugą, Kuszlowa trzecią, a czwarta u Ciebie; znajdzie w Tobie, pewna jestem, i siostrę, i opiekunkę: nauczysz ją być tak dobrą żoną i matką, jak sama jesteś. Zostawmy czasowi i okolicznościom dalsze ich postanowienie, ja sama upatrywać im będę stosowne partie.

Dnia 22 listopada

Piszesz mi, że siostrze Twojej Mariannie kilka partii się trafia; życzę, aby wybrała stosowny związek i uczciwego człowieka, to szczęście małżeństwa stanowi.

Do Jana Świdzińskiego

Dnia 12 stycznia 1790

Postępowanie Twoje względem brata i sióstr czyni zaszczyt Twemu sercu i sposobowi myślenia; czyń tak zawsze z tąż samą uczciwą rzetelnością, a będziesz powszechnie szacowany, Bóg Ci błogosławić będzie!… Skoro się dowiesz, że Księżna Kasztelanowa jest w Warszawie, jedź tam natychmiast, jej przyjaźń jest nieoszacowana. Ale ostrzegam Cię, iż chcąc ją pozyskać, trzeba z nią postępować otwarcie i z ufnością.

Do Anieli Szymanowskiej

Dnia 30 czerwca

Odebrałam list Twój z doniesieniem o przyszłym zamężciu siostry Twojej Marianny. Wyznaję, że spełniły się w tym modły moje, bom dawno życzyła hrabiego Jabłonowskiego dla jednej z siostrzenic moich. Znałam bardzo dobrze ojca jego, równie był szacowany dla przymiotów serca, jak dla rozumu; jak mi piszesz, syn je wszystkie odziedziczył. Dziękujmy Bogu za opatrzność, którą w postanowieniu sióstr Twoich pokazuje, to Ci powinno być pociechą. I druga także, Zofia, idzie za Karczewskiego? Tego ojca nie tyle znałam. W rozpaczy jestem, że nic dla obudwóch w ten moment uczynić nie mogę, ale interesa nasze w bardzo złym stanie, tak z powodu wojny, jako i dla smutnych okoliczności, w których się Polska znajduje. Czuję bardzo, co by uczynić należało, ale muszę jeszcze czekać owej szczęśliwej pory, kiedy moim użyteczną być potrafię. Jeszcze ich więc dwie pozostanie… Ufność w Bogu! Nikt jej więcej nade mnie zalecać nie ma prawa. Bóg kierował przeznaczeniem moim. On mi dopomógł do przebycia wszystkich udręczeń i zawad losu mojego. Nie sądź, kochana Anielo, ażebym i teraz bardzo silnych nie napotykała, ale ten Bóg, który mnie dotąd wspierał, i teraz nie opuści; On dopomoże do przebycia ich, On mi pozwoli zapewnić los córki i być kiedyś użyteczną moim. Z Jego ręki jedynie spodziewam się tego szczęścia i mam je za nieochybne… I teraz w wielkich byłam niespokojnościach: córka bardzo mi chorowała ze skutków kataru. Kaszle jeszcze, ale mi ręczą, że ani na teraz, ani na potem nie mam się czego obawiać. O, bodajby żadna z córek Twoich nie dała Ci nigdy do takiej trwogi powodu!

Dnia 19 lipca

Do niczego jestem: tak mnie dręczy niespokojność o zdrowie Księżnej Kasztelanowej; przyjaźń Twoja, kochana Siostrzenico, obudza mnie z tego odrętwienia, bo od Ciebie wiadomości o Ciotce się spodziewam. Były tu listy z Polski donoszące, że jej zdrowie w złym stanie — Tyś ją widziała, napiszże mi jak najprędzej, jak się miewa. Ach, jakże to przykro daleko być od osób ukochanych! Bywaj zdrowa, kochana Anielo! Słabe pióro moje, żeby Ci moc przywiązania mego wyrazić mogło.

Do Księżnej Kasztelanowej Krakowskiej

Dnia 15 sierpnia

Prawdziwą radość miałam w odebraniu listu kochanej Cioci Dobrodziejki 25 z. m., w wigilią dnia ślubu Zosi pisanego. Winna więc będzie szczęście swoje przywiązaniu i dobroci kochanej Cioci, wdzięczność jej dzielić nie przestanę: tak więc jednej osobie i bratanki, i wnuczki winne są szczęście swoje… Donosi mi Ciocia Dobrodziejka, że jedzie do Krzeszowic, ach, gdyby skutek tych wód życzeniom moim odpowiedział, trwałe by Jej zdrowie przyniesły. Mąż mój i córka zdrowsi, pierwszy jedzie na polowanie jelenia o cztery mile stąd… Nasz książę Antoni wyjeżdża dziś z żoną do Wiednia; ona sama przedziwna osoba, niezmiernie kocha mego męża i mnie wiele okazuje przyjaźni; mówi, że odziedziczyła względem mnie babki swojej, Marii Teresy, uczucia… Żegnam kochaną Ciocię Dobrodziejkę, ściskamy ją wszystko troje serdecznie, racz nas też kochać cokolwiek…

Do Anieli Szymanowskiej

Dnia 19 września

Donoszą mi z Krakowa, że Księżna Kasztelanowa bardzo chora, że się obawiają, aby nie została gdzie w drodze z Krzeszowic do Opola; donoszą mi także, że nikogo przy sobie nie ma; kochana Siostrzenico, nie mogłabyś pojechać do niej? Zaklinam Cię, uczyń mi tę łaskę; sposobem myślenia i położeniem zdajesz się być przeznaczoną na to, ażebyś przyniosła ulgę krewnym w potrzebie. Ach, czemuż tego o sobie powiedzieć nie mogę!…

Dnia 14 listopada

Jakżeż to wiele od dwóch lat ciosów! Znosisz je wszystkie, kochana Anielo, z chrześcijanki cnotą, która przykładem naucza; rada bym Cię naśladować… Poddajmy się woli Wszechmocnego; ja już przemilczam boleść moję, żeby i Twego, i swego nie rozdzierać serca. Zajmijmy się lepiej uczczeniem pamiątki ukochanej Ciotki, świętym dopełnieniem jej woli.

Dnia 14 stycznia 1791

Przyznam Ci się, kochana Siostrzenico, że ów obraz zbrzydł mi, skoro jabłkiem niezgody między rodziną został, bo ja bym chciała, owszem, do zgody między wami dopomagać. Książę Aleksander Lubomirski pierwszy napisał do mnie, prosząc o niego: ponieważ ten obraz umyślnie do pałacu opolskiego robiony, a Opole jego, przystałam chętnie na tę prośbę. Teraz grzybowska domaga się go koniecznie… Zagodź tę sprawę, kochana Anielo. Powiedz mojej siostrze, niech mi przyszle miarę, a ja jej przez tego samego malarza Graaffa zrobić każę takiż sam. Będzie nas miała, prawda, wszystko troje kilkoma laty starszych, ale ta sama ręka potrafi toż samo uchwycić podobieństwo.

Do Jana Świdzińskiego

Dnia 2 lutego

Nie mogę, tylko pochwalać i błogosławić uczuciom Twoim dla hrabianki Dembińskiej. Piszę do jej matki i do biskupa kamienieckiego, którego proszę, żeby się wstawił za Tobą… W ostatnim liście nie donosisz mi nic o interesach sukcesji; już Ci przebaczam to milczenie przez wzgląd na miłość, tak dobrze umieszczoną… Ale zaklinam Cię, kochany Siostrzeńce, niechże Twoją winą podział dóbr się nie spóźni, niechże wszystko na 10 maja gotowym będzie, żebyśmy sobie wymawiać nie mogli nieszczęścia biednych chłopów, którzy już od trzech lat żyją bez pana, bez podpory, na łasce pierwszego przechodnia…

Do Anieli Szymanowskiej

Dnia 15 sierpnia

… List Twój ostatni oznajmia mi, że trafia się partia siostrze Twojej Bonie: drugi Karczewski. Zachęca mnie do jej przyjęcia i razem mocno cieszy obraz szczęścia, którego starsza siostra za starszym bratem używa; szczęście domowe wszystkim jest w tym życiu.

Dnia 11 stycznia 1792

Odebrałam list Twój pisany przez Twego szwagra, Józefa Szymanowskiego. Dziękuję Ci, żeś mu zaleciła, żeby do mnie się udał, bo prócz sposobności mówienia o Tobie, podoba mi się nieskończenie. Wiele nam okazuje przyjaźni, a ponieważ Mazur, wierzyć mu trzeba… Nie mając żadnego prawa do jego przyjaźni, jeśli ją pozyskam, Tobie to przypiszę… Prosił mnie, żebym Ci przez niego nasze sylwetki przysłała; nie chciała bym ofiarować Ci główek umarłych, bo tak sylwetki uważam, ale bądź

trochę cierpliwa, a miniatury nasze Ci poślę. Te Ci lepiej Twych przyjaciół przypominać będą, bo kolorami łatwiej oddać podobieństwo.

Dnia 23 marca

Ten list przez szwagra Twego piszę; zleciłam mu wysłowienie Ci przyjaźni mojej. Byłabym chciała posłać Ci i miniatury, ale nie skończone. Jednak niedługo mieć je będziesz; tymczasem niech ci nasz wspólny przyjaciel mówi o nas, a obraz wnet przybędzie i potwierdzi to, co on powie…

Dnia 8 lipca

…Czekam niecierpliwie na kogo jadącego do Polski, bo już mój portret gotów. Przypominać Ci będzie starą i przywiązaną ciotkę. Oby Bóg dał pokój i ułożył tak okoliczności, żebym Ci i oryginał wkrótce przedstawić mogła. Jakże bym sobie tego życzyła!…

Dnia 15 lutego 1793

…Kochana Siostrzenico, jakże mało mogą ludzie na tym świecie! Jakież okropności dzieją się wszędzie! Francja jakże nieszczęśliwa! I Polsce Bóg przez straszne próby przechodzić każe, możeć i do wyjścia z nich dopomoże!

———

Przestać trzeba na tych wyjątkach; są jeszcze niektóre listy, które by całkiem umieścić należało, bo w nich widać, jak rzeczy publiczne mocno ją zajmowały i jak do końca niemal życia karmiła się wyniesienia nadzieją. Dla uzyskania pewnych w tej mierze, a niemogących jej szkodzić wiadomości utworzyła sobie klucz, a niby wypytując się o dobra swoje, badała innych doniesień. Jest dowcip w utworzeniu tego klucza, i tak np.

ministrowie byli komisarzami, sejm przezwała sądem gminy, marszałka wójtem, wojnę gradem, pokój pomyślną porą itp. Ojczyzna i jej dobro wielce ją zawsze obchodziły. Prócz wspólnych wszystkim Polkom, miała do tego przywiązania szczególne powody. Na sejmie 1776 roku naród polski, szanujący nie tylko prawych królów swoich, ale i tych nawet, którzy mu królować przestaną, wyznaczył pewne dochody dla synów Augusta III, a żonę królewica Karola księżną polską uznał. W tomie ósmym „Praw i konstytucji Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego” na karcie 897 taki względem tego czytać można artykuł:

″Upewnienie prawa dożywocia″

Dla Najjaśniejszej Franciszki z Krasińskich N. Karola, Królewica Polskiego, Księcia Saskiego, Małżonki

Gdyśmy dla NN. Królewiców Polskich, Książąt Saskich, sumę roczną, ze skarbu obojga narodów w konstytucji wyrażoną, wyznaczyli, z której równa część dla NN. Królewiców Polskich Książąt Saskich przypada, za czym na połowie tegoż N. Królewica Polskiego, Księcia Saskiego, dla Najjaśniejszej Franciszki, z domu starożytnego Krasińskich, Małżonki Jego, dożywocie aż do zgonu życia onej rozciągamy, i że w przypadku zejścia z tego świata N. Karola, Królewica Polskiego, Księcia Saskiego, połowę sumy dla Małżonki Jego skarby obojga narodów wypłacać będą powinny, warujemy i postanawiamy.

———

Królewicowa nie doczekała późnego wieku, nie doczekała nawet jedynaczki swojej zamężcia; po dwuletnim cierpieniu umarła w roku 1796 na jedną z najokropniejszych chorób w świecie, na raka w piersi. Oto jest list przyjaciółki jej od serca, Moszyńskiej, do Anieli z Świdzińskich Szymanowskiej, opisujący zgon i chorobę jej znakomitej ciotki.

Dnia 8 czerwca 1796, w Dreźnie

Wypełniam rozkazy Jwwcpani Dobrodziejki, ale nie z małym dla siebie żalem; gdyż jej strata jest także moją i nigdy dosyć w życiu moim nieodżałowaną. Choroba N. Królewicowej od dwóch lat przeszło się zaczęła; w piersi jednej okazały się guz i twardość; jedni to nazywali rakiem, drudzy twierdzili, że to tylko twardość. Operacją czyniła w tej piersi lat temu dwa: po niej dosyć była zdrową, ale to krótko trwało; znowu się guzy pokazały i po tej stronie wielkie w całej ręce boleści; cierpiała ta Pani cierpliwie, ale niezmiernie; kuracją zaczęła i przez dwanaście niedziel nikogo prócz domowych i mnie nie widziała. Doktorowie raz powiadali, że lepiej, drugi raz, że gorzej; nareszcie gorączka codzienna przyszła, z nią zniszczenie… Dysponowała się na śmierć świętobliwie i z wszelką przytomnością: skonała 30 kwietnia w nocy. Pierś się otworzyła kilku niedzielami przed śmiercią. Eksenterowano ją i znaleziono tysiączne, jak mówią, przyczyny do śmierci; ja już tego i słuchać nie mogę, bom najlepiej widziała, że innej nad tę pierś nie było… Ale cóż czynić? Ta szkoda nieodżałowana już się stała! Ja na to ledwo żyję i wspomnieć sobie tej Pani bez wielkiego żalu nie mogę. Królewica dotąd nie widziałam; raz mówią, że zdrowszy, drugi raz, że i on niedługo pożyje. Czemu wierzyć, nie wiem! Księżniczkę Marię widuję, kocham ją jak moje życie, ale wszędzie na tym miłym świecie są przeszkody, a więc ja tylko co dzień raz bywam u niej. Jest nieoszacowana, charakter ma wielki. Królewicowa umierając oddała ją szczególnej protekcji królewnej Elżbiety, siostry królewica. Jakoż ta królewna bardzo ją kocha: jest to pani wielkich przymiotów, szczerze żałowała królewicowej i niezmiernie przywiązana do brata… Dopraszając się, abyś mnie Jwwcpani Dobrodziejka przechowała w łasce swojej, zostaję z prawdziwym szacunkiem

Jwwcpani Dobrodziejki najniższą sługą

L. Moszyńska.

Szczególnym prawdziwie zdarzeniem i jakby w dowód oczywisty, ile się przywiązał do żony, królewic, od jej śmierci mocno chory, umarł po niej w kilka miesięcy. Została bez matki i ojca nieszczęśliwa księżniczka Maria! Bóg wziął ją w opiekę, bo tak zwykł zawsze z sierotami czynić. Ledwie rok

od śmierci rodziców upłynął, kiedy goszczący w Dreźnie książę sabaudzki, Karol de Carignan, upodobał ją sobie i pojął za żonę. Ta pani żyje dotąd; weszła w powtórne śluby i zowią ją dzisiaj księżną Monléard. Z dwojga dzieci, które pierwszemu mężowi powiła, córka Maria Elżbieta Franciszka zaślubiła sobie 1820 r. brata cesarza austriackiego, arcyksięcia Rajnera, wicekróla lombardzko-weneckiego; syn zaś Karol Emanuel panuje na tronie sardyńskim. Świdzińska używając przez całe swe życie najczystszego domowego szczęścia i pokoju, sześć córek, z których cztery dotąd żyją, i dwóch synów zostawiła; z tych już dziś do sześciudziesiąt wnuków i prawnuków powstało. Z tych, jako z prawdziwych dzieci swoich, ojczyzna korzysta i korzystać będzie: jedni krew za nią przelewali, drudzy światłem ją bogacą, młodzi rosną na jej posługi i chwałę, a płeć żeńska cnót domowych wzory daje.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dziennik Franciszki Krasińskiej